NOLNOSCI

Marcin Sitko

czytaj dalej

Historia życia
BOGDANA ŁYSZKIEWICZA

Tekst, zdjęcia, skany rękopisów piosenek © **Marcin Sitko**
Materiały audio z płyt *Odnalezione piosenki Bogdana Łyszkiewicza* i *O! Ela [Reedycja]* oraz teledysk do piosenki *Dobrem zwyciężaj zło* © **Marcin Sitko**

Wydanie elektroniczne książki © **Narodowe Centrum Kultury**
Teledysk *Kocham wolność* © **Narodowe Centrum Kultury**

Projekt i realizacja:
Tomasz Kuczborski, ***publi.q.pl***
Korekta wydania elektronicznego:
Iwona Hardej

NARODOWE CENTRUM KULTURY

ul. Płocka 13
01-231 Warszawa
www.nck.pl

ISBN 978-83-7982-058-0

3 **Kim byś był, gdybyś nie był muzykiem?**
- *Odnalezione piosenki | Jeśli | 3:11*
- *O! Ela | Wczoraj | 2:16*

32 **1987. Jarocin**
- *Odnalezione piosenki | Znałem kiedyś człowieka | 4:51*

48 **Pierwsza płyta**
- *O! Ela | Chory kraj | 3:22*
- *O! Ela | Kocham ją | 3:25*
- *O! Ela | To koniec | 3:53*
- *O! Ela | Kiedy już będę dobrym człowiekiem | 3:36*
- *Odnalezione piosenki | Złota płyta | 3:46*

58 **Ja po prostu kocham gościa…**
- *O! Ela | The Beatles | 3:24*

60 **Czemu pan nic ostatnio nie nagrywa?**
- *Odnalezione piosenki | Co u Ciebie | 4:53*

66 **Kocham Cię**
- *Odnalezione piosenki | Długo | 4:10*
- *O! Ela | Jestem niewolnikiem | 4:41*
- *O! Ela | Nasz nowy hymn | 3:42*
- *Odnalezione piosenki | Nigdy nie zapomnę | 3:50*

101 **Magda**
- *O! Ela | Szukałem Ciebie | 4:36*
- *O! Ela | Piosenka dla ciebie | 3:59*
- *Odnalezione piosenki | Miłość | 4:05*
- *O! Ela | Kocham wolność | 3:24*
- *O! Ela | Chwalcie potęgę pieniądza | 2:42*
- *Odnalezione piosenki | Słońce gdy jadę szosą | 3:06*
- *Odnalezione piosenki | Cicho i pusto jest w moim pokoju | 4:33*
- *Odnalezione piosenki | Nie trać wiary | 4:55*

127 **Mam więcej czasu i nie chcę się spieszyć**

129 **Tak czy inaczej, jesteśmy wszyscy nieśmiertelni**
- *Odnalezione piosenki | A kiedy umrę | 4:03*
- *Odnalezione piosenki | Kocham życie | 3:42*
- *Odnalezione piosenki | Życie było jak wieczne pióro | 4:24*

140 **Cześć Boguś**
- *Odnalezione piosenki | Dobrem zwyciężaj zło | 1:35*

O! Ela [Reedycja]

Odnalezione piosenki Bogdana Łyszkiewicza

Kim byś był, gdybyś nie był muzykiem?

Prawdopodobnie podróżnikiem, może zagrałbym w filmie rolę klamki, wycieraczki, gestapowca lub Żyda, może chłopca z Placu Broni…

Kraków lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku był tylko nieco bardziej szary od tego, jaki znamy dzisiaj, tak jak i mniej kolorowe były czasy. Urokliwe kamienice pokryte wiekową patyną tworzyły jednak iście bajkowy krajobraz. Na płycie Rynku wieczorami spotykali się artyści, poeci i studenci, by po chwili rozejść się do licznych stylowych kawiarń. Wokół Sukiennic jeździły jeszcze wtedy, dzwoniąc na stalowych szynach, niebieskie tramwaje, a w sąsiedztwie Kościoła Mariackiego, z którego dokładnie w południe rozbrzmiewa hejnał, zupełnie jak dzisiaj, handlowały słynne krakowskie kwiaciarki. Klimatu dopełniały, jak zawsze, „zaczarowane dorożki" i wszechobecne, podnoszące się do lotu co jakiś czas, spłoszone przez hałaśliwych turystów gołębie. Prężnie działały teatry, uniwersytet, galerie, muzea – czyli duch starego grodu tętnił w najlepsze. To właśnie za ten historyczno-artystyczny klimat ludzie kochali, kochają i kochać będą to wyjątkowe miejsce na ziemi bezwarunkowo.

Bogumiła Łyszkiewicza, pochodzącego z Wołynia dwudziestokilkulatka, Kraków skusił nie tylko atmosferą, ale i szansą na zdobycie solidnego wykształcenia. Studiował geografię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Anna Szurlej również przybyła do grodu Kraka po naukę. Skończyła tutaj liceum, następnie studiowała ekonomię. Tutaj też się poznali. To Kraków ich związał. Na wieczorku tanecznym w Rotundzie.

– Bogumiła poznałam poprzez naszego wspólnego kolegę, Jerzego. Po roku narzeczeństwa wzięliśmy ślub. W kościele pod wezwaniem świętego Szczepana.

Rodzina Łyszkiewiczów zamieszkała w XIV-wiecznej kamienicy na ulicy Karmelickiej, w samym centrum starego Krakowa. To miejsce niezwykłe. Przesiąknięte historią. Blisko stąd na Rynek, gdzie przecież działo się wszystko, co najważniejsze dla Krakowa i nierzadko całego kraju. Na Karmelickiej mury kamienic pamiętały jeszcze mieszkające tutaj przed laty tak znamienite postacie jak chociażby wybitny historyk krakowski Ambroży Grabowski czy poeta, podróżnik i rysownik Maciej Stęczyński. Tutaj też mieszkał Tadeusz Boy-Żeleński. Karmelicką w najświetniejszych latach Krakowa podążały królewskie orszaki, gdyż ta właśnie ulica od średniowiecza prowadziła z Wawelu do Łobzowa, gdzie znajdował się letni pałac królewski. Na Karmelickiej mieści się również kościół pod wezwaniem Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny (okna mieszkania Łyszkiewiczów wychodziły na ten budynek), gdzie przed wyprawą na Wiedeń modlił się król Jan III Sobieski i gdzie swój ślub z Teodorą Giebułtowską brał Jan Matejko. Właśnie w takiej scenerii wychowywał się mały Boguś – owoc miłości państwa Anny i Bogumiła Łyszkiewiczów. Nic dziwnego, że ich syn całe życie zakochany był w tym miejscu i później w wielu wywiadach, a nawet piosenkach podkreślał swój związek z Krakowem i ulicą Karmelicką właśnie. Ale powoli… najpierw nasz bohater musiał się w tym Krakowie pojawić.

ANNA ŁYSZKIEWICZ: *Kochałam dzieci. To była więc wielka radość, kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Czekaliśmy na przyjście Bogusia na świat w wielkim szczęściu, niecierpliwie. Mąż był dla nas niezwykle opiekuńczy. Trudno było o wędliny, o innych frykasach nie wspominając. On jednak zawsze powtarzał, że dla dobra mojego i dziecka nie może nam niczego brakować. Jakimś cudem załatwiał wszelkie potrzebne nam rzeczy. Kosztowało go to wiele zachodu.*

Wreszcie nadszedł ten moment…

– Boguś ważył chwilę po porodzie cztery kilogramy. Na świat przyszedł naturalnymi siłami. Bez żadnych komplikacji, w środku nocy. Urodził się z czarnymi włoskami i jak go pierwszy raz ujrzałam, to od razu mu loka na głowie palcami zakręciłam. Bardzo ciemne oczka też miał. Boże, jaka radość! – wspomina Anna Łyszkiewicz.

Było to 3 września 1964 roku. Po latach Bogdan w jednym z wywiadów stwierdzi, że urodził się szczęśliwie w roku, kiedy jego ukochani Beatlesi zagrali w filmie „A Hard Day's Night". – To też musiała być taka noc po ciężkim dniu – skwitował. Dodajmy, że The Beatles w 1964 roku po raz pierwszy odwiedzili USA – drugą po Krakowie „geograficzną" miłość Bogdana. Ale o tym będzie nieco później… W każdym razie Kraków w roku, kiedy urodził się Bogdan Łyszkiewicz, żył przede wszystkim hucznymi odchodami 600-lecia założenia Uniwersytetu Jagiellońskiego. W tym też roku z inicjatywy ówczesnego arcybiskupa Karola Wojtyły powstało w mieście duszpasterstwo akademickie, a na terenie byłego lotniska Rakowice-Czyżyny Aeroklub Krakowski zorganizował Wielką Wystawę Lotniczą, inaugurując działalność słynnego i istniejącego do dziś Muzeum Lotnictwa Polskiego. Mniej więcej w tym samym czasie na lotnisku w Balicach ląduje pierwszy samolot rejsowy PLL LOT, a na deskach Teatru Starego w sztuce „Zaproszenie do zamku" debiutuje absolwent krakowskiej PWST Jan Nowicki.

Mały Boguś Łyszkiewicz

Zerknijmy jeszcze do publikacji Jana Starży-Dzierżbickiego z 1938 roku, w której ten ceniony astrolog charakteryzuje urodzonych 3 września. Znajdziemy tu kilka wyczytanych z gwiazd (i jak się okazuje – zupełnie celnych) spostrzeżeń:

„Jest to szlachetny, prawy, inteligentny i dowcipny człowiek. (…) Współczuje on ludziom nieszczęśliwym i chętnie spieszy im z pomocą w potrzebie. Elegancki w swym kostiumie i sposobie zachowania się – potrafi być uczynnym przyjacielem. Wrażliwy, impulsywny – nieraz interesuje się poważniej sztuką klasyczną. Umysł jego jest bardzo czynny i wykazuje zainteresowania bardzo wszechstronne. Trzeba stwierdzić, że jest to człowiek pożyteczny. Uprzejmy, obdarzony wyższą inteligencją – patrzy na wszystko z punktu widzenia użyteczności społecznej. Czego się strzec winien? Namiętności jego są dość silne, a o ile nie zostaną opanowane i zbytnio wybujają – mogą spowodować przykrości życiowe. W miłości może być narażonym na niemiłe przejścia. Mimo wszystko zrobi karierę, będzie się cieszyć ogólnym uznaniem, a nawet mogą spaść na niego różne zaszczyty".

Myślę, że ta książka udowodni, że w wielu ocenach autor powyższych słów nie minął się z prawdą. By jednak przebyć drogę życia Bogdana Łyszkiewicza, wróćmy ponownie do Krakowa i szczęśliwego dla państwa Łyszkiewiczów roku 1964.

– Imię dla malucha wybrał dumny z posiadania syna tata. Na drugie nasz Boguś otrzymał imię Bolesław. Po moim teściu. Uwielbiałam obserwować jak rósł, zmieniał się. Czarne z początku włoski szybko pojaśniały. Do dzisiaj trzymam w domu, w kopercie, czuprynkę z pierwszego strzyżenia Bogusia. Mąż ją zachował na pamiątkę. Był takim człowiekiem, który zbiera wiele rzeczy, nieustannie porządkuje, układa, segreguje, notuje. Taki kronikarz z niego był. Boguś zdecydowanie miał to po nim – mówi Anna Łyszkiewicz, spoglądając na dziesiątki stron zapisków, teczek i segregatorów męża.

Dzieciństwo na ulicy Karmelickiej upływało małemu szczęśliwie. Łyszkiewiczowie zwykle wybierali się na spacery po starym Krakowie. Na ich trasie był Rynek, Planty i inne atrakcje, w tym zoo, które chłopiec szczególnie lubił. Miał kochających rodziców i pełen ciepła dom – co często później podkreślał.

Niemal rytuałem w domu Łyszkiewiczów były niedzielne obiady, o których Bogdan także później śpiewał.

– W tygodniu przecież jadał w przedszkolu, a ja z mężem w stołówce przy zakładzie pracy. Niedziela była dniem szczególnym. Siadaliśmy wszyscy przy stole na wspólnym obiedzie. Boże Narodzenie też było wyjątkowe. Odświętnie ubrani, wspólnie śpiewaliśmy kolędy. Wszystko przygotowywałam w domu zgodnie z polską tradycją. Nigdy nie kupowałam gotowych wypieków. Mąż zawsze powtarzał Bogusiowi: Patrz, żebyś na przyszłość wiedział, jak w domu święta mają wyglądać – wspomina Anna Łyszkiewicz.

Rodzice starali się wychować syna przekazując mu najprostsze, a przez to najbardziej uniwersalne prawdy i wartości. To one miały

Z ojcem Bogumiłem Łyszkiewiczem

go ukształtować na całe późniejsze życie. Takiego też pokochali go po latach fani w całej Polsce.

– Należałam do przykościelnej Akcji Charytatywnej, to i syn już od dziecka wiedział, że nie żyjemy na świecie sami dla siebie. Zimą pomagaliśmy tym, którzy nie mogą sami ogrzać mieszkań. W kamienicach były przecież piece kaflowe. Wnosiło się więc starszym i schorowanym ludziom do mieszkań węgiel. Boguś często chodził ze mną pomagać. Nie trzeba było go namawiać czy zachęcać. Nigdy nie proponowałam mu też w zamian żadnych nagród, jak to zwykle dziecku. Na krzywdę ludzką był zawsze wyczulony. Później zaobserwowałam, że zupełnie nie przywiązywał wagi do rzeczy materialnych. Przestawały się dla

Odnalezione piosenki | Jeśli | 3:11

niego liczyć, kiedy wiedział, że może komuś dzięki nim pomóc. Jak wychodziliśmy z kościoła, zawsze ktoś rękę po pomoc wyciągał. Syn nigdy nie szukał w kieszeniach drobnych. Oddawał wszystko, co miał przy sobie – wspomina Anna Łyszkiewicz.

– To, co robisz, wraca do ciebie z podwójną siłą. Jeżeli nastawiłeś się w swoim życiu na dawanie, to możesz rozdać wszystko, ale pewnego dnia będziesz miał cztery razy więcej. To są bardzo dziwne zjawiska. Ja bym je opisywał wręcz naukowo. Już pomijając całą metafizyczną sferę, to najprawdopodobniej jakieś energetyczne wibracje mają tu miejsce. Jest wtedy dobry nastrój i dobra atmosfera. Twórzmy ją – mówił po latach.

Na dziecięcych błędach uczył się, co wolno, a czego nie. Na szczęście – ku uciesze rodziców – był pilnym obserwatorem otoczenia. Annie Łyszkiewicz utkwiła w pamięci pewna sytuacja.

– Po pracy odbierałam go z przedszkola. Któregoś dnia wzięłam syna jeszcze na zakupy. Poszliśmy prosto na róg Krupniczej i Podwala, gdzie mieściła się pasmanteria. Już nie pamiętam, ale chyba potrzebowałam tasiemki czy wstążki. Stanął przy ladzie – tam, gdzie były drobne kolorowe guziczki. Kątem oka widziałam, że mu się podobają, że na nie spogląda. Stał grzeczniutko, nie wiercił się. Patrzył w nie jak zahipnotyzowany. Wyszliśmy ze sklepu, a on po chwili otwiera rączkę i mówi: Mamo, zobacz, jakie mam piękne guziczki! Zamurowało mnie. Musiał już widzieć po mojej minie, że coś jest nie tak, bo dalej mówił, ściszając z każdym słowem głos: No, były tam za ladą, wyciągnąłem sobie. Powiedziałam mu, że wracamy do sklepu, że musi sprzedawczynię szczerze przeprosić, że cudzych rzeczy nie wolno nigdy zabierać i że postąpił bardzo nieładnie. Tłumaczyłam w prosty sposób, jak to dziecku. Ale on nie chciał tam wracać. Opór całkowity. Mamo, nie pójdę, mamo, nie pójdę! Krzyk. Długo to trwało, ale w końcu doszło do niego, że źle zrobił. Sprzedawczyni, jak zobaczyła Bogusia i jej guziki, była bardzo zaskoczona. Podziękowała za ich oddanie i tak ta sytuacja się zakończyła. Od tej pory nigdy niczego nie wziął bez zapytania. Spodobało mu się to, że pani mu podziękowała. Chyba zauważył wtedy, że dobro jest nagradzane. Choćby tylko dobrym słowem, ale jednak. Był naprawdę uważnym dzieckiem i w mig łapał, o co w życiu tak naprawdę chodzi. Czarne jest czarne, białe jest białe. Nie trzeba było mu dwa razy tłumaczyć.

BOGDAN W LATACH DZIEWIĘĆDZIESIĄTYCH: *Najtrudniejszy jest w naszym życiu konflikt o treść słów. Gdyby doszło do porozumienia na tej płaszczyźnie, gdybyśmy tylko przestali kłamać… To jest pewna recepta na to, ale chyba nie do zrealizowania jeszcze w tej chwili. Ludzie są zbyt durni, żeby przestać kłamać. Boją się tysięcy różnych rzeczy. Gdybyśmy się przestali siebie bać, byłoby nam lepiej żyć. Na razie jest z tym kiepsko.*

W wieku przedszkolnym przejawiał już pewne chęci i zdolności artystyczne. Przede wszystkim rysunkowe, bo mazał dosłownie wszędzie. Sam napomknął o tym fakcie, kiedy w latach dziewięćdziesiątych przez krótki czas prowadził dziennik, w którym spisał wspomnienia dotyczące między innymi lat spędzonych w przedszkolu.

„Przeżywałem tam pierwsze niespełnione miłości, co przedwcześnie rozbudziło moją artystyczną naturę. By zapomnieć o miłosnych aferach, całymi godzinami rysowałem i malowałem, patrząc na moich kolegów stawiających babki w piaskownicy i podglądających siusiające koleżanki. W atmosferze narastającej izolacji (a trzeba pamiętać, że jestem jedynakiem), pod wpływem nadprzyrodzonego natchnienia doszedłem do przekonania, że jestem wielkim malarzem historycznym. Byłem też prawie pewien, że jako geniusz jestem nieuleczalnie chory, najpewniej na płuca, i wkrótce umrę. W pośpiechu zabrałem się do malowania ulepszonej wersji »Bitwy

pod Grunwaldem«. Jako że w odróżnieniu od mistrza nie byłem krótkowidzem, postanowiłem wzbogacić standardową wizję o elementy, których Matejko nie był w stanie dostrzec. (…) Plany jednak musiałem odłożyć na później, gdyż zakłopotani rodzice nie mogli zaakceptować brzdąca machającego pędzlem i wysmarowanego bardzo drogimi farbami olejnymi, na które tak czy owak nie byłoby nas wtedy stać, a poza tym dostępne były tylko w specjalnych sklepach dla zawodowych plastyków".

W tym czasie rodziły się w nim także talenty sceniczne i chęć do publicznych wystąpień, które mogły być pierwszą wróżbą na przyszłość.

– Przy ulicy Skarbowej działał teatr lalek – wspomina Anna Łyszkiewicz. – Przedsiębiorstwo, w którym pracowałam, zorganizowało tam mikołajki. Bogusia wzięłam na nie wprost z przedszkola. W pewnym momencie konferansjer zapytał, które z dzieci coś zaśpiewa. No to on już nie mógł wysiedzieć. Chce na scenę i już. Mamo, ja pójdę! Mówię mu: Ale synuś, no i co ty w ogóle chcesz zaśpiewać? Nie było mocnych. Wyszedł i zaimprowizował. Coś o żołnierzach, zdaje się. Śmiały był i odważny. Brawa dostał i jakąś nagrodę. Zadowolony był jak nie wiem. Spodobało mu się występowanie. Innym razem poszliśmy z mężem na występ zespołu cygańskiego Roma. Boguś z nami oczywiście. Jak on się tam wspaniale bawił! Koleżanka mówi: Jak ten twój Boguś się śmieje! Faktycznie – tak szczerze i głośno, aż za brzuszek się trzymał.

Szybko przyszedł czas, kiedy małemu zaczęła doskwierać samotność.

– Przeżywał, że nie ma rodzeństwa. Kiedyś podczas spaceru, a pamiętam to jak dzisiaj, szliśmy Karmelicką w stronę ulicy

Boguś (w białym stroju)

Szewskiej, powiedział mi: Mamo, a czy nie skombinowalibyście mi jakiegoś braciszka? Mnie się serce kroiło. Wiedziałam, jaka sytuacja, a ciężko dziecku wyjaśnić, w czym rzecz. Mąż zachorował na raka migdałów, jak syn chodził do przedszkola. Przeszedł bardzo ciężkie zabiegi i właściwie cudem ocalił życie. Lekarze mówili, że po takich perypetiach geny są już zniekształcone. Słysząc diagnozę, zostaliśmy przy tym naszym jednym Bogusiu.

Niejako lekarstwem na samotność – oczywiście niedorównującym wymarzonemu bratu czy siostrze – okazała się niejaka Bimba. Gdy Anna Łyszkiewicz wspomina pewien zimowy dzień, kiedy Bimba pojawiła się w ich domu, szczerze się uśmiecha.

– Spadł pierwszy śnieg. Przychodzę zziębnięta z pracy do domu, a on mnie wita strasznie radosny: Mamo, ale mnie szczęście dzisiaj spotkałO! Pomyślałam, że piątkę dostał, no bo czego mogłam się spodziewać, kiedy dopiero co przyszedł ze szkoły. Patrzę, a pod piecem kaflowym jest zrobiona budka, z której Boguś wyciąga młodego jamnika. Powiedział, że znalazł go przed szkołą zmarzniętego i głodnego. Żal mu go było, a że nikt się nad pieskiem nie litował, to przyprowadził szczeniaka do domu. Zorganizował mu szybko tę budkę, dachówki wymalował na niej – pięknie to zrobił. No cóż, wprawdzie podejrzewaliśmy z mężem, że wersja ze znalezieniem takiego psa jest trochę nieprawdopodobna, jednak przyjęliśmy go do naszego domu. Ku ogromnej oczywiście radości Bogusia. Bardzo był tym faktem uszczęśliwiony. Bawili się razem, wychodzili na spacery. Długo jednak nie wiedzieliśmy z mężem, jakie jest prawdziwe pochodzenie Bimby. Dopiero po dwóch, może trzech latach wszystko wyszło na jaw. Poszliśmy razem z jamniczkiem do biblioteki. Boguś należał do tej na ulicy Krupniczej. Bibliotekarka, widząc psa, wprost wpadła w zachwyt: No, wiedziałam, że w dobre ręce poszedł! Okazało się, że szczeniaka Boguś wyprosił właśnie od niej. Wybaczyłam mu ten przekręt. On naprawdę chciał mieć towarzysza.

Koledzy – tacy na dobre i na złe – pojawili się wraz z rozpoczęciem nauki w szkole podstawowej.

– Można by powiedzieć, że byliśmy przyjaciółmi z jednej ławki… i to by była stuprocentowa prawda, gdyby nie fakt, że najczęściej siedzieliśmy osobno, bo nauczyciele po prostu wiecznie nas rozdzielali. Co tu kryć – rozrabialiśmy. Ja, Boguś i Robert Gola. Byliśmy zgraną paczką – wspomina Robert Adamowski. – Nasi rodzice pracowali. My z kolei kończyliśmy lekcje o dwunastej i aż do siedemnastej byliśmy, że tak powiem – spuszczeni ze smyczy. Jak dzisiaj o tym myślę – to, że nic nam się nie stało, jest jakimś cudem. Jednym z naszych ulubionych zajęć było przecież bieganie po dachach kamienic starego Krakowa. Rozpoznawaliśmy teren z lotu ptaka. Nic nie mogło mieć dla nas tajemnic… Był w tym jakiś dreszcz, kiedy znajdowaliśmy przejścia pomiędzy budynkami, jakieś drzwi, parkany, czeluści, czy pokonywaliśmy zasieki stawiane na nas przez gospodarzy budynków. Pamiętam, że z tych eskapad Bogusiowi zdarzało się przynosić do domu pchły. Podłapywał je od dachowych gołębi, których gniazda napotykaliśmy. Zdaje się, że rodziców doprowadzał tym do szału…

Bogdan uwielbiał tworzyć tak zwane przez siebie „bandy", do których ochoczo werbował kolegów. Zdaniem Adamowskiego – stało się tak, od kiedy przeczytał „Chłopców z Placu Broni"…

– Zaimponował mu Nemeczek. Był nim autentycznie zafascynowany. Nie zdziwiłbym się nawet, gdyby zaczął żuć kit z okien. Tym bardziej, że na dole miał szklarza… Pamiętam, że kiedyś przyniósł kit do szkoły – biały i czerwony. Namawiał nas do żucia. Stwierdziliśmy z Robertem Golą, że może jednak nie za bardzo, że jednak się nie skusimy. W każdym razie te wszystkie bandy, które tworzył, to był właśnie syndrom Nemeczka. To na

Z kuzynem Jurkiem

nim naprawdę robiło wrażenie. Bogdan był liderem. Przychodził i komunikował naszej bandzie, że na przykład trzeba gdzieś iść i „sprawdzić teren". No to szliśmy. Rysował jakieś plany na przerwach, mapy. Kiedyś ze śmiertelnie poważną miną oświadczył, że wie, gdzie jest grób faraona. No to pognaliśmy tam po lekcjach. Przecież jak przyjaciel mówi, że wie, gdzie to jest, to nie ma powodu, by mu nie wierzyć. Odsuwaliśmy jakieś głazy, wchodziliśmy pomiędzy zawory z wodą, pajęczyny… Kilka razy podczas takich eskapad wyłapała nas milicja i rozwiozła po domach. Kiedy indziej Bogdan przyszedł i powiedział, że znalazł… samochód. No to fajnie, mamy brykę – pomyślałem. Rzeczywiście, na Rajskiej stał jakiś zaniedbany pojazd. Nie wiadomo, skąd się wziął i do kogo należał. Szybko wykombinowaliśmy puszkę z farbą, żeby go przemalować. Na szczęście skończyło się na drobnym tuningu, bo momentalnie pojawiła się milicja. Potem znów trzeba było nas odbierać z komendy. Bogdan w swoim stylu – nie popuścił, bo wkrótce po tym przyszedł i zakomunikował, że tym razem znalazł motor. Targaliśmy go przez miasto na podwórko, gdzie podszedł do nas jakiś gość z informacją, że może nam z tego zrobić dwa motory. Stwierdziliśmy, że jak się da, to owszem, chcemy. Przeciął go nam na pół… Bogdan taki był. Wynajdywał jakaś ideę, a my szliśmy za nim w ciemno. Po dachach, piwnicach, ulicach. To nie miało znaczenia.

Czasami i szefowi bandy zdarzają się wpadki…

– Któregoś dnia coś mi się zaczęło nie podobać, bo pytam go, co tam w szkole, a on mi już trzeci dzień odpowiada to samo. Oj, coś nie tak – pomyślałam. Wybrałam się więc do wychowawcy. Profesor, jak mnie zobaczył, to zaraz powiedział: O, jak to dobrze, że panią widzę. Bogusia już trzy dni na lekcjach nie byłO! Wracam więc do domu i pytam go: Dlaczego mnie okłamałeś? Okazało się, że poznał kolegę – Tomka. Zaprzyjaźnili się. Tomek kupował mu bilety do kina i chodzili na filmy zamiast do szkoły. Stanowczo powiedziałam: Boguś, teraz musisz jednak zostać ukarany. Za to, że nas okłamałeś, a wiesz, że razem z tatą tego nie znosimy. To zła cecha. Raz w życiu go wtedy za coś ukaraliśmy. Rozbroił mnie stwierdzeniem, że mam rację i że powinnam go ukarać. Dobrowolnie zgadza się na to. Chciałam być konsekwentna, choć już wiedziałam, że żałuje. Powiedziałam mu, żeby się położył na kanapie, i po chwili dostał ode mnie pasem w tyłek. Nigdy się to już nie powtórzyło – ani kłamstwo, ani lanie.

ROBERT ADAMOWSKI: *Rodzice bardzo go kochali i to było widać. On wiedział o tym. Wiedział też, że nie potrafiliby mu zrobić krzywdy. Pamiętam, jak mojej matce powiedział, że on to nawet*

Z kolegą Jasiem Knapikiem

chciałby, żeby mama go kiedyś zlała… Wtedy by wiedział, że odpokutował i ma z tą sprawą spokój. Choć przyznam, że jak coś przeskrobaliśmy, to zawsze autentycznie zakłopotany powtarzał: „ale co mama na to powie…". Martwił się tym. Nie chciał jej ranić.

Na szczęście Bogdan rzadko fundował swoim rodzicom takie doznania. Owszem, jego zachowany w rodzinnym domu dzienniczek ucznia pełen jest uwag, które rodzice często musieli podpisywać, jednak nie były to wybryki chuligańskie, a bardziej ukazujące jego dziecięco-młodzieńczą fantazję. Cechy, z których później uczynił swój znak rozpoznawczy. Chociażby ten wieczny uśmiech…

„Bogdan mimo zakazu, że nie wolno ruszać imadeł w pracowni, powkładał sobie pisaki i ułożył »komin«. Na upomnienia reaguje uśmieszkami" (pisownia oryginalna).

„Bogdan do schodzącego do klasy pana Skoniecznego powiedział lekceważąco – aroganckim tonem – dzień dobry szanownemu panu, kłaniam się nisko, co wywołało u tego pana odruch zdziwienia. Bogdan w ogóle na moje uwagi reaguje dość dziwnie, jak na ucznia klasy III".

Bogdan wiedział też, jak zaskarbić sobie po tych wszystkich „ekscesach" sympatię matki. Często coś specjalnie dla niej rysował lub pisał, a już obowiązkowe były laurki związane z urodzinami, imieninami czy na przykład Dniem Kobiet.

– Do dzisiaj mam ich cały plik… Kiedyś jednak Boguś postanowił zrobić mi niespodziankę kulinarną. Wchodzę do domu i myślę: o, zaraz będzie laurka. Już się na nią cieszyłam, a tutaj zaskoczenie. Na stole czysta serweta, a na serwecie tort. Upieczony przez Bogusia oczywiście. Jak długo w piecu go trzymał, to nie wiem, ale czarniusieńki był. Nie mówię już, jak kuchnia wyglądała. Jajka, skorupki, mąka – wszystko wszędzie. To jednak nie było ważne. Boguś strasznie się postarał, by ten dzień był dla mnie wyjątkowy. No i taki właśnie był. Nie lubiłam Dnia Kobiet, ale jego gest sprawił, że był to jeden z najpiękniejszych momentów, jakie pamiętam.

Kulinarne zapędy Bogdana zapamiętał też Robert Adamowski.

– Jednym z jego dziwnych pomysłów było to, że w pewnym momencie postanowił sobie, że nasza banda może nie tylko skakać po dachach, ale też… piec ciasta. Po szkole więc zjawialiśmy się u niego na Karmelickiej i zaopatrzeni w książkę kucharską

próbowaliśmy to robić. Ależ był bałagan! Mąka, jajka – wszystko w obrotach. To były lata, kiedy nie było tak łatwo o składniki, a przyznam, że my z rozmachem je marnowaliśmy. W każdym razie, dopóki mu nie przeszło z tym pieczeniem, to szkód narobiliśmy pani Ani, zdaje się, mnóstwo.

W tym czasie Bogdan został zapisany do harcerstwa. Wiązało się to z częstymi wyjazdami. W listach, które przysyłał do domu, na bieżąco informował o życiu druha. Oto fragment jednego z nich:

„Kochani Rodzice. Jak przyjechałem na miejsce obozu, padał straszny deszcz, na szczęście namioty były już rozbite. Jedzenia mamy w bród, chodzę nażarty jak bąk. W namiocie mamy stolik i półkę przez siebie zrobioną. (…) Raz powiedziałem brzydkie słowo na „d" i dostałem wiaderko wody na głowę, bo taki jest zwyczaj w harcerstwie. Wiadro sam niosłem z jeziora i sam musiałem na siebie wylać. (…) Tęsknię trochę za wami, tu jesteśmy odcięci od świata. Spotkałem już żmiję. W gumiakach chodzić nie mogę, bo są tak ciasne, że mam od nich spuchnięty palec. Na razie nie kąpiemy się w jeziorze, chociaż boje są ustawione. Najgłębsze miejsce, w którym się będziemy kąpać, sięga mi po pas. Bardzo proszę, szybko mi odpiszcie, jak się czuje mama, tata i Bimba. Przyślijcie mi materac! Na tym kończę i całuję Ciebie Mamo 1000 razy i Ciebie Tato 1000 razy! Boguś".

W szkole podstawowej udzielił swojego pierwszego w życiu wywiadu. Do klasy zawitała Elżbieta Dziwisz, dziennikarka „Gazety Południowej", by wypytać dzieci o mający nastąpić za 23 lata magiczny rok 2000. Jak będzie wtedy wyglądał świat, co przełomowego stanie się w technice, modzie, zachowaniach? Bogdan zabrał głos na temat odżywiania, po tym jak jego koleżanka stwierdziła, że w roku 2000 jedzenie będzie w pastylkach. „W ten sposób nie byłoby na Ziemi grubasów! Bo nikt by się (pastylkami) nie objadał" – stwierdził. Ocenił też, że w 2000 roku „najlepiej byłoby podzielić Kraków na cztery duże dzielnice. W pierwszej – stary Kraków – wszystko, co w nim zbudowano do końca XX wieku. Druga dzielnica ma być nowoczesna – z fabrykami i szkołami. Trzecia część miasta powinna zostać zamieniona w wielki ogród botaniczny. Tutaj ludzie przychodziliby wypoczywać. W czwartej człowiek mógłby się przenieść do tej epoki, która mu najbardziej odpowiada. Ktoś chce mieszkać na przykład w starożytnym Rzymie – nakręca wielki elektroniczny zegar i już widzi Koloseum…". Bogdan buntował się też przeciw mającej zapewne nadejść erze komputerów i zupełnemu wyręczeniu przez nie w wielu zajęciach człowieka – „uważam, że człowiek musi pracować. W końcu, gdyby wszystko robił za niego komputer, to on by przestał w ogóle myśleć!".

Kto wie, czy właśnie debiut na łamach „Gazety Południowej" nie był dla Bogdana bodźcem do stworzenia własnego organu prasowego. Konkretniej – miała to być gazeta wydawana przez jego bandę działającą pod kryptonimem „Wieniec". Bogdan dowodził jej jako „szef" o pseudonimie „Bury Wilk". Oprócz Bogdana należeli do niej jego koledzy, między innymi „Wielki Piorun" i „Czarna Błyskawica". W zachowanym „Liście Szefa" do reszty szajki czytamy: „Myślę, iż w naszej bandzie może być gazeta. Wszystko byłoby w niej zamieszczane, czyli wiadomości o sprawach związanych z naszą grupą. Gazeta byłaby dwutygodnikiem. Proszę o spełnienie prośby".

Pierwsze wydanie „Głosu Lenia", bo tak członkowie bandy nazwali swoje czasopismo, ukazało się w piątek 19 maja 1978 roku. „Głos Lenia" wydawany był w nieznanym już dzisiaj nakładzie. Pisany długopisem na kartce formatu A4 (w kratkę) i powielany przez kalkę. Z zachowanego egzemplarza gazety dzięki artykułowi autorstwa Bogdana możemy dowiedzieć się między innymi, że (pisownia oryginalna): „Wczoraj w godzinach popołudniowych korespondent LAP (Leniwej Agencji Prasowej) w Afryce dokonał sensacyjnego odkrycia. Pewnej murzynce porwano dziecko i w zamian podłożono

nowo narodzoną małpę antropoidalną. Gdy nieszczęsna matka dowiedziała się o tym, wpadła w okrutne spazmy, które trwały dwie i pół godziny. Przestraszeni mieszkańcy wioski uciekli i wkrótce zostali pożarci przez lwy. Matce przeszło i powróciła ona do życia, karmiąc małpiątko własną wychudłą piersią. Zdobywała pożywienie dla siebie i dla małpy. Po 6 latach symbiozy małpy z murzynką małpa opanowała perfekt narzecze, którym posługiwała się murzynka. Ponieważ murzynka znała co nieco rachunków, nauczyła małpę podstaw dodawania i odejmowania. Nauka ta przyniosła niespodziewane skutki. Małpa teraz opracowuje nowe, nieznane do tej pory ludzkości urządzenia. Obecnie stwierdzono, że małpa przewyższa inteligencją inżyniera".

We wspomnianym wydaniu „Głosu Lenia" ukazał się jeszcze artykuł o „Kozie", a wolne pół kolumny zapełnił wiele mówiący o charakterze samej gazety, jak i współpracujących z nią redaktorów tekst: „Z powodu lenistwa redakcji dalszej części nie zapisano".

ROBERT ADAMOWSKI: *Bogdan był też uzdolniony plastycznie. Zawsze dobrze rysował, więc wszyscy już wtedy wróżyli mu, że skończy co najmniej na Akademii Sztuk Pięknych. On jednak deklarował, że tak na dobrą sprawę to tego robić nie lubi, a że ma talent, no cóż… udało mu się po prostu mieć taką zdolność. Tak do tego podchodził. Miał też zacięcie batalistyczne. Pamiętam, że na lekcji zrobił kiedyś ze starych długopisów armatę. Polegało to na tym, że przez połowę tej lekcji nabijał ją siarką z zapałek, a na koniec uturlał kulkę z papieru. Po czym po lekcji odpalił to i kulka wyleciała na siedemdziesiąt centymetrów. Nikt z nas nie wierzył, że to zadziała… Lubił też sport. Chodziliśmy na basen Cracovii – dlatego że dało się tam wejść bez biletu, a poza tym wokół rosły drzewa z mirabelkami, więc mieliśmy co podjadać. On świetnie pływał. W wieku dziewięciu lat pokonywał już spore dystanse.*

Rodzina Łyszkiewiczów, w ciągu roku zapracowana, latem w komplecie wyjeżdżała na wakacje. Bogdan uwielbiał podróże. Zawsze długo na nie wyczekiwał. Widać fascynacja tym, co też może mieścić się poza Krakowem, była u niego wczesna. Jeden z takich wyjazdów o mało co nie skończył się dla niego tragicznie. Bogdan właśnie skończył naukę w piątej klasie, a na wypoczynek Łyszkiewiczowie wybrali się do Międzygórza.

– To był drugi dzień naszego wakacyjnego pobytu. Na kolację śledzie. Mąż i syn ryby uwielbiali. Jednak Boguś jakoś dziwnie nie miał na nie ochoty. Mąż sprytnie zrobił mu takie małe porcyjki i wtedy dopiero tę rybę zjadł. W nocy się okazało, że są kłopoty. To było ostre zatrucie. Nie przechodziło, więc już w ciągu dnia przyjechało do nas pogotowie. Dostał zastrzyki, ale zupełnie nie pomagały. Znów przyjechał lekarz z pogotowia i znów zastrzyki. Widząc, co się dzieje, nalegałam: Doktorze, proszę zabrać dziecko do szpitala. Wyczerpany był niemiłosiernie. W karetce ledwo wyszeptał do mnie: Mamo, ja wam chyba nie będę żył. Mnie aż ciarki po ciele przeszły. Starałam się jednak zachować spokój. W szpitalu lekarz do mnie podszedł i mówi: Dobrze, że tutaj przyjechaliście, jeszcze godzina, może dwie i chłopak by tego na pewno nie przeżył. Dwa tygodnie spędził w szpitalu. Przychodziliśmy do niego każdego dnia. Przy okazji odwiedzaliśmy też innego chłopczyka – Cygana, bo sam leżał tam biedak i nikt do niego nie zaglądał.

Szósta klasa szkoły podstawowej to czas, kiedy Bogdan zaczyna przejawiać poważniejsze zainteresowanie muzyką. Jest to zrozumiałe o tyle, że w jego życiu jest jej coraz więcej. W domu pogrywa radio, rodzina często wychodzi na koncerty, a swoje robią też wspomniane obozy harcerskie. Szczęśliwym trafem dla całej rodzimej muzyki rozrywkowej, w szkole, do której uczęszczał, pewnego dnia zjawiła się profesor z Filharmonii Krakowskiej.

– Prowadzono nabór do chóru. Warunkiem przyjęcia było posiadanie dobrego słuchu i jednocześnie dobrych stopni. Tak, by dzieciom zajęcia nie kolidowały z nauką. Jako że w szkole podstawowej Boguś uczył się dobrze (bo w średniej to już było z nim gorzej), a i słuch – okazało się – ma wyśmienity, to się zakwalifikował. Długo tam jednak nie pośpiewał. Pewnego dnia przyszedł do domu i mówi: mamo, jesteś proszona do filharmonii, pani profesor chce z tobą rozmawiać. Na miejscu usłyszałam, że Boguś rozrabia. On twierdził, że wcale nie, że to koledzy z jego grupy wrobili go w jakąś sytuację. Po tym wydarzeniu już nie chciał chodzić do filharmonii. Oznajmił mi to oficjalnie i w bardzo dyplomatyczny sposób. Cóż, wiedziałam już, że na siłę nic się z tym nie zrobi. Zależało mi jednak bardzo, by się rozwijał muzycznie i poznał nuty. Jemu zresztą też. Tym bardziej że był ambitny. Zapytałam: Boguś, a może w takim razie chciałbyś się uczyć w szkole muzycznej? On na to: a wiesz mamo, bardzo chętnie.

Z tym jednak był problem, bo rok szkolny trwał już dwa miesiące.

– Nie czekając ani chwili, udałam się na Basztową. W sekretariacie oznajmiono mi, że to będzie ciężka sprawa. Jest już po naborze. Polecono mi jednak przyjść z synem. Była szansa, że jak go przesłuchają, to coś się jeszcze uda zrobić. Poszliśmy we trójkę, bo mąż też był tego wszystkiego ciekaw. Przesłuchanie trwało dość długo. W końcu radosna wiadomość – przyjmą gO! Jeszcze musieliśmy tylko wybrać instrument, na jakim będzie się uczył grać. Sam Boguś był niezdecydowany. Wspomniał coś o gitarze. Ja z kolei pomyślałam o pianinie, bo sama długo w życiu żałowałam, że nie nauczyłam się grać na tym instrumencie, a muzykę przecież bardzo kocham. Pani profesor jednak zasugerowała coś innego. Obejrzała dłonie Bogusia, „zajrzała mu w zęby", a potem poprosiła do sekretariatu pana profesora Latę. Pan Lato grał w filharmonii na klarnecie. Przyszedł po chwili właśnie z tym instrumentem i zagrał coś, by nam zademonstrować, jak brzmi. W końcu zapytał Bogusia: no to co, podoba się? Widziałam, że syn podszedł do tego bez większego entuzjazmu, ale w końcu (może z grzeczności) powiedział, że tak. Szybko się okazało, że klarnet jednak bardzo mu odpowiada. Był bardzo ambitny. Ćwiczył godzinami. Po prostu uwielbiał grać. Gorzej było z przedmiotami teoretycznymi. Ciągle musiał odpisywać lekcje od koleżanek, bo podczas zajęć nie notował na bieżąco. Wszystkie zeszyty miał nie tyle zapisane, co zarysowane. Najczęściej żołnierzami w pozycjach bojowych, a później – Beatlesami.

W 1996 roku w jednym z wywiadów Bogdan wspomniał moment wyboru instrumentu i dalszą przygodę z nim.

– Zgłosiłem się do szkoły, by grać na gitarze. Całe szczęście, że mnie nie przyjęto, bo nabrałbym klasycznych manier. Nie wiadomo, jaki to mogłoby mieć wpływ na moje tak zwane rock'n'rollowe muzyczne poglądy, chociaż pewnie niekorzystny. Byłem w takim wieku, że już było za późno na cokolwiek innego. Pokazano mi różne instrumenty i najbardziej spodobał mi się klarnet. Zafascynował mnie niemal od razu. Mogę powiedzieć, że miłość od pierwszego wejrzenia. Jakkolwiek nie zdawałem sobie sprawy, że nauka gry na nim wymaga tak dużo pracy.

Bogdan trafił do klasy prowadzonej przez Witolda Buszka. Rok 1976 był pierwszym rokiem pracy w jego karierze profesorskiej. Był to początek barwnej znajomości, a właściwie wieloletniej przyjaźni z całą rodziną Łyszkiewiczów.

– Boguś był chłopcem inteligentnym i muzycznie uzdolnionym. Z początku jednak nie przykładał się do nauki. Chyba nie bardzo widział siebie jako wyedukowanego klarnecistę. Często opuszczał zajęcia. Z powodu nieobecności co najmniej trzy razy wylatywał ze szkoły. Jak już przychodził, to prosił mnie, bym mu grał na pianinie… utwory Beatlesów. Na szczęście szybko coś w nim pękło i zapłonął

miłością do tego klarnetu. Nagle zaczął robić wielkie postępy. Można powiedzieć, że odwdzięczył się szkole za to, że na dobre go nie wyrzucono, bo doszło nawet do tego, że Bogdan zajął drugie miejsce w liczącym się, prestiżowym konkursie. To był jego spektakularny sukces jako klarnecisty. Bez problemu dostał się do średniej szkoły muzycznej. Będąc uczniem Piotra Syroki, dojeżdżał do Warszawy na dodatkowe lekcje do samego mistrza i absolutnej ikony klarnetu – Alojzego Szulca. Grał zresztą na ręcznie robionych przez niego stroikach. Nasza znajomość szybko ewoluowała. Poznałem jego rodzinę. Spędzałem u Łyszkiewiczów wiele czasu na wspólnych rozmowach. Widywaliśmy się też w święta i wspólnie muzykowaliśmy. W ich domu na Karmelickiej stało stare pianino, na którym grywaliśmy na cztery ręce. Różnica wieku między nami nie była wielka (zacząłem pracę w szkole muzycznej, mając dwadzieścia lat). Mieliśmy wiele wspólnych pasji i tematów do długich dyskusji. Był też przede wszystkim czas na naukę, bo tak jak wspomniałem, klarnet stał się dla Bogdana w pewnym momencie niezwykle ważny – wspomina Witold Buszek.

ROBERT ADAMOWSKI: *Pamiętam ten jego klarnet. Wkręcał nas, że klawisze są ze srebra…*

W rodzinnym domu Łyszkiewiczów zachował się kalendarz, w którym Bogdan zapisywał czas spędzony na ćwiczeniach. Nie odpuszczał sobie. Grywał godzinami przez okrągły rok. Czasem nawet po jedenaście godzin dziennie. Rzadko po trzy czy cztery godziny. Średnia wychodziła mu mniej więcej sześć do ośmiu.

– Wieczorem, zanim położył się spać, przychodził do mnie z prośbą, bym go wcześnie rano obudziła. Tłumaczył, że musi ćwiczyć. Pochłonęło go to. Bardzo szybko zaczął robić postępy. Pięknie grał Mozarta,

Bogdan z klarnetem. Szkoła muzyczna

ale też utwory innych wielkich kompozytorów. Do dziś, kiedy słyszę tę muzykę w radiu, w jednej chwili przypominam sobie Bogusia z klarnetem. Nuta w nutę to samo – dodaje Anna Łyszkiewicz.

Bogdan w tym czasie był też ministrantem.

– Niemal wszyscy moi koledzy nimi byli. Spotykaliśmy się po mszach i po prostu różne rzeczy robiliśmy. To samo co robią harcerze po zbiórkach i inne dzieciaki. Wiadomo jak to jest, jak się ma czternaście lat. Bieganie, zabawy. To była o tyle ciekawa część mojego życia, że poznałem wtedy wiele osób, które mi w kilku sprawach później pomogły. Wiem, że Kościół nie jest w stu procentach nowoczesny, ale w dalszym ciągu pozostaje inspiracją dla wielu ludzi. Sama jego obecność przez tyle wieków już nią jest – wspominał po latach.

– Służył do mszy, podczas których kazania głosił ksiądz Tischner, wielki autorytet moralny Bogdana. Myślę, że to właśnie przy nim ugruntował swoją życiową filozofię wielkiej tolerancji i myślenia o drugim człowieku – uważa Witold Buszek.

Sprawę nieco naświetla Robert Adamowski:

– Ministrantem został trochę dzięki mnie. Sprawa była dość prozaiczna. Moja mama wychodziła wcześnie rano do pracy i razem z moją siostrą – nie chcąc zostawiać nam kluczy do mieszkania – zaprowadzała nas pod szkołę, gdzie dość długo zmuszeni byliśmy czekać na rozpoczęcie lekcji. Nieraz bywało zimno, więc chodziłem się ogrzać do pobliskiego kościoła. W końcu zainteresował się mną jeden z księży, który patrząc na mnie stwierdził: Chłopcze, skoro tak często tutaj bywasz, to zostaniesz ministrantem… Boguś szybko się tym moim nowym zajęciem zainteresował i wkrótce też nim został. Służyliśmy więc u kapucynów obaj. Później ja już odpuściłem, a on z czasem „awansował” dalej.

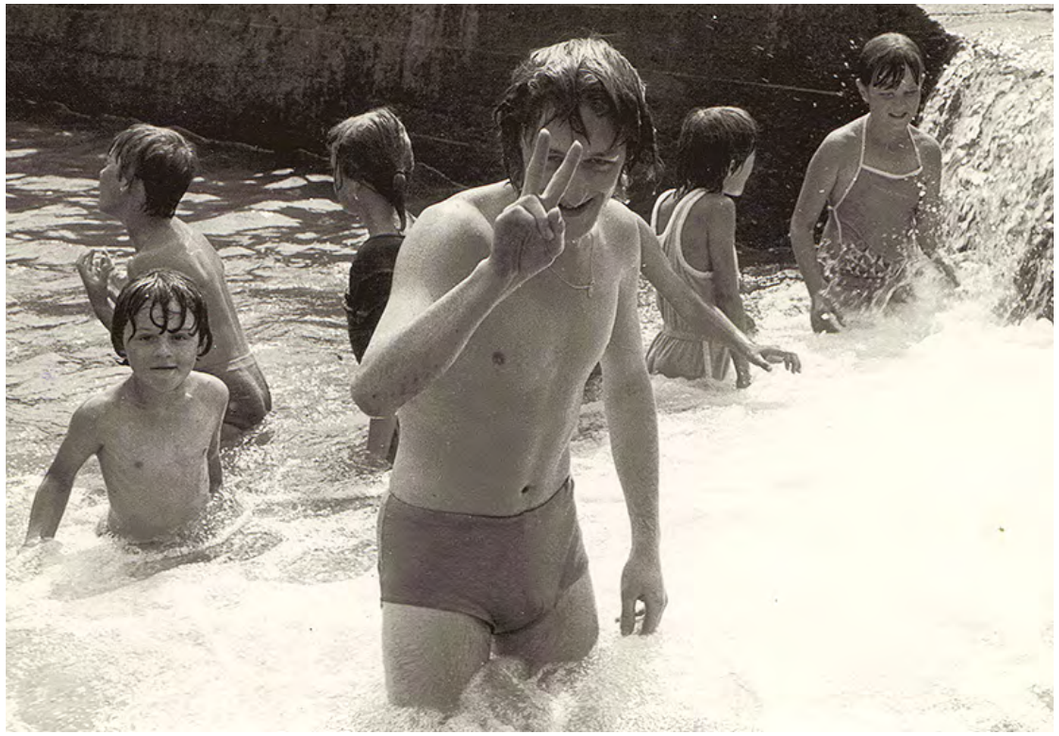

Z charakterystycznym dla siebie pozdrowieniem

Istnienia sił wyższych był Bogdan świadom bardzo wcześnie. Wypowiadał się na te tematy zarówno w pisanych przez siebie piosenkach, jak i udzielanych wywiadach. Jednak nigdy nie robił tego nachalnie. Rozwijał swoje myśli, kiedy ktoś go o nie wyraźnie podpytywał. W żadnym wypadku nie był religijnym fanatykiem. Uważał po prostu, że wszystko, co najlepsze, bierze się od Boga, z którym on się już wtedy szczerze zaprzyjaźnił.

– To jest najlepszy temat, jaki w ogóle istnieje. Temat Boga. Jedyny godny uwagi. To jest temat, dzięki któremu żyjemy. Jest wiele religii i jest wiele dróg. Wszyscy są jednak chyba zgodni co do tego, że należy posługiwać się w życiu miłością. Niektórym się wydaje, że jej nie ma w ogóle. Ale to są tacy ludzie, po prostu urządzenia uszkodzone. Jeśli się oczywiście założy, że wszyscy jesteśmy jakimiś tam mechanizmami. Dla mnie Bóg jest miłością. Bo czym jest

miłość? Każdy z nas znajduje w swoim życiu na to odpowiedź. Można szukać Boga w przejawach przyrody, ale najwięcej Boga mamy w sobie. Trzeba się zakochać najpierw w sobie, a potem we wszystkim innym. Nie możesz nikogo kochać, jeżeli nie kochasz siebie. To jest sprawa dotycząca wszystkich religii i wszystkich wyznań. To jest sprawa oczywista – mówił na początku lat dziewięćdziesiątych.

Z kolegami (Pierwszy z prawej Andrzej Zaręba)

W szkole średniej zdarzały się i wagary. Bo choć Bogdan lubił szkołę, to czasem lubił też sobie od niej odpocząć. Niekoniecznie jedynie w weekendy, ferie czy wakacje. Wiernym towarzyszem eskapad był ówczesny przyjaciel Bogdana – Andrzej Zaręba.

– Poznaliśmy się późną jesienią w pierwszej klasie liceum. Puszczałem akurat kółka z dymu. Bogdan podszedł zaciekawiony: O, widzę, że palisz papierosy! Wspólny nałóg nas połączył, bo on w tym czasie też już popalał. Między innymi w szkolnej toalecie, gdzie dyskutowaliśmy o modnych wtedy chesterfieldach. To było w pewnym sensie „pruskie" liceum, które zajmowało się głównie przykręcaniem ludziom śruby. Trochę nam to nie pasowało, więc na swój sposób się buntowaliśmy. Stąd liczne wspólne wagary. Bogdanowi nie przeszkadzały w nauce, bo radził sobie całkiem nieźle. Dla mnie było to bardzo ciekawe, ponieważ obok nauki i wagarowania, równocześnie grał na klarnecie. Z jednej strony świetnie dawał sobie radę z matematyką, która dla mnie zawsze była czarną magią, a z drugiej interesował się muzyką. Bogdan na początku naszej znajomości trochę się wstydził tego swojego klarnetu. Jak ktoś go podpytywał: Słyszałem, że grasz na czymś – to tonem ucinającym temat odpowiadał: A, na takich tam różnych instrumentach… – Ale na czym? – następowało kolejne pytanie. – Na klarnecie, ale nie chciałem tego, wiesz – odpowiadał. Odnosiłem wrażenie, że momentami sam sobie wmawiał, że to takie fajne zajęcie… Zrywając się ze szkoły, często chodziliśmy na Karmelicką. Jego rodzice byli w tym czasie w pracy, więc mieszkanie było dla nas. Pamiętam, że pytałem go, gdzie ćwiczy. Mieszkanie było małe i akustyka w nim średnia. Powiedział, że aby grać, coś słyszeć i nie przeszkadzać rodzicom, wchodzi do szafy. Nawet przy mnie się do niej wpakował. Wiele rozmawialiśmy o dziewczynach. Bogdan wiecznie był nieszczęśliwie zakochany. Większość chłopaków w tym wieku ma problem z tym, że podobają im się dziewczyny, na których nie robią żadnego wrażenia. Często zmieniał obiekty westchnień. Beznadzieja kompletna… – ta mu się podoba, potem tamta. Chciał się zakręcić, ale był odrzucany. Klarnet mu zapewne też w tym nie pomagał. Nie był dobrym narzędziem walki o względy dziewczyn.

Mniej więcej w tym samym czasie Bogdan się poznaje się z Mariuszem Bembenkiem, który tak wspomina te lata:

– Wszyscy już w jakimś stopniu interesowaliśmy się nie tylko dziewczynami, ale też muzyką. Właśnie dzięki niej poznałem Bogdana. W tamtym czasie byłem uczniem technikum łączności i właścicielem prymitywnego, ale dość funkcjonalnego sprzętu nagłośnieniowego. W liceum, do którego Bogdan i Andrzej uczęszczali, nagłaśniałem kiedyś szopkę noworoczną. Jakiś czas później poproszono mnie o obsługę szkolnego koncertu. Tego dnia wystąpiły tam dwa amatorskie zespoły. Jeden grał pod Procol Harum, a drugi rock'n'rolle i kawałki Beatlesów. Wśród publiczności dość szybko dostrzegłem człowieka o średniowiecznej urodzie, który sprawiał wrażenie, że wszystko mu się tam podoba. W każdym razie zachowywał się bardzo entuzjastycznie. Potem dowiedziałem się, że mówią na niego „Łyzia"… Porozmawialiśmy później trochę o muzyce, a po niedługim czasie – zakolegowaliśmy się. Pamiętam, że zdarzało nam się chodzić na giełdy płytowe. On już wtedy miał jakieś plany na zostanie muzykiem. Co prawda jeszcze zupełnie niezaawansowane… dopiero coś w tym temacie knuł. Czasami pogrywał już na gitarze. Charakterystyczne dla niego było to, że nigdy nie znał całego utworu. Grał kawałek do refrenu, prześpiewywał go, ale przed mającą nastąpić drugą zwrotką zaczynał już co innego. To samo działo się w kościele. Boguś sunął pod sam ołtarz, śpiewał głośno z babciami pierwszą zwrotkę, a potem nagle milkł, bo już dalej nie pamiętał tekstu… Ale dzielny był. Próbował z nimi nawet na głosy śpiewać.

Andrzej Zaręba chętnie wspomina wspólne wyjazdy wakacyjne.

– Pojechaliśmy kiedyś na Mazury. Pierwsze wakacje po stanie wojennym i przejazd pociągiem przez całą Polskę do Mrągowa. Sama podróż była ciekawa. Mieliśmy kolegę Cezarego Pękalę – prawie genialnego elektronika, który miał też inne hobby – pisanie łzawych listów do zagranicznych twórców z prośbami o płyty. Posiadał przez to pokaźną kolekcję. Dostawał też listy od muzyków, które nam potem czytał z wypiekami na twarzy. Na wspomniany wyjazd Cezary wziął absolutne novum – walkmana, którego sam zrobił z kuwetki dla kota i jakichś części, zapewne wymontowanych z różnych radioodbiorników i telewizorów. Był tak zmyślnie skonstruowany, że wszyscy mogliśmy jednocześnie podłączyć do niego słuchawki, co umilało nam podróż i wzbudzało szok u konduktorów, gdy odnajdywali nas w kuszetce w gąszczu kabli. W Mrągowie Cezary przeżył tragiczny zawód sercowy, kiedy zakochał się bez wzajemności w pannie, i w celu udowodnienia głębokości uczuć postanowił się zabić. Prawie mu się to udało… Przyjechało pogotowie, akcja ratunkowa, te sprawy. Wakacyjna miłość nie została więc skonsumowana. Stamtąd pojechaliśmy pociągiem do Chałup na Helu. Pamiętam, że całą drogę rozmawialiśmy z marynarzem, który snuł morskie opowieści i częstował nas papierosami. Staliśmy z nim koło kibla zasłuchani. Bogdan był zachwycony jego historiami.

MARIUSZ BEMBENEK: *Boguś z Andrzejem tworzyli na wyjazdach zgrany duet. Dziewięćdziesiąt procent spędzonego tam wspólnie czasu to było w ich wykonaniu jedno wielkie „jajo". Momentalnie też wydawali wszystkie pieniądze… Kiedyś nad morzem pojechali pekaesem zrobić dla nas wszystkich zakupy. Przywieźli bochen chleba i butelkę spirytusu… Boguś miewał wtedy takie klimaty bycia wyjątkowo dumnym z faktu, że jego rodzina pochodzi z Kresów. Wziął na plażę ze sobą starą przedwojenną manierkę. Nalał do niej tego spirytusu i zakomunikował, że on nam teraz pokaże, jak się pije na Wschodzie. Pociągnął i… momentalnie pobiegł pić na kolanach morską wodę. Pamiętam też zimowy*

wyjazd do Zakopanego, kiedy z Andrzejem urządzili sobie wojnę na dezodoranty naszych koleżanek. Innym razem starali się tak chodzić po budynku, żeby nie dotykać podłogi… Mieli głupie pomysły i je realizowali. Mieszkaliśmy w Domu Pracy Twórczej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pani z obsługi ostrzegała nas, żeby być cicho, bo jeden z profesorów w skupieniu nad czymś pracuje. Poważna sprawa. Boguś długo nie wytrzymał. Uwiesił się na kolumnie i strącając z poddasza sople, darł się prosto w okna – nawiązując do „Janosika": MurgrabiO! Później, siedząc w pokoju i słysząc kroki z piętra, wymyślili sobie, że tam z pewnością chodzi Szczuka z „Popiołu i diamentu"…

Po letnich czy zimowych wojażach znów nauka i… kolejne wagary.

– Chodziliśmy na tak zwane obserwacje przyrodnicze. Pod pomnikiem Mickiewicza na Rynku spotykali się miejscowi hipisi, zwani też „ruchem". Wśród nich był słynny „Dekabrysta". Ci ludzie byli kolorowi, co pewnie w dużym stopniu zwracało uwagę Bogdana. Nie ciągnęło go do narkotyków, z czym hipisi byli wtedy kojarzeni. Po prostu lubił ich obserwować. Wtedy też poznaliśmy Maćka Maleńczuka. Chłopak z dobrej rodziny, wyraźnie „hipisujący". Pięknie grał na dwóch fletach jednocześnie. Już wtedy był to kontaktowy facet, z niezwykle ostrym i logicznym widzeniem rzeczywistości – wspomina Andrzej Zaręba.

MACIEJ MALEŃCZUK: *To był początek fajnej znajomości. Kiedy na początku lat osiemdziesiątych nie przyjąłem karty powołania, czym dość spektakularnie odmówiłem służby wojskowej i w efekcie trafiłem do więzienia – Bogdan rozlepiał plakaty, pikietował i nosił transparenty z napisem* „UWOLNIĆ MALEŃCZUKA!". *Mocno się wtedy zaangażował. Działał między innymi z Jankiem Rokitą, który – choć trudno dzisiaj w to uwierzyć – nosił długie włosy. Po powrocie z odsiadki byłem w Krakowie otoczony specyficznym nimbem. Trochę jakbym z kosmosu wrócił. Wywozili mnie jako średnio znanego osobnika, a wypuścili już całkiem znaną postać. Niewielu wiedziało, jak wyglądam, ale nazwisko Maleńczuk było kojarzone.*

– Bogdan walczył z systemem na swój sposób. Nie podobał mu się – dodaje Andrzej Zaręba. – Miał na to wpływ z pewnością fakt, że pochodził z patriotycznej rodziny. Ponieważ jego ojciec często opowiadał w domu o tym, co działo się na Wschodzie, nigdy nie pasował mu wszechobecny „wielki brat". Co prawda zawsze chciał być pacyfistą, motylem, który stoi z dala od polityki, ale to, co słyszał w domu, nie pozwalało mu pozostać obojętnym. Moja mama też pochodziła z Łucka, więc i z nią Bogdan niejednokrotnie rozmawiał na tematy historyczne. Wtedy mówienie publicznie o tym, co się stało na Kresach po 1939 roku, było absolutnie niedopuszczalne. Jego ojciec, moja mama, mój dziadek wiedzieli, jaka była prawda. Znaliśmy inną wersję historii niż ta, którą serwowano nam w szkołach. To cementowało naszą przyjaźń.

Anna Łyszkiewicz wspomina szkolne wypracowania syna. Z wielu z nich musiała się tłumaczyć. Bogdan od dziecka miał sprecyzowane poglądy na otaczającą rzeczywistość. Świadczą o tym zapiski z przytaczanego już dziennika.

„Gdy cały świat szalał na punkcie wielkiej czwórki z Liverpoolu, w Polsce królowali »Czterej pancerni«. Beznadziejnie nudny serial o rzekomym braterstwie broni żołnierzy Armii Czerwonej i LWP. Emitowany, o zgrozo, dwadzieścia lat od tragicznych wydarzeń w Katyniu, gdzie resztki polskiej inteligencji, której nie zdążył wytępić Hitler, dobiła strzałami w tył głowy grupa zwyrodnialców z NKWD. Głupi serial o czterech pancernych cieszył się olbrzymią sympatią perfidnie, systematycznie i nad wyraz skutecznie preparowanej publiczności,

która w napięciu oczekiwała na kolejne odcinki tej ponurej farsy. We wszystkich Krajach Demokracji Ludowej lansowany był niemiłosiernie. Rekordy popularności notował nawet w Chinach oraz prawdopodobnie na spragnionej gorących emocji Kubie. W istocie to obrzydliwe filmidło było i jest do dziś hańbą polskiej kinematografii. (…) Brednie w stylu »Czterech pancernych« miały za zadanie odciągnąć młodych ludzi od istotnych nurtów rozwijającej się w latach sześćdziesiątych kultury młodzieżowej. Zamiast zakładać skiflowe kapele, będące współczesną wersją ulicznego grania, młodzi Polacy, cofając się o sto lat, masowo udawali kiczowatych pancerniaków, a swoje zainteresowania seksualne kierowali w stronę radzieckiej sanitariuszki Marusi, która pełniła rolę symbolu seksu, prezentując swoje wdzięki w siermiężnym sowieckim mundurze. Przybrana zalotnie w furażerkę z czerwoną gwiazdą miała zastąpić z powodzeniem Marilyn Monroe i Brigitte Bardot. Zamiast marzyć o gitarze, wzmacniaczu czy odlotowej bryce, znacznie częściej pojawiały się sny o hełmofonie, ranach poniesionych na froncie, opatrunkach i medalach za odwagę. Na usprawiedliwienie polskiej widowni można tylko dodać, że rzeczywiście byliśmy wówczas odcięci od świata, a jedyną formą kontaktu z autentyczną informacją były bezlitośnie zagłuszane audycje radiowe Głosu Ameryki, BBC czy Wolnej Europy. Tak więc Naród Polski sterowany machiną propagandową przewyższającą w swej perfekcji samego Goebelsa, zapatrzony w ekran telewizora głupiał i marniał w oczach".

W roku 1985 Łyszkiewiczowie zmuszeni byli wyprowadzić się z mieszkania na ul. Karmelickiej. Z samego serca starego Krakowa. Otrzymali przydział w rozbudowujących się w tym czasie blokowiskach Nowej Huty. Bogdan, wtedy już 21-letni młodzieniec, wyraźnie nie mógł się z tym pogodzić.

W momencie opuszczenia zabytkowej kamienicy, z właściwym sobie poczuciem humoru na jednej ze ścian opuszczonego

Na krakowskim Rynku

mieszkania napisał: „Tutaj mieszkał Bogdan Łyszkiewicz". Na wzór tablic pamiątkowych, jakie są zawieszane na wielu historycznych krakowskich kamienicach – mających za zadanie upamiętniać wybitne postacie, swego czasu w nich zamieszkujące. Pewnie bardzo by się zdziwił, gdyby wiedział, że za prawie ćwierć wieku w Krakowie i jego nazwiskiem zostanie nazwana jedna z ulic…

– Nie było to dla niego łatwe – wspomina Zaręba. – Bogdan cenił sobie to, że mieszka w obrębie starego miasta. Nowa Huta była wtedy dzielnicą smętną, podejrzaną i trochę dziwną. Taką, gdzie można było w mordę łatwo dostać. Co prawda wiele zyskała po 1982 roku, kiedy wszyscy byliśmy zachwyceni, że tam to ludzie lali milicję. Tę samą, która z kolei nas lała na Rynku. Jednak i to było dla niego marną pociechą.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rodzina Łyszkiewiczów oswajała się z nowym mieszkaniem, Bogdan o mało co nie zaangażował się w pierwszy poważny projekt muzyczny. Gdyby do tego doszło, to kto wie, jak potoczyłaby się dalsza kariera młodego klarnecisty, który właśnie poznał równie młodego pianistę i pieśniarza – niejakiego… Grzegorza Turnaua, który tak wspomina początki znajomości z Bogdanem:

– Spotkaliśmy się pierwszy raz prawdopodobnie w „Piwnicy pod Baranami". Nie mogę sobie przypomnieć już teraz dokładnie tego momentu, ale ze sporą dozą prawdopodobieństwa myślę, że było to właśnie tam. Szukałem akurat środków wyrazu innych niż standardowe i dostępne mi do tej pory, czyli skrzypiec, fletu i wiolonczeli. Okazało się, że Bogdan gra na klarnecie. Szybko pojawiła się idea stworzenia zespołu. Niestety, z niewiadomych powodów nic z tego w efekcie nie wyszło. Chyba za dużo o tym mówiliśmy, a za mało w tym kierunku robiliśmy. Może to przez moje zaniechanie i przez to, że niczego konkretnego mu nie zaproponowałem. Możliwe też, że on już wtedy chciał tak naprawdę grać coś zupełnie innego niż ja. Czułem, że nie interesuje go rola akompaniatora, a właśnie rola twórcy.

WITOLD BUSZEK: *Do „Piwnicy pod Baranami" Bogdan chodził też ze mną. Cenił jej klimat. Było to ulubione miejsce wielu artystów. Młodych i starszych. Doświadczonych i początkujących. Po niedzielnych koncertach udawało mi się jeszcze zdążać na ostatnią mszę w kościele św. Anny. Była odprawiana o 21.30.*

Lata licealne – już nowohuckie – to początki zainteresowania Bogdana muzyką rozrywkową. Nie oznacza to bynajmniej, że klasyka odeszła w zapomnienie. Po prostu od tego momentu targały nim dwie pasje jednocześnie. Klarnet i związane z nim żmudne ćwiczenia, a także wspomniani Beatlesi. Od kiedy usłyszał pierwszy raz czwórkę z Liverpoolu, zupełnie przestawiło mu to światopogląd. Oto notatka, którą spisał w jednym z zeszytów:

„Bywało i tak, iż cierpiałem nie tylko na rozdwojenie jaźni, musiałem bowiem wiele razy zmierzyć się z mitem Beatlesów, odnajdując w sobie elementy bądź co bądź czterech odmiennych osobowości. Samotny jak Lennon, sumienny jak McCartney (tutaj dopisał jeszcze: brzydki jak Ringo Star i uduchowiony jak George Harrison) śniłem o sławie. Nieopatrznie tworzyłem zespół sam ze sobą".

O początkach fascynacji zespołem pisze w dzienniku:

„W wieku kilkunastu lat pierwszy raz usłyszałem »Żółtą łódź podwodną« w wykonaniu przyjaciół. Natychmiast uznałem, że zespół, który wykonuje tak dobrą piosenkę, musi być najlepszym zespołem, jaki kiedykolwiek pojawił się na świecie. Jak dowiedziałem się później, miałem zupełną rację. Oszalałem. Poczułem, że stało się coś niezwykłego, co w ułamku sekundy miało zmienić moje życie. Wkrótce dowiedziałem się, że to The Beatles. Kolega opisujący mi z trudem zdobyte zdjęcie objaśnił mi: ten z lewej to Elvis Presley, a ten to McCartney,

ten najbrzydszy to bębniarz. Te skąpe informacje i potargane zdjęcie ze strzelnicy sportowej miały mi na długo wystarczyć jako jedyne źródło kultu Beatlesów. Przez prawie rok byłem absolutnym beatlesowcem, nie znając żadnego oryginalnego nagrania tej grupy. To autentyczny przykład czystej miłości, która nie miała nic wspólnego z żadną promocją".

Dzięki pasji do Beatlesów Bogdan poznaje kolejnego wielkiego fana zespołu, niejakiego… Piotra Metza, obecnie znanego i cenionego dziennikarza muzycznego.

PIOTR METZ: *Lennon, Beatlesi… to było coś, co nas fascynowało. Nie potrafię sobie co prawda już dzisiaj przypomnieć, gdzie mogliśmy się spotkać po raz pierwszy, ale zaryzykowałbym, że mogło to być właśnie na jakiejś tematycznej „beatlesowskiej" imprezie, jakich wtedy w Krakowie nie brakowało. Nie omijałem ich, bo przecież od 1979 roku byłem już właścicielem kartki pocztowej, którą w odpowiedzi na mój list przysłał mi z Nowego Jorku sam Lennon. Po śmierci Johna wiele osób chciało ją zobaczyć. Kołaczą mi się też w głowie obrazki, jak Bogdan jest w moim domu w Alejach Słowackiego, wspólnie oglądamy płyty Beatlesów, słuchamy z nich nagrań, przeglądamy pamiątki. Beatlesi dali mu potężnego kopa, by zostać muzykiem…*

BOGDAN: *W liceum zaplanowałem, że szkoła w ogóle nie będzie się liczyć, że najwyższy czas podejść poważnie do życia i nie przejmować się ocenami. Zająłem się po prostu muzyką, czyli graniem. Byłem w dwóch szkołach jednocześnie. Nie miałem czasu na tak zwane życie osobiste. Później, jak skończyłem szkoły, zająłem się zespołem rockowym i też się okazało, że jest to poważny wysiłek…*

W tym czasie Bogdan przeżywał pierwszą wielką miłość. Chociaż może i drugą, bo za pierwszą trzeba jednak uznać bezwarunkowe

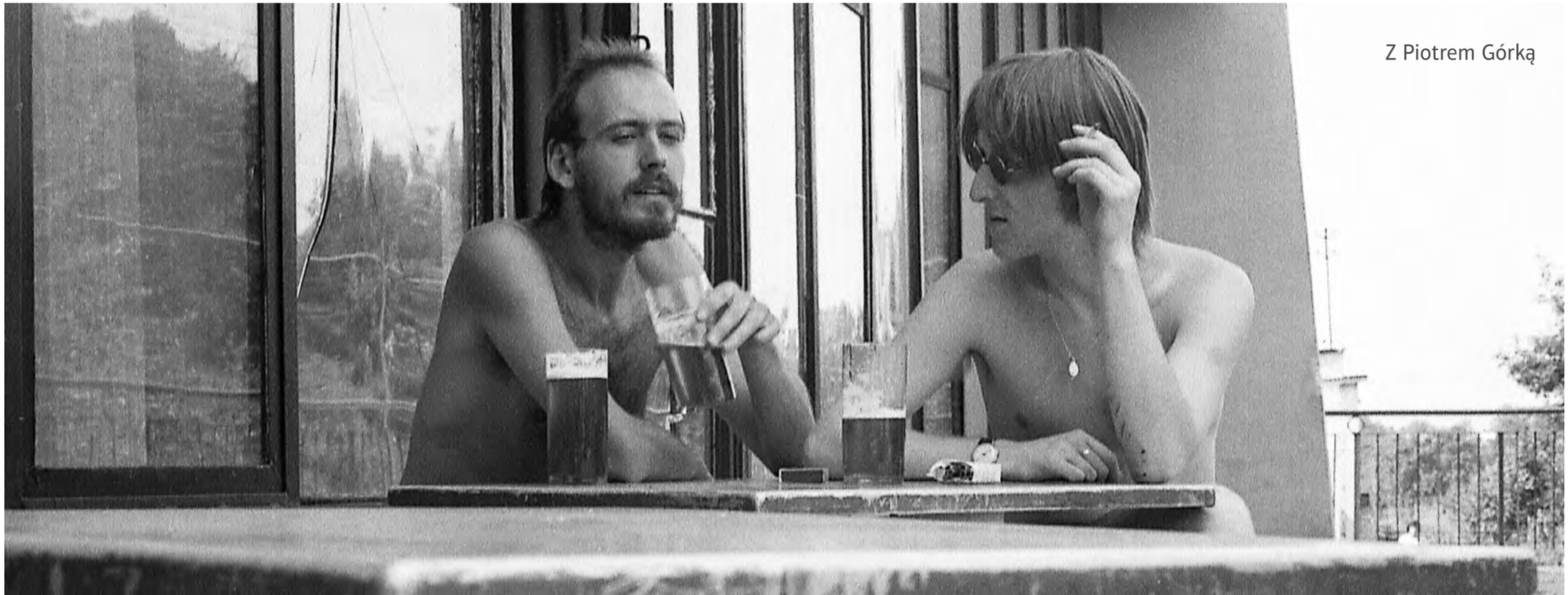

Z Piotrem Górką

uczucie do muzyki Beatlesów. W każdym razie Ewa Langer została przez niego „odbita" jednemu z jego dobrych znajomych.

– Piotrek Górka był wtedy moim chłopakiem i jednocześnie przyjacielem Bogdana. Poznali się, kiedy ja byłam jakiś czas w Skandynawii. Po przyjeździe i ja poznałam Bogusia. Byliśmy z początku tylko kolegami. Dość szybko jednak zaczęło się między nami coś rozwijać. Sytuacja niezręczna.

PIOTR GÓRKA: *Przyjaźniliśmy się z Bogdanem. Poznałem go poprzez Andrzeja Zarębę, z którym zwartą grupą chodziliśmy do BWA, gdzie i Bogdan często przesiadywał. Zaintrygował nas swoim niespotykanym profilem. Mówiło się: patrzcie jaki koleś. Ma nos zupełnie jak Indianin z „Bolka i Lolka". Śmialiśmy się z tego. Później mu o tym powiedziałem. Nie miał pretensji, bo przecież zawsze był ze swojego nosa bardzo dumny. W końcu upodabniał go do Lennona, co Bogdanowi niezwykle pasowało.*

ANDRZEJ ZARĘBA: *Czuliśmy się w BWA jak starzy mieszczanie. To był punkt kontaktowy, w którym wszyscy się spotykaliśmy. Pamiętam, że lokal prowadziło dwóch nieprzyjemnych ajentów. Byli wyjątkowo niegrzeczni w stosunku do gości. Często robiliśmy im przez to na złość. Zamawialiśmy na przykład jedną herbatę na dziesięć osób…*

Znajomość rozwinęła się szybko. Górka z Łyszkiewiczem spędzali ze sobą wiele czasu. Pochłaniały ich głównie rozmowy o muzyce. Ale nie tylko. Pasja Piotra Górki – sztuka – także nie była poza kręgiem zainteresowań Bogdana.

– Z nim można było pogawędzić o wszystkim. Wypowiadał się bardzo swobodnie, zadawał ciekawe pytania. Pamiętam, że obaj słuchaliśmy audycji Jana Webera w Trójce. To był nasz guru, który prowadził rewelacyjne programy na temat muzyki klasycznej. Zawiązała się między nami prawdziwa przyjaźń. Trzeba przyznać, że Bogdan szybko zjednywał sobie ludzi. Nieraz mu to zarzucałem, bo bratał się ze wszystkimi, i to nie patrząc wcale na intencje ludzi. Kraków nie miał przed nami tajemnic. Było wesoło. Jeździliśmy też z grupą przyjaciół do starej drewnianej chaty na Połoninie. Zimą, żeby się do niej dostać, musieliśmy odkopywać wejście. Później nagrzewać pomieszczenia, by w ogóle można było zdjąć z siebie kurtki. Spało się na sianie, a pomieszczenia oświetlało lampami naftowymi. Pamiętam, że co rano budziło mnie chrupanie, bo Boguś lubił zjadać skoro świt świeżą cebulę. Kiedy zauważał, że już nie śpię, to w swoim stylu wyciągał dwa palce w geście pokoju i witając się, mówił: Cześć, Piotrze! Chcesz cebulkę?

Kryzys w tej dobrej przecież znajomości pojawił się, kiedy Bogdan odbił koledze dziewczynę. Przyjaźń okazała się jednak na tyle silna, że przetrwała tę burzę. Choć skaza na niej pozostała.

– Nie pokłóciliśmy się wtedy jakoś ostro. Ja się po prostu na niego obraziłem. Uważałem, że przyjaciel przyjacielowi takich numerów nie powinien robić. Zabolało mnie to tym bardziej, że miałem bardzo emocjonalny stosunek do Bogdana. On zresztą dziwnie się wtedy zachował. Uznał chyba, że to normalne, że tak się w życiu zdarza. Dopiero później, po latach przyznał, że nie zachował się fair. Szczerze mnie przeprosił – dodaje Piotr Górka.

Między Bogdanem a Ewą była nie tylko kilkuletnia różnica wieku, ale i istotna różnica w światopoglądzie. Łączyła ich jednak wspólnota artystycznych dusz. Bogdan pragnął przynależeć do świata Ewy. Jednocześnie nie tracąc swoich przekonań, co czasem okazywało się trudne.

– Moja matka go za to uwielbiała – wspomina Ewa. – Do dzisiaj mówi, że to był mój najlepszy chłopak i że kochała go jak syna. Rzeczywiście był bardzo dobrym człowiekiem i tym zjednywał

sobie ludzi. Wiele naszemu związkowi poświęcał. Ja byłam mocnym typem osobowości i może nawet trochę tego nadużywałam. Z perspektywy czasu myślę, że dla niego może nie był to dobry związek. Niemniej jednak trwał dosyć długo i wiele razem przeszliśmy. Byliśmy taką zakleszczoną parą. Wszystko robiliśmy razem. Był genialnym kumplem, z którym można było całymi dniami rozmawiać na wiele różnych tematów. Nie nudziliśmy się nigdy. Konie można było kraść. Pamiętam, że uwielbiał Gombrowicza, o którym często rozmawialiśmy. Ja z kolei nie byłam jego fanką, więc opowiadałam mu o moich fascynacjach. To nas wzajemnie napędzało. Bogdan miał w sobie jeszcze jedną fantastyczną cechę. Potrafił marzyć i spełniać te swoje marzenia. Dużo pracował, uczył się, zaczynał grać. Miał na wszystko czas. Bardzo mi to imponowało. Dla niego jednak bardzo trudne było to, że mieszkamy bez ślubu. Co jakiś czas pojawiał się z jego strony temat małżeństwa, ale ja tego nie chciałam. Tłumaczyłam, że w moim życiu najprawdopodobniej nie będzie nigdy niczego w tym stylu, bo nie potrzebuję do szczęścia papierka. Bardzo to przeżywał. Uważał, że życie prowadzone w taki sposób to grzech. Nie był standardowym dwudziestolatkiem. Z jednej strony pociągał go rock'n'roll, a z drugiej wciąż był bardzo dobrze ułożonym młodym człowiekiem. Kochającym swoich rodziców i słuchającym ich. Pamiętam, że na początku naszej znajomości w samym środku fajnej imprezy nagle wychodził, bo obiecał, że będzie o dwudziestej drugiej w domu.

Bogdan nie zapominał o starych znajomych. Często wpadał w odwiedziny do szkoły muzycznej, do Witolda Buszka. Jedna z takich wizyt zapisała się w pamięci nauczyciela na długo.

– Był z nim jego kolega Waldek Raźny i jeszcze jeden – o pseudonimie „Biedrona". Wprost z Basztowej poszliśmy do klubu Havana, gdzie symbolicznie wypiliśmy trochę rumu. Wychodząc, zauważyliśmy… dwie białe myszki, które tuż przy samym krawężniku szły wzdłuż ulicy. Boguś, wyraźnie zmieszany, zaskoczony i chyba niepodejrzewający siebie i nas o zaawansowaną chorobę alkoholową, pyta mnie, czy ja też je widzę. Mówię, że… tak. Rzeczywiście, szły sobie jedna za drugą. Oniemiali poszliśmy do kawiarni Pod Różą, gdzie usiedliśmy przy jednym stoliku z aktorem Januszem Gajosem. Kiedy ten usłyszał naszą historię, stwierdził, że na to konto to już musimy się porządniej napić. Tak też się stało.

ANDRZEJ ZARĘBA: *Witek w tamtym okresie był dla Bogdana mentorem. Wyglądał jak postać z literatury rosyjskiej – broda i te sprawy. Miał w sobie pewien rodzaj serdeczności, za co i ja też od razu go polubiłem. Pamiętam, jak kiedyś podczas domowej biby – takiej klasycznej: z flaszką na stole, śledziem i jajkami w majonezie – cierpliwie tłumaczył Bogdanowi, jak się podrywa dziewczyny w schroniskach: Bogdan, pamiętaj, absolutnie, jak tylko jest szansa, trzeba wchodzić. Nie ma o czym mówić, bez zastanowienia. Szybko, zanim się rozmyśli. A Bogdan, ministrant, zdziwiony: Ale jak to? Tak po prostu? Innym kumplem Bogdana, z którym też zdarzało nam się zabalować, był profesor Reczek, weterynarz opiekujący się jego Bimbą. Reczek był człowiekiem wychudzonym i wymordowanym od alkoholu, z którym nijak sobie nie radził. Miał jednak w tym wszystkim lwowską klasę. Nosił muszkę i przybrudzony fartuch. Ręce przestawały mu się trząść dopiero wtedy, kiedy wychylił kieliszek. Bogdan któregoś razu ochoczo mnie namawiał, byśmy do niego poszli. Okazało się, że obaj, mimo znacznej różnicy wieku, dobrze się ze sobą zakolegowali. Chodź, poznasz świetnego gościa – zachęcał. Panowie, proponuję – bo tak się miło zaczął dzień – może pójdziemy do mnie na wódkę – Reczek wystosował zaproszenie. Cóż, poszliśmy…*

Profesora Reczka doskonale zapamiętała też Anna Łyszkiewicz.

– Jak przychodził do Bimby, to zawsze musiała czekać na niego butelka. Sympatyczny człowiek, ale zupełnie zagubiony w nałogu…

Po skończeniu liceum Bogdan wiązał swoją przyszłość z klarnetem i muzyką. Wymarzył sobie studia w akademii muzycznej.

– To było jakieś fatum – wspomina Buszek. – Nie mógł się dostać na akademię. Próbował w czterech miastach: Krakowie, Gdańsku, Warszawie i Bydgoszczy. Jego pech polegał chyba na tym, że używał klarnetu systemu niemieckiego, na którym już wtedy niewielu muzyków w Polsce grało. Taki instrument charakteryzuje się szerszą menzurą i inną techniką grania. Dźwięk jest pełny i okrągły, podczas gdy klarnet popularniejszy – w systemie francuskim – jest w swojej barwie jasny i delikatniejszy. Kiedy już się nie dostał na upragnioną akademię, zastanawialiśmy się co zrobić, żeby nie upomniało się o niego wojsko. Udał się więc na pedagogikę muzyczną do Kielc. Długo jednak tam nie zabawił. Tylko dwa semestry.

Wspomina Tomasz Bracichowicz, wieloletni członek bijącego rekordy popularności w połowie lat dziewięćdziesiątych zespołu MAFIA: – Studiowałem na tej samej uczelni. Nie byliśmy jeszcze muzykami w sensie tego, co czekało nas w przyszłości. Ja grałem później w różnych zespołach, a on założył tych swoich upragnionych Chłopców z Placu Broni. Jak sięgam pamięcią, to wydaje mi się, że „Piasek" też wtedy z nami studiował. Poznaliśmy się wszyscy dość dobrze podczas obozu przygotowawczego na studia. Takiego o charakterze integracyjnym. To były czasy komuny. Słuchaliśmy więc światopoglądowych wykładów, były też zajęcia sportowe. Już wtedy Bogdan był charakterystyczny – nosił długie włosy, miał okrągłe okularki. Wypisz wymaluj Lennon. Nietrudno było się domyślić, jakiej muzyki słuchał.

Studenci z tego samego roku wspominają, że w przerwach pomiędzy zajęciami Bogdan zwykle zaszywał się w pustych salach. Ciągle coś notował, nucił, wybijał palcami rytm o uczelniane ławy.

– Nic nam nie mówił o tym, że ma zespół, że tworzy muzykę – opowiada Anna Łyszkiewicz. – Dla mnie tylko było to trochę dziwne, że on ciągle gdzieś wychodzi. Ciągle poza domem. Później, jak już wiedzieliśmy, że zajął się graniem, to jakoś to przyjęliśmy. Zależało nam jednak, by miał wykształcenie. Czasem trułam: Boguś, ale szkołę wyższą by należało skończyć. On mi odpowiadał, że szkoda czasu. Podkreślał jeszcze, że życie jest takie krótkie. Przekonywał nas, że skończenie studiów nic mu nie da. Tylko papier, a jemu nie na tym zależy. Tym bardziej że nie wiązał swojej przyszłości z żadnym konkretnym zawodem. Już wtedy widać myślał poważnie o muzyce. Mąż powtarzał: Boguś, jak to, żebyś ty szkoły wyższej nie skończył? Skończę, skończę – zawsze mu mówił, że kiedyś skończy. Ja was zaskoczę. Jeszcze będę kiedyś z orkiestrą grał! No i faktycznie. Jak był już znany, wystąpił przecież w Teatrze Słowackiego, gdzie przygrywała mu w tle orkiestra symfoniczna.

EWA LANGER: *Nie miał motywacji do nauki w sensie zgłębiania wiedzy. Jego te studia kompletnie nie interesowały. Był oczytany i inteligentny. Ciekawość świata miał wrodzoną. Nie podpierał jej wkuwaniem. Same dojazdy do Kielc zabierały mu dużo czasu, czego bardzo nie lubił.*

– Miał wtedy w Krakowie ksywę „Żaku Kielecki" – wspomina Piotr Górka. – Ile razy wracał z uczelni, to pierwsze, co robił – wpadał do mnie na Grodzką. Opowiadał różne anegdotki z tygodniowego pobytu na uczelni. Znów było wesoło. Uważał, że ewidentnie

marnuje czas. Jednak plan uniknięcia służby wojskowej skutecznie go tam trzymał.

– Nie wiem, co powiedział w domu i jaka była oficjalna wersja, ale kiedy nie dostał się na akademię muzyczną, to wojsko mogło przekreślić jego marzenia o zespole. Stąd studia. On sobie po prostu któregoś dnia postanowił: zakładam kapelę i robię karierę. To nie były tylko słowa. Od tego momentu bardzo konsekwentnie realizował tę ideę. Krok po kroku. Był bardzo mocny w złożonym sobie samemu postanowieniu. Co ciekawe, wszystko mu się udawało. Miał tak silną wizję tego, co chce robić, że nic nie było w stanie mu w tym przeszkodzić – dodaje Ewa Langer.

Co na ten temat miał do powiedzenia sam Bogdan?

– Starałem się zawsze mieć własne zdanie na każdy temat. To jest dla mnie najistotniejsze. Słuchając różnych ludzi, słuchając ich rad, starałem się mieć własny punkt widzenia. O który było bardzo trudno. Szczególnie w naszym kraju. Myślę, że trudno jest zachować własny punkt widzenia w każdej sytuacji. To dotyczyło bardzo podstawowych spraw, typu długie włosy czy granie na klarnecie w klasie matematyczno-fizycznej. Bo jak to – matematyka czy klarnet? Czy to hipis, czy uczeń? Moja prywatna walka z komunizmem. Zachować własny punkt widzenia. Wydaje mi się, że wiele osób miało takie myśli.

– Od pewnego momentu swojego życia nie wyobrażał sobie, by robić coś innego – mówi Piotr Górka. – Chciał grać. Kiedy teraz o tym myślę i wiem, że mu się udało, to cieszę się, że nas wtedy nie słuchał. Mówiliśmy mu, żeby nie śpiewał, bo beczy jak koza. On się jednak uparł, nie było na niego mocnych. Jak sobie coś postanowił, to nie było mowy. Chciał śpiewać, to śpiewał. Konsekwencja w jego przypadku była żelazna. Bogdan zawsze borykał się z jedną charakterystyczną rzeczą. Mianowicie jak się go obserwowało trochę

W mieszkaniu Piotra Górki na Grodzkiej

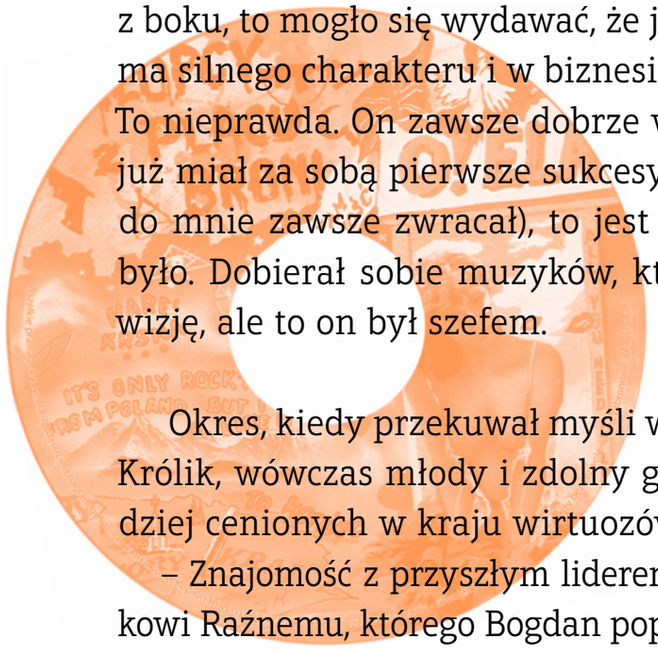

z boku, to mogło się wydawać, że jest wiecznie roztrzepany, że nie ma silnego charakteru i w biznesie muzycznym sobie nie poradzi. To nieprawda. On zawsze dobrze wiedział, czego chce. Kiedyś, jak już miał za sobą pierwsze sukcesy, powiedział: Piotrze (bo tak się do mnie zawsze zwracał), to jest tylko mój zespół. Tak w sumie było. Dobierał sobie muzyków, którzy potrafili zrealizować jego wizję, ale to on był szefem.

Okres, kiedy przekuwał myśli w czyn, doskonale pamięta Jacek Królik, wówczas młody i zdolny gitarzysta, a dziś jeden z najbardziej cenionych w kraju wirtuozów tego instrumentu.

– Znajomość z przyszłym liderem „Chłopców" zawdzięczam Waldkowi Raźnemu, którego Bogdan poprosił o pomoc w poszukiwaniach gitarzysty do zespołu. Waldek był nie tylko dobrym basistą, ale i nieformalnie pewnego rodzaju komunikatorem wielu krakowskich kapel. Grał ze mną wtedy w zespole Dekiel. Mieliśmy próby w Nowej Hucie w tamtejszym Centrum Kultury. Bogdan właśnie w tym czasie wymyślił sobie i ogłosił, że zakłada zespół. Było to zaskakujące, bo wszyscy wiedzieliśmy, że jest pilnym i ambitnym klarnecistą. Nagle ogłosił, że będzie grać rock'n'rolla. Owszem, odbywał wcześniej próby z jakimiś składami, między innymi z Pawłem Mąciwodą, ale nie miało to kształtu regularnego zespołu, a raczej domowych spotkań towarzyskich. Waldek zaprosił Bogdana na koncert Dekla do krakowskiej Rotundy, chcąc na żywo pokazać moje umiejętności i przydatność do powstającej grupy. Boguś wyglądał wtedy niczym młody John Lennon. No i ten Lennon podszedł do mnie, opowiedział o swoich niezwykle szerokich i dalekosiężnych planach, po czym spytał, czy nie chciałbym z nim grać. Przyznam, że zabił mi tym klina. Byłem tuż przed maturą, szykowałem się na studia techniczne. Musiałem dzielić swój czas między graniem a nauką w dwóch szkołach. Już wspomniany Dekiel sporo mi go zabierał. Miałem ogromne wątpliwości, czy się angażować w fantazje Bogdana. Tym bardziej że projekt jego zespołu, od początku absorbującego czasowo, był – co tu dużo mówić – w stanie wielkiego chaosu, z którego dopiero miało coś powstać, a może i niekoniecznie. Uwzględniając to wszystko, po pierwszych paru (zresztą niezbyt owocnych) próbach podjąłem decyzję o rezygnacji: powiedziałem, że niestety, ale nie podołam.

Bogdan jednak nie zrezygnował z chęci pozyskania do swojego składu dobrze zapowiadającego się gitarzysty.

– Od chwili, kiedy mu odmówiłem, zaczął komunikować się ze mną za pomocą listów – dodaje Jacek Królik. – Pisał je różnokolorowymi pisakami. Zostawiał te koperty potem gdzieś, gdzie łatwo mogłem je znaleźć, bądź wręczał mi je prosto do ręki. Treść była mniej więcej taka: „Przyjacielu, chciałem ci zakomunikować parę ważnych wiadomości… Nie uważam, że nie pogodzisz grania z nauką. To tylko kwestia odpowiedniej organizacji czasu. Dodatkowo mogę Ci załatwić zwolnienia lekarskie, a także poświęcić modlitwę". Bogdan miał dużą siłę perswazji. Pierwszy zespół w zasadzie sobie w ten sposób „wychodził". Niezwykle skutecznie zresztą. Przecież nasz wspólny kolega ze szkoły muzycznej, Jarek Kisiński, którego Bogdan również pozyskał do składu, po pierwszych sukcesach ze Sztywnym Palem Azji i obecnością na listach przebojów mógłby się poczuć już wystarczająco spełniony, by nie bawić się w startowanie od kompletnego zera z rock'n'rollowym zespołem klarnecisty Bogdana. Był jednak w tym jakiś magnes. Już wtedy śpiewał sobie o miłości, pokoju, odrzucając czy wręcz piętnując agresję i nienawiść. To było równie naiwne, co szczere i urzekające. Polski Beatles po prostu – i to z wczesnej, hamburskiej fazy, skrzyżowany z pacyfistycznym hipisem. Miał na tyle samozaparcia i tak wiele cierpliwej, nienamolnej perswazji, że oczywiście nie dość, że uległem, to jeszcze aktywnie właczyłem się w prace na próbach. Doszło

w końcu do tego, że z Waldkiem zaczęliśmy koordynować próby Dekla z zespołem Bogusia. Najpierw parę godzin grania z pierwszą formacją, potem wymiana perkusisty, za bębnami siadał Wojtek Namaczyński. Do tego wspomniany Jarek Kisiński na gitarze, no i Bogdan jako tekściarz, kompozytor i wokalista. To był pierwszy skład Chłopców z Placu Broni, który zaczął regularnie odbywać próby.

Jacek Królik zapamiętał jeszcze jedną sytuację, która z pewnością miała wpływ na decyzję o nawiązaniu współpracy z Bogdanem.

– Kiedyś, w okresie świąt wielkanocnych, z Deklem robiliśmy nagrania w Nowohuckim Centrum Kultury. Pomimo ambitnych planów, trwały one cały dzień. Dwadzieścia parę lat temu nie istniało coś takiego jak zamawianie jedzenia przez telefon, z dowozem. Pod koniec tych nagrań słanialiśmy się na nogach ze zmęczenia i głodu. Bogdan, który mieszkał niedaleko, zajrzał do nas towarzysko, zobaczył, co się dzieje, i po chwili nieproszony ani nie konsultując tego z nikim – przyniósł pełne kosze jedzenia od swoich rodziców. Krokiety, gorący barszcz czerwony, wszelkie wiktuały, które wziął ze stołu wielkanocnego. Takim właśnie był człowiekiem. Lubił spędzać czas w grupie i przywiązywał do tego dużą wagę. Przyjaźnił się również z naszymi rodzicami i był przez nich bardzo lubiany, co też nie było dla mnie bez znaczenia.

– Spotykaliśmy się z Bogusiem najczęściej na papierosie w przerwach pomiędzy próbami naszych zespołów – wspomina Jacek Dewódzki, późniejszy wokalista między innymi zespołu Dżem, w którym zastąpił przedwcześnie zmarłego w 1994 roku legendarnego Ryśka Riedla, a także własnej grupy Revolucja. – To były luźne, ale fajne rozmowy dwóch młodych ludzi wchodzących w świat rockowych dźwięków. Jako jedyny chyba wtedy w Krakowie, a w każdym razie w Nowej Hucie, miałem własny

Z Jarkiem Kisińskim w NCK

mikrofon. Boguś go ode mnie pożyczał. Żeby go odzyskać, musiałem czekać, aż skończy swoją próbę. Jak się o niego już wyraźniej dopominałem, to odkrzykiwał błagalnie: Jacek, weźże poczekaj jeszcze chwilkę…

– Miał w sobie wiele uroku. Nie dało się go nie lubić. Pamiętam, jak jechaliśmy pociągiem z Warszawy do Krakowa. Bez biletów oczywiście. Przyszły konduktorki. No to mamy kłopot. Wszyscy wstaliśmy pokornie. Boguś w mig je rozbroił swoim uśmiechem. Zagadał do nich, a na koniec wręczył po płycie „Sztywnego” i było po sprawie – wspomina zwerbowany do Chłopców z Placu Broni Jarek Kisiński, gitarzysta Sztywnego Pala Azji. Wtedy już po solidnych ogólnopolskich sukcesach, o których Bogdan na razie mógł jedynie marzyć. I marzył.

JACEK DEWÓDZKI: *Z tego czasu zapamiętałem jeszcze jedną zabawną historię, kiedy to z żoną i dzieckiem zamieszkaliśmy w Krakowie na ulicy Spadochroniarzy. To było w maju. Bardzo ciepły dzień. Boguś zrobił próbę koło garażów i szybko zrodziła się z tego głośna impreza. Słychać ją było i u nas w mieszkaniu. Dziecko dopiero co zasnęło, więc moja żona wściekła zaczęła się odgrażać, że zadzwoni na policję. W końcu pobiegła do nich i zaczęła się ostra dyskusja z Bogusiem. Stałem bezpiecznie na tyłach, żeby mnie nie kojarzyli z krzyczącą na nich panią. Kiedy poszła do domu, to sam do nich dołączyłem. Miałem nadzieję na jakieś wspólne „jamowanie". Pech chciał, że po chwili czujnie zza rogu wyszła moja mama z okrzykiem: Jaaaacek, do domu!*

W szkołach, w których się uczył, Bogdan zawsze przeplatał zdobywanie wiedzy ze zdobywaniem ciekawych znajomości. To właśnie na korytarzu szkoły muzycznej przy ulicy Basztowej poznał wspomnianego Jarka Kisińskiego.

– Wiedział, że gram w Sztywnym Palu Azji. Bogdan jeszcze swojego zespołu nie miał. Kiedyś do mnie zagadał, czy nie chciałbym czegoś tam z nim pograć. Zapytałem, czy ma jakieś piosenki. Okazało się, że ma ich już kilka. Między innymi znany później „Aeroplan". Zrobiliśmy szybko parę prób. Brał w nich już udział Jacek Królik. Wszystko działo się na tyle sprawnie i sympatycznie, że można było już mówić o wspólnym zespole. Później Boguś załatwił sesję nagraniową w Krakowie. W radiu przykościelnym. Zarejestrowaliśmy może z pięć lub sześć piosenek. Ze Sztywnym Palem Azji wyjeżdżaliśmy jakoś niedługo do Warszawy. Pojechał z nami, zaopatrzony oczywiście w swoje demo. Spotkaliśmy się z Pawłem Sito w Rozgłośni Harcerskiej. To była dla Bogusia wielka sprawa. Mógł je zaprezentować komuś, kto miał realny wpływ na to, co się wtedy grało w radiu – mówi Jarek Kisiński.

PAWEŁ SITO: *Przyznam, że z początku nie wiedziałem, jak mam tego Bogdana traktować. Patrzyłem na niego trochę z boku. Jako taką „przylepkę" do Sztywnego Pala Azji, czyli naszego wielkiego odkrycia, z którego byłem autentycznie dumny. Zespołu, który był bardzo ważny dla nas, a jak się później szybko okazało – dla całego polskiego rocka. Bogdan podczas tych wizyt w Warszawie był uważnym obserwatorem. Widział, jak rośnie popularność jego kolegów, jak wiele daje im nasza rozgłośnia. Wywnioskował widocznie, że jemu też może się to udać. Za którymś razem przyjechał z własnym demo napisanych przez siebie piosenek. I jak to już kiedyś powiedziałem – od pierwszych jego tekstów wiedziałem, że jest nie tylko muzykiem czy tekściarzem, ale propagatorem dobrej myśli, dobrego słowa i dobrych uczuć. Taki cywilny duszpasterz, bez nachalnego przekonywania do swej religii. Szybko złapaliśmy wspólny język – liczne koncerty, pogadanki, niekończące się rozmowy. Mieliśmy podobne spojrzenie na wiele spraw. W końcu zawiązała się między nami prawdziwa przyjaźń.*

EWA LANGER: *Jego życie zaczęło się szybko zmieniać, kiedy poznał Pawła Sito i Bożenę Sitek. Bardzo się ze sobą zaprzyjaźnili. Paweł bardzo polubił Bogdana – z wzajemnością. To była przyjaźń, która trwała całe lata. Pomógł Chłopcom z Placu Broni na początku ogromnie. Tak samo było z Bożeną, która zrealizowała pierwsze profesjonalne nagrania zespołu Bogdana.*

BOŻENA SITEK: *Z naszą znajomością to zaczęło się tak, że będąc w Bukowinie, rozmawiałam z dziewczyną pewnego gitarzysty, niejakiego Królika. I ona mi powiedziała, że zna fajnego chłopaka, który pisze piosenki, śpiewa, i że muzykuje z nim Jarek Kisiński ze Sztywnego Pala Azji. Zapytała też, czy może mu dać mój numer telefonu. Zgodziłam się – owszem, choć pilnowałam go sobie, bo*

Jeden z pierwszych składów zespołu (na czele Jacek Królik)

pracowałam już wtedy w Rozgłośni Harcerskiej i co rusz ktoś chciał mi podrzucać jakieś nagrania. Kolejnym takim delikwentem został właśnie Bogdan… Pamiętam – to był weekend, spędzałam czas w domu w Warszawie. Ceniłam sobie te chwile, bo wiecznie bywałam w rozjazdach. Nagle telefon – w słuchawce głos młodego mężczyzny. Boguś powiedział, że ma swoje demo i może mi zaraz dostarczyć je do mieszkania. Powiedziałam mu, żeby zostawił je w rozgłośni, że stamtąd je sobie odbiorę. Uparł się, że nie, że on mi je chce dać osobiście. Przyznam, że mnie tym zdenerwował – nie byłam w pracy, nie chciałam burzyć sobie wolnego dnia. Powiedziałam mu, że absolutnie jest to niewykonalne. Nie chciał odpuścić, „walczyliśmy" tak dłuższą chwilę. Dla świętego spokoju w końcu się zgodziłam, bo nie sprawiał wrażenia, że szybko z tego pomysłu zrezygnuje. Po chwili dzwonek do drzwi. Średnio zadowolona wpuściłam go do przedpokoju i wzięłam kasetę. On z kolei był natomiast wyraźnie zadowolony z wypełnionej misji. Rzetelnie przesłuchałam te nagrania i… spodobało mi się! Widziałam w tym potencjał, zaczęliśmy współpracę. Cała ta historia jest dziś zabawna, szczególnie mając na względzie chociażby to, że wkrótce szczerze się zaprzyjaźniliśmy. No i zrealizowaliśmy w Rozgłośni Harcerskiej jego pierwsze profesjonalne nagrania, w tym „O! Ela".

– Paweł i Bożena mieli wielki wkład w te wszystkie grupy z tamtych lat. Doprowadzali do tego, że nieokiełznane myśli młodych wariatów stawały się realne. Rozgłośnia Harcerska miała wielką siłę, z której czerpali artyści. Dzięki niej zaistniało na rynku wiele interesujących grup, na które z pewnością nikt inny by wtedy nie zwrócił uwagi – ocenia Olek Klepacz, obecny lider również stawiającego ówcześnie swoje pierwsze kroki zespołu Formacja Nieżywych Schabuff.

Wspomniane nagrania demo okazały się przepustką nie tylko na antenę Rozgłośni Harcerskiej, ale i do miejsca, gdzie – jeżeli mówimy o zawodowej już działalności Bogdana i jego Chłopców z Placu Broni – wszystko się zaczęło. Miejscem tym był festiwal w Jarocinie.

JACEK KRÓLIK: *Demo nagrywaliśmy w studiu u jezuitów na ul. Kopernika. Pamiętam, jak biegłem do studia wprost z olimpiady wojewódzkiej. Gdyby nie okazało się, że po części pisemnej zająłem na tyle wysoką lokatę, że mam szansę zostać zwolniony z maturalnego egzaminu z propedeutyki, zrezygnowałbym*

z drugiej, ustnej części olimpiady. Ale i tak uprosiłem dosyć zaskoczoną komisję, abym mógł odpowiadać jako jeden z pierwszych. Tak bardzo chciałem już być w studiu z kolegami, którzy własnie rejestrowali sekcję rytmiczną. To było szalone, wszystko w pośpiechu. Człowiek nie wiedział, czy coś z tego będzie czy nie, ale coś nas wszystkich do tego projektu przyciągało.

Jeden z zarejestrowanych wtedy utworów – „Słońce, gdy jadę szosą" – powstał w czasie wspominanych przez Andrzeja Zarębę i Mariusza Bembenka wyjazdów…

MARIUSZ BEMBENEK: *To była piosenka, którą Bogdan napisał będąc z nami nad morzem, latem 1986 roku. Zatrzymaliśmy się na Wolinie. Jak zwykle Boguś katował na gitarze jakieś piosenki harcerskie, Beatlesów, Lennona i fragmenty różnych „hitów". Siadał na plaży i grał. Cezary, który był tam z nami, wyciągnął ze sobą młodą i śliczną dziewczynę – Agatę. Ponieważ był typem niezwykle nieśmiałym, to Boguś zwietrzył szansę. Kręcił się koło niej, kręcił i chyba chciał ją poderwać. Napisał wtedy specjalnie dla niej właśnie „Słońce, gdy jadę szosą". To była chyba pierwsza piosenka, jaką mieliśmy możliwość usłyszeć od początku do końca w jego wykonaniu…*

A skąd nazwa zespołu? Już wtedy przecież Bogdan tytułował się, że śpiewa w Chłopcach z Placu Broni.

– To może się wydawać dziwne, że ktoś wziął tytuł książki i zrobił z tego nazwę grupy. Nie wiem nawet, czy jest to do końca fair w stosunku do autora. Tak naprawdę nie chciałem utożsamiać siebie z sytuacją, jaką przedstawia książka, ale faktem jest, że trudno nam było nazwać kapelę. Jeździliśmy długo autobusem z basistą Waldkiem Raźnym i każda kolejna wymyślona nazwa wywoływała u nas paroksyzmy śmiechu – wspominał.

Jedna z zaproponowanych przez Raźnego nazw do dzisiaj jest anegdotycznie powtarzana wśród wspólnych znajomych. Kiedy Bogdan ją usłyszał, wcale nie było mu jednak do śmiechu. Właściwie to zaniemówił. Brzmiała: „Oprawcy Chrystusa" i była jawnym żartem odnoszącym się do jego głębokich przekonań religijnych.

– Pewnego dnia żarty się skończyły, bo mieliśmy grać koncert w ramach przeglądu zespołów i trzeba było wymyślić nazwę. Dlatego rzuciłem coś bez zastanowienia. Ponieważ wygraliśmy, uznałem, że ta nazwa jest szczęśliwa – „Chłopcy z Placu Broni". Zresztą zawsze chciałem mieć kapelę, która byłaby kontynuacją Beastie Boys czy Beach Boys – z chłopakami w tytule. Chciałem też, żeby wszyscy w zespole śpiewali, tak jak Beatlesi. Więc może byłby to pierwszy polski boysband. Ale były lata osiemdziesiąte, chyba na to trochę za wcześnie – zwierzył się Bogdan po latach w wywiadzie udzielonym Robertowi Killenowi.

EWA LANGER: *Faktycznie był problem z nazwą. Bogdan też mnie poprosił, bym pomogła mu ją wymyślić. Nie pamiętam już, co zaproponowałam. Pamiętam za to dobrze spojrzenie Bogdana, gdy usłyszał moją propozycję, i tę jego odpowiedź: Nie żartuj sobie ze mnie!*

Bogdan w momencie założenia zespołu spisał też swoisty manifest artystyczny, w którym wyjaśniał istotę działalności grupy. Czytamy w nim: „Każdy z nas ma średnio 23 lata i na ogół bardzo dobry humor. Chłopcy z Placu Broni to kapela wykonująca muzyczne pastisze oparte na muzycznej tradycji lat 60. Naczelną ideą jest przypomnienie zapomnianych już dzisiaj niestety naiwnych i wesołych klimatów rock'n'rolla. Pragniemy stanąć w opozycji do wszystkich smutnych, poważnych i zasępionych »idoli«. Nie chcemy ludzi przygnębiać ani oszukiwać muzyczną tandetą".

Chłopcy z Placu Broni. Pierwsze próby

1987. Jarocin

Słowa „legendarny” nadużywa się obecnie powszechnie. Jednak nie ma cienia przesady w takim określaniu Festiwalu Muzyków Rockowych w Jarocinie. Był to największy festiwal rockowy w całym Układzie Warszawskim. Miejsce spotkań dziesiątek tysięcy młodych ludzi.

Wspomnianą legendę festiwal dźwigał na swoich plecach już w roku 1987, kiedy to debiutował na nim Bogdan Łyszkiewicz. Trzeba przyznać, że Jarocin sumiennie sobie na to miano zapracował. To przede wszystkim tutaj swój późniejszy status gwiazd polskiej sceny muzycznej zdobywały między innymi: TSA, Maanam, wspomniany już Sztywny Pal Azji, T.Love, Dżem i wiele innych. Kolejne zaś grupy właśnie na deskach jarocińskiego amfiteatru ugruntowywały swoją pozycję bądź też wystrzeliwały co rusz z nowymi przebojami. Festiwal kształtował gusta młodego pokolenia, a także dostarczał widzom niezapomnianych przeżyć – czy to związanych z dźwiękami płynącymi ze sceny, czy to z… przyległego pola namiotowego. Warto wspomnieć, że koncert w ramach interesującego nas najbardziej Jarocina ’87 dał sam Czesław Niemen, serwując młodej publiczności niełatwy w odbiorze, pełen elektroniki i rozbudowanych improwizacji występ. Świadczy to nie tylko o znacznej rozpiętości gustów słuchaczy, ale przede wszystkim o docenieniu imprezy przez samego mistrza, który swój nowatorski sprzęt zwykł już wtedy wystawiać na najlepszych scenach w Europie.

Rok w rok do niewielkiej wielkopolskiej miejscowości zjeżdżały grupy punków, hipisów, skinów, oazowiczów i wszelkiej maści „społecznych odmieńców”. Była to enklawa dla swobodnego ukazywania swojego skrywanego na co dzień wnętrza. Swobodnego wyrażania myśli i łamania konwenansów. Musiało to mieć także swój wentyl, którym uchodziły wszelkie negatywne emocje z tym związane – najczęściej trafiał ów wentyl na ulice miasta. Bijatyki i burdy niestety wpisały się w odbiorze społecznym w obraz festiwalu, co w dużej mierze spowodowało zawieszenie jego organizacji w połowie lat dziewięćdziesiątych.

Swoje pięć minut (a następnie całe lata prosperity w rodzimym show businessie) miał tutaj Bogdan Łyszkiewicz wraz ze swoimi Chłopcami z Placu Broni. Rok 1987, kiedy to zespół zadebiutował w Jarocinie, był jednak dla festiwalu rokiem trudnym. Po wielu świetnych edycjach Jarocin po raz pierwszy wyraźnie dostawał zadyszki. Po raz pierwszy też nie trzymał nad nim pieczy jego twórca Walter Chełstowski, przez co wielu stałych bywalców czuło nieskrywany zawód. Ówczesne nastroje oddają publikacje prasowe z tamtych dni.

„Było zupełnie inaczej. Nie jeździłam do Jarocina przez kilka kolejnych lat, nie mam takiego przeglądu wydarzeń jak niektórzy zagorzali kibice festiwalu. Porównuję wyłącznie z rokiem ubiegłym. Ale wrażenie było bardziej ogólne: przy jednym z centrów towarzyskich, jakie od trzech lat stanowi miejsce wokół zielonego wozu Rozgłośni, gdzie w ciągu pięciu dni przechodzą »wszyscy« – to zdanie się powtarzało: »Słuchajcie, co jest? Zupełnie nie ma atmosfery«. Ktoś nawet rzucił słowo: »Stypa«” – czytamy w artykule Aldony Krajewskiej opublikowanym na stronach popularnego ówcześnie magazynu „Na przełaj”.

Wspomniana „stypa” miała i swoje dobre strony, gdyż w 1987 roku w Jarocinie w trakcie festiwalu odnotowano znacznie mniej chuligańskich wybryków niż w latach poprzednich. Podczas tej edycji liczyła się przede wszystkim muzyka. Od 5 do 8 sierpnia do Jarocina zjechało ponad dziesięć tysięcy słuchaczy. Trzeba jednak pamiętać, że we wcześniejszych edycjach zdarzały się i dwudziestotysięczne, a nawet liczniejsze audytoria. Jako gwiazdy na festiwalowych deskach w 1987 roku wystąpiły między innymi: Daab, Dżem, Martyna Jakubowicz, Kobranocka, Tadeusz Nalepa, T.Love, Róże Europy, Voo Voo, a także wspomniany już – w glorii mistrza – Czesław Niemen. Koszt karnetu wynosił dwa tysiące złotych. Miejsce na polu namiotowym kosztowało złotych pięćset. Ciekawe obliczenia obrazujące rzeczywistą wartość wspomnianych sum – ich siłę nabywczą innych „dóbr materialnych”, przedstawili autorzy strony internetowej poświęconej festiwalowi. Otóż dowiadujemy się, że „numer NON STOP w sierpniu 1987 kosztował 30 zł. Natomiast w reklamie zamieszczonej w tym samym piśmie można było wyczytać, że Przedsiębiorstwo Instalacji Przemysłowych INSTAL Warszawa prowadzi zapisy do klas pierwszych w roku szk. 87/88 kandydatów (chłopców) do Zasadniczej Szkoły Zawodowej Przyzakładowej (…). Przedsiębiorstwo proponowało dla uczących się pracowników następujące wynagrodzenia: kl. I 2500 zł, kl. II 2950 zł, kl. III 3750 zł + 20% premii”. Podobno też organizatorzy Jarocina w roku 1987 po podliczeniu wydatków i przychodów wyszli mniej więcej na zero.

Marcin Jacobson wraz Leszkiem Winderem – czyli świeżo upieczona Rada Artystyczna Festiwalu ’87 – opracowali i wprowadzili w życie nowatorskie formuły zgłaszania młodych zespołów do przeglądu. Konkurs młodych talentów był ważnym elementem festiwalu. Wygrana w Jarocinie, oczywiście przy odpowiednio poprowadzonej promocji, charyzmie i aktywności grupy, niejednokrotnie gwarantowała w bliskim czasie nagranie wydawnictwa fonograficznego i obecność w sprzyjających festiwalowi mediach. Jednym ze sposobów dostania się pod ocenę publiczności było w 1987 roku posiadanie rekomendacji wystawionej przez uznanego już muzyka rockowego. Miało to zagwarantować, że wyłoniony w ten sposób zespół prezentuje już odpowiedni poziom artystyczny, a także rokuje nadzieje co najmniej na miarę „polecającego”. Chłopcy z Placu Broni wystąpili w Jarocinie z rekomendacji samej pierwszej damy polskiego rocka lat osiemdziesiątych…

JAREK KISIŃSKI: *Boguś wymyślił sobie, że pójdzie z tym do Kory. Dlaczego do niej? Miał blisko. Kora mieszkała wtedy w Krakowie. Poza tym bardzo ją cenił. Tak samo zresztą jak ja i reszta chłopaków.*

JACEK KRÓLIK: *Nikt z nas nie znał Kory osobiście, Bogdan też nie. Wiedzieliśmy tylko, gdzie mieszka. Poszliśmy wszyscy pod jej dom i czekaliśmy, aż się pojawi. Jakiś czas to trwało. Może nawet ze dwie godziny. Nagle popłoch: idzie! Podeszli do niej jako reprezentacja zespołu: Bogdan, ze zrozumiałych względów, Jarek Kisiński, jako ten najbardziej z nas znany i kolega pełniący funkcję managera. „Dzień dobry, pani Koro, jesteśmy zespołem Chłopcy z Placu Broni. Tam jest reszta chłopaków. Grają w piłkę…” – tak jakoś brzmiał wstęp. Piłka wzięła się stąd, że w oczekiwaniu reszta poszła pograć na osiedlu z dzieciakami, dla zabicia czasu. Kora okazała się bardzo sympatyczną osobą. Zaprosiła delegację do siebie. Posłuchali wspólnie nagrań. Po chwili wracaliśmy od niej z upragnioną rekomendacją. Po szczęśliwym dla zespołu finale festiwalu, pojawiliśmy się raz jeszcze w mieszkaniu Kory – z podziękowaniami i szampanem.*

KORA: *Pamiętam ten moment. Miły zresztą. Boguś okazał się człowiekiem naturalnym i charyzmatycznym jednocześnie. Już wtedy było widać, że to jest ktoś, kto wyróżnia się z tłumu. Piosenki, które mi zaprezentował, były zgrabne. Miały wiarygodny tekst. Trochę naiwności, ciepła, prostolinijności. Opisywał w nich świat dokładnie taki, jakim go odczuwał. To nie było zresztą obliczone na efekt. Później, jak wszyscy już wiemy, zdobył tym serca tysięcy fanów.*

Wspomina Marcin Jacobson: – W czasie ery Waltera Chełstowskiego pojawiały się zarzuty, że festiwal jest manipulowany, że na to, kto na nim gra, a kto nie, nie mają wpływu muzycy, nie decyduje o tym także ich talent. Podnosiło się wiele głosów w tej sprawie. Kiedy z Leszkiem Winderem przejęliśmy festiwal, to poza tradycyjnymi przesłuchaniami dopuściliśmy możliwość dostania się do konkursu poprzez rekomendację. Właśnie w ten sposób Jarocin odkrył talent między innymi Bogdana. Od początku moją uwagę zwróciły dwie rzeczy. Ciekawa nazwa grupy i właśnie rekomendacja Kory, która w sumie już wtedy dystansowała się do nurtu jarocińskiego. Samego ich występu nie pamiętam. Mam przed oczami jednak sylwetkę Bogdana z tamtych dni. Miał skórzaną czarną kurtkę z postawionym kołnierzem. No i te okrągłe okularki. Lennon, jednym słowem.

Wyprawa do Jarocina już na samym początku zapowiadała się ekscytująco. Nieoczekiwanie zaowocowała też nawiązaniem znajomości z Jackiem Dylągiem – późniejszym gitarzystą Chłopców z Placu Broni i wieloletnim przyjacielem Bogdana.

– Grałem w zespole Devodka. Jakimś cudem też dostaliśmy się do Jarocina. Razem z kilkoma innymi zespołami pojechaliśmy jednym

Pierwsze autografy. Jarocin

autobusem, który wyruszył sprzed Nowohuckiego Centrum Kultury. Między innymi właśnie z Chłopcami z Placu Broni. To był najweselszy wyjazd autokarowy w moim życiu. Graliśmy zupełnie co innego niż oni, w naszym mniemaniu – lepszego. Przyznam dzisiaj, że traktowaliśmy ich nawet z pewnym pobłażaniem, co okazało się zupełnie mylne. Przynajmniej biorąc pod uwagę ich późniejszą karierę. W każdym razie sama podróż okazała się na tyle sympatyczna, że… ja i mój kolega z zespołu wystąpiliśmy w chórkach na konkursowym przesłuchaniu zespołu Bogdana. Namawiał mnie później do dołączenia do jego grupy. To była trudna decyzja. Przecież miałem już kapelę na miarę swoich marzeń i ambicji. Z drugiej strony Bogdan miał jakiś niezwykły dar przekonywania. W autokarze przypomniałem sobie też, że przecież widywałem go już wcześniej. Często czekał koło dworca głównego w Krakowie na nocny autobus w stronę Nowej Huty. Zawsze się wtedy zastanawiałem: nie może być, ale gość podobny do Lennona! A potem proszę – ten sam „Lennon" z przystanku ląduje wraz ze mną w wesołym autobusie do upragnionego i legendarnego Jarocina – wspomina Jacek Dyląg.

Na marginesie, tajemniczą nocną obecność Bogdana w okolicach dworca PKP wyjaśnia Piotr Górka.

– Jednym z dziwactw Bogdana było to, że lubił spędzać czas na krakowskim dworcu. Wpadaliśmy tam podczas naszych wędrówek po mieście. Wypijaliśmy gorącą herbatę lub też jedliśmy paskudne bigosy. Nie wiem, co go tam ciągnęło. Bogdan lubił obserwować ludzi, a to było ku temu doskonałe miejsce. Innym jego dziwactwem było na przykład to, że już później, przez długie lata nie palił papierosów i nie pił alkoholu w dniu podpisania umowy sierpniowej. Był w tym absolutnie niezłomny. Nie sposób było go wtedy namówić na jakąkolwiek używkę. W ten sposób świętował to ważne dla Polski i niego samego, długo wyczekiwane wydarzenie.

Wróćmy do pierwszego poważnego koncertu Bogdana i jego Chłopców z Placu Broni. Już wkrótce miał ich przecież poznać nie tylko festiwalowy Jarocin, ale i – chwilę po nim – cała Polska.

EWA LANGER: *Zaraz po przyjeździe wynajęliśmy miejsce w jakimś przydomowym ogródku i tam rozłożyliśmy malutki namiocik. Fantastyczny czas. Wszędzie nieprzebrane tłumy ludzi. Bogdanowi się to podobało. Klimat pozytywnie go nastroił przed długo wyczekiwanym wejściem na scenę.*

Występ Chłopców z Placu Broni pozostawił po sobie bardzo dobre wrażenie. Tutaj znów na dowód możemy przytoczyć kilka zdań zaczerpniętych z jednej z relacji prasowych:

„Pierwsi na estradzie pojawili się Chłopcy z Placu Broni (Kraków). Ich bezpretensjonalne, proste, melodyjne piosenki mają szansę stać się przebojami, a o tym właśnie marzą ci młodzieńcy. Ale zobaczymy…" (Piotr Majewski, „Magazyn Muzyczny").

Zacytujmy też magazyn „Na przełaj", z którego dowiadujemy się, w jaki sposób wyłaniano zwycięzców przeglądu młodych zespołów w roku 1987:

„Jarocin '86 mogło oceniać 17 tysięcy ludzi. Każdy miał prawo do jednego głosu. Siedem tysięcy kuponów oznaczało niemal 50 proc. głosujących. Publiczności '87 przyznano po trzy karnety konkursowe, aby każdego dnia przesłuchań mogła głosować osobno na swego kandydata. Było więc tych możliwych głosów około trzydziestu tysięcy. I publiczność zagłosowała – jak mówią krytycy teatralni – nogami. Na trzydzieści, zgłoszono siedem tysięcy typowań, wybierając laureata tysiącem głosów (…)". Autorka tekstu niejako na deser zostawia nam kilka wersów, które świetnie korespondują ze wspomnianymi już wcześniej nastrojami jarocińskiej publiczności Anno Domini '87. Szczególnie wobec Rady Artystycznej. „Część

kuponów okazała się nieważna, w tym ciekawostka, którą Marcin Jacobson pokazał dziennikarzom: odcinek z tekstem: »W Jarocinie jest do dupy, bo są słabe kapele i jest zimno. A Jacobson jest stary trep«. Podpisano – W. Chełstowski".

Publiczności najbardziej spodobał się Detonator BN z Sochaczewa, który w głosowaniu dostał największą ilość kuponów. Tuż za nim uplasowała się rzeszowska Wańka Wstańka. Chłopców z Placu Broni znajdujemy na liście zespołów wyróżnionych przez Komisję Artystyczną i to właśnie ta komisja zaprosiła Bogdana i spółkę do koncertu finałowego.

– Dopiero niedawno się dowiedziałem, jak to wyglądało – wspominał po latach Bogdan. – Występowaliśmy o godzinie dziesiątej rano, a każdy, kto był w Jarocinie, wie, jak wygląda on w godzinach rannych. Na nasz występ nie dotarli zamroczeni członkowie Wielkiej Komisji przesłuchującej wykonawców. Był tylko Mirek Makowski i on zdecydował, może trochę z przekory, że zagramy na dużej scenie.

– To było fajne granie, proste i melodyjne – ocenia Marcin Jacobson. – Cóż, ludzie tego widać potrzebowali. Ja sam z wypiekami na twarzy słuchałem kiedyś Czerwonych Gitar. Mieli znakomite melodie, a w tym graniu Bogdana było właśnie coś ze spadku po „Gitarach". Można powiedzieć, że Chłopcy z Placu Broni ruszyli później całą falę zespołów grających ponownie w ten sposób. Z prostym i pozytywnym przekazem. W przypadku Bogdana było w tym też wiele poezji. Ducha Krakowa. Chyba właśnie wtedy ukształtowałem sobie jego obraz jako swoistego barda.

Wróćmy jeszcze do zwycięskiego Detonatora. Warta przytoczenia jest relacja Adama Halbera z „Magazynu Muzycznego", który miał okazję poznać bliżej triumfatorów…

„Po ogłoszeniu wyników chcemy zaprosić laureatów do studia. Gdy o pierwszej podchodzę do radiowego stanowiska, widzę już grupkę młodych ludzi. Są jednak dziwnie podnieceni i agresywni. Gdy pytam, czy to laureaci – zespół Detonator BN, odpowiadają, że umówili się, ale nie mają dużo czasu i jest bardzo późno. Rozumiem ich rozdrażnienie, tym bardziej że znacząca finansowa nagroda… zostanie im przesłana pocztą. Mimo to chyba jednak nie bardzo mogą udźwignąć ciężar sukcesu. W tym stanie zdecydowanie nie nadają się do zaprezentowania na antenie".

Nie po raz pierwszy się okazuje, że aby odnieść prawdziwy sukces, trzeba niewątpliwie mieć do tego jeszcze osobowość, skromność i to „coś". O tych, którzy tego nie mają, muzyczny światek szybko zapomina. Na szczęście Chłopcy z Placu Broni nie zrazili do siebie obsługujących festiwal mediów tego rodzaju wypowiedziami. Musieli jedynie trochę poczekać na prawdziwe sukcesy, a te miały przyjść już wkrótce.

– Kiedyś siedziałem w domu i od rana do wieczora grałem na klarnecie. To było całe moje życie, aż do momentu, gdy skończyłem dwadzieścia trzy lata. Wtedy założyłem zespół. Założyłem w marcu, a w sierpniu pojechaliśmy do Jarocina i znaleźliśmy się w tej Złotej Dziesiątce… Nie było możliwości, by mi odwaliło, bo śmieszyło mnie to, co działo się w środowisku muzyków rockowych. Zresztą ja byłem na takim etapie, że miałem dziwny stosunek do rocka. Uważałem, że jedyne, co ma sens, to wygłupiać się, ale tak na granicy. Że nie wiadomo, czy nie jest to serio. Robić tak, żeby nie było smutno. I żeby język piosenek był na poziomie, bez prymitywnego wieśniactwa. Jeżeli to ma być naiwne, to niech będzie naiwne w sposób sugerujący pewną wrażliwość… Wiem, że mogę robić tylko jedno: śpiewać piosenki i grać. Zawsze będę to robił i jest to kontynuacja pewnej koncepcji, którą mam od trzynastego roku życia – mówił po latach twórca Chłopców z Placu Broni w rozmowie z Wiesławem Królikowskim z „Tylko Rocka".

Ciekawą wypowiedź Bogdana, dotyczącą pierwszych występów w Jarocinie i swojej muzyki, zanotował na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych piszący dla „Magazynu Muzycznego" Kuba Wojewódzki:

– Myślę, że była to muzyka, której przez długi czas nie można było znaleźć na naszym rynku, mimo że wiele osób na nią czekało. Taki soft folk roll – to termin dla tych, którzy lubią etykietki. Pragnęliśmy uwolnić ludzi od zawodzenia tych zdeklarowanych neurotyków spod sztandaru „No Future", od całego ich buntu pozornego, którego stali się niewolnikami. U nas miało być przede wszystkim wesoło, rozrywkowo, ale bez grubo ciosanego humoru w stylu Wańki [Wańka Wstańka – zespół muzyczny, jedna z gwiazd Jarocina – przyp. autora]. Jedynymi zaś ustrojami, z którymi mieliśmy walczyć, były drobnoustroje…

Koniec lat osiemdziesiątych

Gdy zaczynaliśmy, mieliśmy swój manifest pt. Nowe Tezy Kwietniowe. A brzmiał on: „Pragniemy stanąć w opozycji do wszystkich smutnych i zasępionych idoli. Nie chcemy oszukiwać ani ogłupiać muzyczną tandetą. Marzymy, by słuchano nas w najbardziej oddalonych od Krakowa remizach strażackich". Chodziło nam o przełamanie pewnych schematów, wyzwolenie się z pęt muzycznych stereotypów. Okazało się wtedy, że jest jeszcze parę innych osób działających z podobnym nastawieniem. Tak więc wszyscy zmontowaliśmy wspólny front artystycznej kontrrewolucji w stosunku do dołowania i punkrockowego smęcenia.

O tym, że Bogdan w swoich tekstach nie chce uderzać w tematy polityczne (choć jego fan club swego czasu załączał do listów ulotki KPN-u…) i nie będzie tego robić – wyjaśniał w dalszej części rozmowy:

– Powiedzmy sobie szczerze: muzyka kontestacyjna staje się skansenem, skamieliną. U nas niestety wciąż dominuje tandetny plakatowy socrealizm. Punk stał się sztuką socrealistyczną, podporządkowaną rzeczywistości. W ten kanał wpędziła go jego własna rewolucja. Zresztą tak zwykle bywa z rewolucjami, że ich główną siłą jest destrukcja i negacja tego, co zastała. Później traci ona impet, obrasta schematami, dogmatami i ideologią. Zastyga w twórczym uwiądzie i oddala się od życia. Tak też stało się z punk rockiem. Ci ludzie mają wyraźne obsesje i urazy psychiczne spowodowane totalitaryzmem. A trzeba mieć dystans do rzeczywistości oraz jej spraw – szybko przemijających. Jedynym tematem ponadczasowym jest miłość i jej zamierzam poświęcić większość moich kompozycji. Zobacz Rolling Stonesów. Anglia też ma swoje problemy, a oni, niezależnie od wieku, potrafią tak fantastycznie śpiewać o miłości. My pragniemy grać muzykę, która łagodzi obyczaje. Ja najbardziej zainteresowany jestem tym, co dzieje się wewnątrz człowieka, a nie wokół niego. (…) Na hasło „ideologia" niedobrze mi się robi. Nie jestem człowiekiem zaangażowanym politycznie, nie mam też misjonarskich zapędów. Owszem, śpiewam „Kocham wolność", ale nie jest to piosenka polityczna. Sprowadzanie pojęcia wolności tylko do kategorii politycznej spłyca jej istotę.

Reasumując: jarocińskie występy z roku 1987 z pewnością dodały Bogdanowi twórczych skrzydeł. Wreszcie mógł skonfrontować swoje artystyczne dokonania z publicznością i dziennikarzami. Konfrontacja nie wyszła źle. Zwłaszcza jeżeli na dowód tej tezy poczytać przytoczone opinie z prasy muzycznej. Może jeszcze skąpe, niezwracające uwagi na całokształt repertuaru „Chłopców", ale z pewnością dające nadzieje, że to, co robią, robią już teraz jest ciut ciekawsze od tego, co tworzą inni.

Po powrocie z Wielkopolski Bogdan dostał wyraźnego twórczego „kopa". Na fali pierwszego sukcesu skomponował utwór, który okazał się niesamowitą trampoliną do prawdziwej popularności. Jak się też z czasem okazało, był również jego największym przekleństwem.

EWA LANGER: *Usiadł przed kartką papieru i powiedział, że dzisiaj napisze piosenkę, która stanie się hitem i rozsławi Chłopców z Placu Broni. Tak też się stało… Napisał ją z założeniem, że to będzie utwór żartobliwy. Oczywiście ludzie odebrali go jako piosenkę pisaną z serca, prawdziwą. Przypięła się do mnie na dodatek etykieta „Eli", bo wielu myślało, że Bogdan śpiewa o swojej dziewczynie, czyli o mnie. Znajomi mu mówili, by uważał – „bo przypną ci łatę". Tak się stało. „Ela" wyniosła go bardzo wysoko, ale też w pewnym sensie stała się jego przekleństwem. Od tego momentu, przez całe lata, ludzie na koncertach od początku do końca krzyczeli: „Ela, Ela, Ela, Ela!". Irytowało go to.*

– Przyszedł do mnie ze słowami: fajny utwór mam – wspomina Jacek Dyląg. – Zagrał mi go. Stwierdził, że chciał napisać utwór wesoły, który będzie nieść radość ludziom, a w ogóle to on marzy,

żeby grali go od rozgłośni radiowych aż po wesela. Żeby trafił do ludu po prostu. Pomyślałem, że to bardzo zabawna piosenka. Miała w sobie tyle uroku. Wkrótce potem stała się przebojem. Graliśmy ją na bis po pięć razy. Wiąże się z nią zabawna historia. Chyba było to w Stalowej Woli. Po koncercie wybraliśmy się na miasto, a że w ówczesnej Polsce po godzinie dziewiętnastej wszystko zamierało, to znaleźliśmy jedynie dancing, gdzie przygrywała jakaś wąsata kapela rodem z zabawy weselnej. Zaglądamy do środka, a panowie właśnie w tym momencie grają „O! Ela". Boguś był w siódmym niebie. Mówię: Spełniło się twoje marzenie. Wchodzisz do knajpy, a tutaj twój numer! – Tak właśnie miało być – odpowiedział. To było celowe zagranie z tą piosenką. Ludzie tego nie wiedzą. Myślą, że to sztandarowy utwór Chłopców z Placu Broni. Trafił z tym numerem pod strzechy wszystkich domów w Polsce.

– Wtedy z „Elą" to byłem w dramatycznej sytuacji. Dlatego że wszyscy chcieli mnie już pogrzebać razem z tą piosenką. Ja, owszem, czułem się szczęściarzem jako autor naprawdę sporego przeboju, ale nie miałem ochoty zakończyć na tym swojej działalności. Nie chciałem się pogodzić z losem, który mi wyśpiewywano. Nie mogliśmy zagrać normalnego koncertu, bo publiczność cały czas skandowała: „Ela! Ela!". Ludzie w ogóle nie byli zainteresowani innymi piosenkami. Po takiej trasie, gdzie wszyscy ryczą i chcą tylko jednej piosenki, można zwątpić i się zastanawiać, że może to wszystko jest bez sensu. Ale postanowiłem, że się nie poddam i jakieś półtora roku nie graliśmy tej piosenki. Potem jednak sytuacja się zmieniła, więc „Ela" wróciła do naszego programu koncertowego – zwierzał się Bogdan Marcinowi Gajewskiemu w rozmowie opublikowanej w magazynie „Tylko Rock".

Z Jackiem Dylągiem

Cokolwiek by jednak Bogdan powiedział, trzeba przyznać, że wyszedł mu spod strun i pióra wielki przebój. Jeden z największych hitów polskiej muzyki rozrywkowej. Taki, który śpiewać się będzie jeszcze przez wiele lat. Chyba nie ma w sprzedaży śpiewnika dokumentującego najpopularniejsze utwory polskiego rocka, w którym nie znalazłaby się ta kompozycja. Do dziś „O! Ela" zamieszczana jest na wielu płytowych składankach. Wysoko pnie się również we wszelkich zestawieniach najważniejszych rodzimych piosenek XX wieku. Dla Chłopców z Placu Broni stała się czymś takim jak „Autobiografia" dla Perfectu czy „Whisky" dla Dżemu. Warto podkreślić, że choć w swoim życiu Bogdan napisał wiele lepszych piosenek i takich, które z pewnością chętniej grał i bardziej lubił, to właśnie „O! Ela" zapewniła mu artystyczną nieśmiertelność. A także – co tu dużo mówić – spore pieniądze i popularność. Swoim zwyczajem napisał pieśń o miłości. Tragicznej i nieszczęśliwej, ale że ubrał to w nutkę humorystyczną, w mig pokochała ten utwór cała Polska. W sierpniu 1988 roku „O! Ela" trafia na szczyt Listy Przebojów Programu III Polskiego Radia, prowadzonej przez Marka Niedźwieckiego, co było kulminacją popularności samej piosenki, jak i dotychczasowej działalności Chłopców z Placu Broni. O genezę piosenki Bogdan wypytywany był przez dziennikarzy wielokrotnie, między innymi w rozmowie z Katarzyną T. Nowak, opublikowanej na łamach „Gazety Krakowskiej" w 1992 roku.

– „Ela" była dowcipem, żartem, ale tzw. fachowcy potraktowali to bardzo poważnie. Mnie wzięli za faceta, który przeżył w życiu poważny szok i będąc jak najbardziej szczery, opisał swoje przeżycia. Był to żart, przy pomocy którego można było zarobić i pobawić się. Napisałem tę piosenkę w czasach, kiedy wszyscy grali chamskiego, brudnego punk rocka, który z zespołem Sex Pistols nie miał żadnego związku, a śpiewali głównie o komunizmie. Pomyślałem więc, że przeciwwagą dla tej paranoi będzie taka lekka, przyjemna piosenka, dzięki której ludzie się pośmieją. Ale zostało to odebrane, jak zwykle, superpoważnie. Zamęczano nas, że piszemy teksty, z których spływa cukier, że to kicz i szmira. Byliśmy tępieni, że jesteśmy zbyt czytelni. Moje piosenki są proste i banalne, bo nie chce mi się pisać innych. Z założenia robię muzykę komercyjną i mam zamiar nagrywać same przeboje już do końca życia. Rock jest muzyką komunikacji najprostszej. Nie interesują mnie skomplikowane teksty czy wiersze. Nie jestem Jimem Morrisonem, nie mam kłopotów z życiem czy z umieraniem. Chcę, żeby mojej muzyki słuchało jak najwięcej ludzi i na brak publiczności nie mogę narzekać. Robię banalne, pretensjonalne piosenki o miłości i nie interesuje mnie robienie czegoś innego.

Olek Klepacz, wspomniany już wokalista Formacji Nieżywych Schabuff – dobry znajomy Bogdana ze scen, jak i prywatnych spotkań – dobrze pamięta narodziny „Eli" i towarzyszący jej boom radiowy. Chcąc nie chcąc, odczuł to na własnej skórze.

– Zdarzało się, i to nierzadko, że publiczność myliła nasze zespoły. Tak więc mnie przypisywano „Elę", a jemu „Klub wesołego szampana". Nie mylono, co jasne, nas. Bo ja byłem gruby i wielki, a on mniejszy i szczupły, ale właśnie te nasze piosenki. Były przecież puszczane w radiu w jednym czasie. Bogdan napisał świetny utwór. Prosty, melodyjny, doskonały. Do nucenia. Jakby na przekór wszystkim specjalistom od tworzenia przebojów i zawodowym kompozytorom, którzy niemal z matematycznych wzorów korzystają, by coś, co stworzą, stało się przebojem. Bogdan udowodnił tym samym, że można wielu rzeczy nie wiedzieć, ale można być szczerym. Można nie znać patentu, ale mieć intuicję. Rozumiem też rozterki, jakie mu towarzyszyły, kiedy nie potrafił zrzucić z siebie ciężaru, którego niewątpliwie „O! Ela" wraz ze swoim sukcesem mu dostarczyła. Dla artysty, który chce jeszcze coś przekazać, to

pułapka. Ja też chciałbym, żeby mnie postrzegano poprzez pryzmat ostatniej płyty, jaką nagrałem. Znam więc ten ból i niepokój. Bo jest coś niepokojącego w myśli, że może już niczego więcej nie napiszę. Tym bardziej że zdarzyło mu się to na samym początku kariery.

Czasem zespoły zdobywają popularność fortelem, w postaci konkretnego wielkiego masowego przeboju – ocenia Jacek Królik. – Wiele grup dzięki temu łapie szeroką medialność, mocno zresztą ułatwiającą dalszą strategię promocyjną. Oczywiście debiutanci z reguły śnią o szybkim wzlocie na piedestał, w atmosferze splendoru i zainteresowania publiczności. Bogdan, choć faktycznie najpierw marzył o przebojach, to później chciał się tej „Eli" jak najskuteczniej pozbyć. Demonstracyjnie nie nagrał jej na swoim pierwszym albumie! To była jego forma manifestu. Przez całe lata nie graliśmy tego utworu na koncertach, a jeśli już, to w niezwykle powykręcanych, nie do poznania wersjach. Choć oczywiście nie można nie zauważyć tego, że „O! Ela" była dla niego ekspresowym wejściem na największe sceny w kraju. To jeden z tak zwanych „pijackich" polskich przebojów. Wszyscy go znają i śpiewają do dziś – dodaje Jacek Królik.

Jeżeli już mowa o większych scenach i wzmożonej dzięki „Eli" aktywności Chłopców z Placu Broni, nie sposób nie wspomnieć Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, gdzie Bogdan Łyszkiewicz od tego momentu zawsze miał swoją wierną publiczność. Dzięki przekazom telewizyjnym z ówcześnie najbardziej medialnego spośród wszystkich rodzimych festiwali – uśmiechnięta twarz Bogdana Łyszkiewicza szybko zaczęła być kojarzona przez statystycznego Kowalskiego. Największy jego przebój śpiewało zwykle z Bogdanem kilka tysięcy osób obecnych w amfiteatrze. Kolejne dziesiątki, jak nie setki tysięcy – przed telewizorami. Wreszcie to w Opolu (w 1993 roku) zakomunikował ze sceny, że już nigdy nie wykona publicznie swojego największego przeboju. W postanowieniu – z incydentalnymi wyjątkami – wytrwał kilka lat.

Miał też nosa do cudzych przebojów. Jako pierwszy przewidział, że piosenka zespołu Kobranocka „Kocham cię jak Irlandię" zdobędzie taki sukces, jaki stał się jej udziałem na początku 1990 roku.

– Jesienią 1989 roku nagrywaliśmy swoją drugą płytę w studiu Teatru Stu w Krakowie – wspomina Andrzej „Kobra" Kraiński. – Bogdan był w tym czasie naszym częstym gościem. Pamiętam, że kiedy odsłuchiwaliśmy materiał i poleciała „Irlandia", wyraźnie się tym utworem zainteresował. Oj, panowie, zobaczycie, jaki to będzie hicior – pamiętam te jego słowa jak dziś. Z lekkim niedowierzaniem odparłem: No co ty, Bogdan. – Wspomnisz moje słowa – odpowiedział. Faktycznie, wywróżył nam ten sukces. Mieliśmy wtedy spory dystans do tego, co nagraliśmy, a on bezbłędnie wskazał „czarnego konia".

MACIEJ MALEŃCZUK: *Miał talent do przebojów. Chociaż kiedy zaczął robić poważną karierę, to trochę mnie to dziwiło. Bo kto jak kto, ale Łyzia i rock'n'roll…? Byłem nawet nieco zazdrosny, bo ja grałem wtedy na ulicy, a on miał tę swoją „Elę" i jeździł z nią po całej Polsce. Ja grałem twardego bluesa na ulicach, a on miękkie piosenki na największych scenach. Jego życie się zmieniało, było coraz bardziej szalone.*

Pierwsze poważne sukcesy (wciąż na długo przed wydaniem debiutanckiej płyty) spowodowały, że Bogdan coraz częściej zaczął pojawiać się w mediach. Pisała o nim nie tylko prasa krakowska, ale i ta ogólnopolska. Oczywiście muzyczna. Do kolorowych magazynów Bogdan, owszem, trafiał nie mniej często, ale to w latach

późniejszych. Z pierwszych wywiadów i publikacji mogliśmy się dowiedzieć między innymi, że jego ulubiony film to „A Hard Day's Night" z udziałem The Beatles. Ulubione książki to „Baśnie" Andersena, „Robinson Cruzoe" i „Jesteśmy więźniami" Oskara Marii Grafa. Tego, że nie lubi kłamstw, że chce grać koncerty, które brzmią jak nagrania studyjne, że nigdy nie będzie grał muzyki funky ani disco, bo te gatunki wydają mu się sztuczne i do niego nie docierają. Że lubi używki, bo lubi życie, chce jednak zachować umiar, co nie zawsze mu się udaje. Że ma problemy głównie z papierosami i herbatą i że jest zwyczajnym człowiekiem. Najważniejsza jest dla niego miłość. Dąży do dobra i szczęścia, lecz niestety życie jest życiem i święty nie jest. Dowiadujemy się też, że uwielbia ładne rzeczy, ładne wnętrza i ładnych ludzi. Lubi pisma erotyczne, ale nie pornograficzne. Jest estetą, nie znosi brudu, chamstwa i pijaństwa. Zdecydowanie opowiada się za dobrym wychowaniem, uprzejmością i grzecznością. Przyznaje, że dołuje go tylko ból fizyczny. Taki jak w dzień, kiedy rozmawiają z nim dziennikarze. Nie spał przez to całą noc, a od tygodnia bierze środki przeciwbólowe. „Czy ja kogoś zamordowałem, że mnie ten ząb tak boli?!". Nie chce się za to wypowiadać o polityce, bo tego ma dość. Nic go nie obchodzą polskie przepychanki. „To nie jest kraj, za który walczyli i umierali ludzie, może kiedyś będzie, ale chyba się na to nie zanosi. Owszem, Wałęsa jest superfajny koleżka, ale co on sam może?". Stwierdza też, że ma nadzieję, iż pójdzie do raju, bo jeśli świat jest taki piękny, to jaki musi być raj! Bogdana martwiło również, że „zabito w nas potrzebę życia z pasją. A o to przecież chodzi, żeby nie dzielić swojego życia na czas prywatny i zawodowy. Żeby to, co się robi, nie było pracą wykonywaną z obrzydzeniem, ale żeby było samym życiem – twórczym i pasjonującym". Nie zgadza się ze stwierdzeniem „byt kształtuje świadomość" – jego zdaniem to największe kłamstwo, jakie kiedykolwiek wymyślono. Zawsze „świadomość kształtuje byt", bo tylko od nas zależy, co zrobimy ze swoim życiem, a stwierdzenie „niech się dzieje, co chce" ubliża człowiekowi i prowadzi go do zguby.

W jednym z wywiadów odniósł się do popularności, jaka na niego spadła. Zapewnił, że nie ma jednak takiej możliwości, aby woda sodowa uderzyła mu do głowy.

– Popularność jest dla mnie szansą poznania nowych ludzi. Miłe są także sytuacje, gdy ktoś mijający mnie na ulicy woła na przykład: „O, chłopiec z placu broni" albo „O, aeroplan" względnie „O, Ela". Dziewczęta często wołają za mną cytując fragment piosenki – „tak niewiele żądam" i to jest już niebezpieczne.

– Bogdan stał się rozpoznawany i to już nie tylko w Krakowie – wspomina Ewa Langer. – Pamiętam jeden z naszych wspólnych wyjazdów wakacyjnych z tamtego czasu. Razem z moją siostrą i jej przyszłym mężem wyruszyliśmy w góry. Do Małego Cichego. Pewnego dnia siedzimy wszyscy na kocyku, a gdzieś w pobliżu spędzało czas całe stado kolonistek. Bogdan tego dnia założył długie spodnie. Było bardzo ciepło. Mówiliśmy mu, żeby je zdjął. Jakoś nie chciał tego zrobić, choć było jasne, że się „smaży". W końcu przyznał, że nie założył bielizny. Znaleźliśmy mu jednak jakieś kąpielówki. W końcu ściągnął spodnie i zakrywając się kocem, zaczął się przebierać. Zrobił to jednak tak nieumiejętnie, że wszystko w jednej chwili z niego spadło. Został goły, jak go Pan Bóg stworzył. Kolonistki to dostrzegły. Bogdan wskoczył pod koc i zaczął się pod nim miotać. W końcu wszystkie do niego podbiegły i w mig ustawił się cały sznur dziewcząt z karteczkami do podpisania. Długo to trwało, bo każdej z nich składał autograf, będąc przykryty kocem.

– Nie przykładał do popularności większej wagi, choć oczywiście bardzo się z niej cieszył. Kiedy ktoś podchodził do niego na ulicy, to nie odmawiał podpisu. Wszyscy byliśmy zadowoleni z tego, że odniósł sukces. Słuchało się radiowej listy przebojów i jak szło w górę, to była wielka radość. W mig zaczęły się koncerty. Najpierw w Krakowie i okolicach, a później już w całym kraju – wspomina Piotr Górka.

Z Jackiem Królikiem

– To były lata, kiedy kończyłem studia dziennikarskie – mówi Kuba Wojewódzki. – Pracowałem jednocześnie w „Magazynie Muzycznym" i Rozgłośni Harcerskiej. Nagle na antenie pojawiła się piosenka o tym, że jakaś „strzelnica sportowa", że ktoś kogoś zadźgał scyzorykiem… No i ta słynna już dzisiaj „Ela" w refrenie. Kiedy tylko nadarzyła się okazja, postanowiłem poznać artystę. Wziąłem trzydniową delegację i z moją ówczesną dziewczyną pojechałem do Krakowa, by napisać materiał o wschodzącej gwieździe, Bogdanie Łyszkiewiczu. Miałem dość uduchowione podejście do twórców. Dlatego też chciałem to wszystko zobaczyć na własne oczy. Przekonać się, gdzie on bywa, do jakich klubów chodzi, co jest ciekawego w jego otoczeniu. Już przy wyjściu z pociągu urzekł mnie napis, jaki dostrzegłem na peronie: „WITAMY BURAKÓW ZE STOLICY". Nie zniechęciło mnie to. Co do samego Bogdana, to szybko się okazało, że jest on niezwykle ciekawą i łagodną osobowością. Powiedziałbym nawet: liryczną. Zaprosił nas do mieszkania. Długo opowiadał mi o swoich piosenkach. Inspiracjach i planach. Już wtedy był całkowicie niedzisiejszy. Bardzo ciekawie mówił, przez co przyjemnie się go słuchało. Inteligentny chłopak. Nie krył totalnego zauroczenia harmoniami beatlesowskimi, co akurat mnie nie zaskoczyło. Słuchając jego piosenek, nie można było nie poznać, na czym się wzorował. Bogdan, pomimo tego, że nie był nigdy wybitnym wokalistą ani gitarzystą, jakimś niezwykłym wewnętrznym urokiem był w stanie odkupić wszelkie niedostatki. To był początek naszej długoletniej znajomości. Później spotykaliśmy się jeszcze wielokrotnie. Zawsze były to fajne momenty. Jak chociażby wtedy, gdy w 1991 roku dostaliśmy do realizacji wraz z Piotrkiem Majewskim program telewizyjny „Rockandroller". Nadawany zresztą w bardzo dobrym czasie antenowym. Zadzwoniłem pewnego dnia do Bogusia, by przyjechał do Warszawy i w końcówce programu, w kadrze, w pustej sali klubu Riviera Remont wypowiedział słowa swojej piosenki „Żegnam was, to koniec", co jednocześnie zapowie jego wizytę w kolejnym odcinku. Zwariowany pomysł. Wymagający od niego sporego poświęcenia i kilkugodzinnej podróży. Wsiadł w pociąg do Warszawy, przyjechał do nas na chwilę, powiedział te kilka słów i wrócił do Krakowa.

W okresie, który nastąpił po pierwszych jarocińskich sukcesach, Chłopcy z Placu Broni często występowali (ugruntowując swoją rynkową pozycję) w ramach koncertów Krajowej Sceny Młodzieżowej, której głównymi animatorami byli wspomniany już Paweł Sito, a także Bożena Sitek i Piotr Majewski. Krajowa Scena Młodzieżowa doczekała się nawet własnego bloku muzycznego na festiwalu w Opolu. Oprócz świetnie przyjmowanych Chłopców z Placu Broni publiczność spotykała się przede wszystkim ze Sztywnym Palem Azji, Tiltem, Kobranocką czy Ziyo.

TOMEK LIPIŃSKI, LIDER TILTU: *Jeździliśmy w te trasy w kilka kapel. Wtedy też poznałem Bogdana. Był to początek długoletniej przyjaźni. Z nim się łatwo łapało kontakt. Był inteligentnym i kulturalnym człowiekiem, co w tym środowisku nie jest niestety powszechne. Szybko się okazało, że mamy wspólne zdanie na wiele tematów. Toczyliśmy więc wielowymiarowe i inspirujące rozmowy. Dużo podróżowaliśmy, nocowaliśmy w tych samych hotelach. Przelewało się wtedy też sporo alkoholu. Boguś, wypiwszy, momentalnie stawał się jeszcze bardziej uroczy i dowcipny. Miał w tamtym czasie ksywkę „Łosiu", związaną z jego profilem. Pamiętam powiedzenie, które krążyło w jego obecności: „Łosiu were here" – zaczerpnięte z tytułu płyty „Wish you were here" zespołu Pink Floyd.*

Bogdan na koncertach niejednokrotnie dawał upust swojemu charakterystycznemu poczuciu humoru. Tym także zyskiwał aprobatę fanów. Dowcipnie zapowiadał kolejne utwory. Oto próbka jego możliwości:

– „Widziałem ją jeden raz” to liryczna opowieść o zaletach prostytucji – żartował. – À propos prostytucji to należy się wam wyjaśnienie. Otóż Chłopcy z Placu Broni to bardzo porządni chłopcy, bo jak Bronia oddaje się porywom żądzy, to oni trzymają jej grzecznie gumkę od majtek.

Ciekawym epizodem z tego czasu był z pewnością dla „Chłopców” wyjazd do Związku Radzieckiego. Zespół wyruszył tam w składzie: Bogdan, Wojtek Namaczyński, Waldek Raźny i Jacek Dyląg.

– Przygoda ze Związkiem Radzieckim była przeżyciem silniejszym niż mój późniejszy wylot do Stanów – wspomina Dyląg. – Po powrocie całowaliśmy peron na dworcu w Warszawie. Podróż do Mińska odbyła się wagonem sypialnym z zabitymi deskami oknami. Wszędzie było brudno i unosił się wyjątkowo nieprzyjemny zapach. Spędziliśmy w Mińsku w sumie tydzień, a na scenie wystąpiliśmy tylko trzy razy. Mimo że w Polsce też nie było wówczas kolorowo, to jednak szybko się okazało, że to, cośmy tam ujrzeli, stało się dla nas traumatycznym przeżyciem. Wszystko było jakieś smutne. Graliśmy w wielkiej hali, która na co dzień była areną hokejową. Taflę przykryto tkaniną, na której ustawiono scenę i krzesła. Co szczęśliwsi siedzieli na trybunach, bo tam mogło być cieplej. Temperatura wewnątrz wynosiła może z pięć stopni. Ludzie w ogóle nie reagowali na muzykę. Obserwowaliśmy z Bogdanem ten tłum, kiedy się schodził do hali. Ludzie zostali spędzeni z zakładów pracy. Widać było, że wcale nie chcieli tam być. Sporo starszych osób i przodowników pracy. Wyglądało to wszystko niczym „Pochód Kantora”. Nikt nic nie mówił. Jakby im ktoś powycinał języki. Był to zresztą wyjazd ze Służbą Bezpieczeństwa w tle. Razem z nami przyjechał pan z Ministerstwa Kultury. Przedstawił się jako opiekun grupy. Od razu jak przyjechaliśmy na miejsce, wydawało nam się, że ktoś za nami chodzi, że się nam przygląda. Jak to określił wtedy Bogdan – uczucie permanentnej inwigilacji. Nie wiadomo kto, nie wiadomo skąd, ale wciąż obserwuje. W hotelu, restauracji, sali koncertowej. „Wielki Brat” po prostu. Miałem pokój z Bogdanem i pamiętam, że zaraz po podróży poszliśmy spać. Nagle ktoś wchodzi do pokoju. Pomimo tego, że zamknęliśmy się wcześniej na klucz. Po chwili ten ktoś ucieka. Spotkało nas wiele takich sytuacji. Były też dziewczyny, które kręciły się obok nas. Wypiliśmy z nimi morze wódki. One oczywiście udawały, że piją. Udawały też, że są łatwe. Z naszych domysłów wynikało, że to jakieś agentki. Ku naszej rozpaczy oczywiście, bo chcieliśmy je poderwać. Raz chciały, za chwilę znów nie… Jedna z nich, taka najgrubsza, cały czas przywoływała je do porządku. Widocznie była o stopień wyżej niż pozostałe w jakiejś nieznanej nam hierarchii.

Ponieważ zastana rzeczywistość wszystkim wydawała się absurdalna, szybko zrodził się bunt przeciw takiemu światu.

– Waldek Raźny wymyślił, że od teraz będzie rujnował gospodarkę Związku Radzieckiego. Kiedy wychodziliśmy rano z hotelu, to odkręcał wrzącą wodę na cały dzień. Lała się, aż do naszego powrotu. Po dwóch dniach zrobiła się afera. Para zaczęła wylatywać przez okno. Przyjechała pod hotel straż pożarna. Waldek miał później jakieś wyjątkowe nieprzyjemności z tym związane. Mnie za to z Bogdanem wydawało się, że wszystko jest w tym Mińsku jakieś brudne. Nawet rzeczy codziennego użytku. Napiwszy się, postanowiliśmy więc wszystko wokół umyć. Wsadziliśmy do wanny telewizor, telefon i inne hotelowe akcesoria, po czym zalaliśmy wszystko wodą. Na koniec jeszcze do tej wanny wskoczyliśmy. Sprawiło nam to wielką radość. Wszak kąpiel z radzieckimi sprzętami codziennego użytku nie zdarza się często. Innym razem poszliśmy na zakupy do Centralnego Domu Towarowego. Dostaliśmy jakieś pieniądze za występy, więc chcieliśmy je wydać. Co można było jednak w tym Mińsku kupić? Były odznaki z czerwonymi gwiazdami i z Leninem.

Lenin dorosły, Lenin z profilu, Lenin w geście, Lenin poważny, Lenin taki, Lenin sraki… To było tanie jak barszcz. Bogdan miał akurat w użytku marynarkę z amerykańskiego munduru wojskowego, to sobie te gwiazdy powpinał w nią gęsto. Ostentacyjnie Lenina na najbardziej eksponowane miejsce. Chodząc obklejeni tymi znaczkami, wzbudzaliśmy straszny popłoch. Ludzie nie byli do nas dobrze nastawieni – wspomina Jacek Dyląg.

Wiele zespołów, wyjeżdżając na Wschód, próbowało robić z bratnim narodem interesy. Jacek Dyląg przypłacił ten proceder emigracją z Polski na dwa lata.

– W Mińsku sprzedałem cały swój sprzęt. W tym gitarę, którą dostałem od taty. Tam mało kto w ogóle taką na oczy widział. Pomyślałem, że to będzie dobry interes. Stosunek rubla do dolara wydawał się bardzo atrakcyjny. Jak już dostałem pieniądze ze sprzedaży instrumentu, szybko się przekonałem, że czarnorynkowy przelicznik okazał się całkiem inny… Na moją niekorzyść oczywiście. W akcie desperacji postanowiłem więc za wszystkie ruble kupić złoto. Poszliśmy z Bogdanem do sklepu jubilerskiego i wypatrzyliśmy największy pierścionek, jaki tylko mieli. Starczyło jeszcze na kolczyki. Konsternacja w sklepie zapanowała przynajmniej taka, jakbym przyszedł kupować luksusowy samochód. Istotny dla faktu naszego przemytu tych cudów jest chyba fakt, że w drodze powrotnej „pan z ministerstwa" przyznał się przy wódce, że to nie jest do końca prawda. „Chłopaki, ja wam powiem, jak jest. Ja jestem z ramienia innego ministerstwa i mam was pilnować" – wymamrotał. Boguś wtedy zabrał głos: Znaczy jest pan z SB, tak? Przyznał się już bez kręcenia. Poczuliśmy do niego szacunek. Zaczęliśmy go pocieszać, by się tak tym nie przejmował. Podpytaliśmy jeszcze tylko, czy nie narobiliśmy mu jakichś kłopotów. Powiedział, że „fajne chłopaki jesteśmy". Chyba tylko dzięki niemu udało się to złoto przewieźć przez granicę. Nic nikomu na ten temat nie pisnął, a pewnie wiedział, cośmy tam kupowali.

Z interesu wyszły nici. Jacek pojechał co prawda sprzedać złoto do Berlina Zachodniego, ale spieniężył tam jedynie pierścionek – i to za mniej niż się spodziewał. Kolczyki znalazły nowego właściciela zupełnie inną drogą. Po prostu ktoś mu je ukradł.

– Zostałem bez pieniędzy i bez gitary, a po powrocie z Rosji trzeba było grać koncerty. Pożyczyłem więc dwieście dolarów od Piotrka Górki i kupiłem za nie kopię Fendera. Jako zespół zarabialiśmy jednak mniej niż to bywało wcześniej. Byłem zmuszony wyjechać do Stanów, by te pieniądze odrobić. Co prawda Piotrek okazał się wyrozumiałym i cierpliwym kredytodawcą, niemniej jednak nie mogłem tego w nieskończoność przeciągać. Decyzja zapadła. Miałem jednak ciągły problem z uzyskaniem wizy. Ostatecznie we wniosku wpisałem, że jadę do Steve'a Lukathera z Toto. Wymyśliłem to sobie, a adres wypisałem z ich płyty – bodajże była to wytwórnia, dla której Toto nagrywało. Chwyciło. Był 1989 rok, a ja zostawiałem Chłopców z Placu Broni dokładnie w dniu, w którym w Kongresie przemawiał Lech Wałęsa – dodaje Dyląg.

O rosnącej popularności „chłopca z Placu Broni", jak zaczęli Bogusia nazywać dziennikarze, świadczyć może również ilość listów, jakie do krakowskiego mieszkania Łyszkiewiczów zaczęły spływać z całej Polski. Wystarczyło w kilku wywiadach podać adres – i lawina ruszyła. Zachowało się sporo korespondencji z tamtych lat. Oto jej fragmenty. Pisownia oryginalna.

- *Uczę się grać na gitarze waszej piosenki ale mi nie wychodzi, bo brak mi dwóch strun i gitarę mam strasznie rozstrojoną (jakbyście mogli to prześlijcie mi struny wraz z wskazówkami, jak stroić gitarę… Fan Dawid*
- *(…) Trzymajcie się ciepło, grajcie jak graliście na FMR w Jarocinie. Niech słuchają was wszędzie, na morzu, lądzie, w powietrzu. W zakładach mechanicznych, w jednostkach wojskowych, na poligonie, na placu broni… Artur*

- *Czy mogę zadać Ci jedno pytanie? Dlaczego jesteś aż tak „nieprzyzwoicie" podobny do jednego z najwspanialszych muzyków świata, do mojej wielkiej muzycznej miłości, do jedynego i niepowtarzalnego JOHNA L.??? Iwona*
- *Kochany Bodziu!!! Przepraszamy, że zwracamy się do Ciebie tak poufale, ale serce nie pozwala nam inaczej. Jest nas dwie: Alina i Iwona. Jesteśmy zafascynowane Twoim rzymskim profilem, słowiańską urodą (od przodu) i bujną blond – czupryną. Kochamy i podziwiamy Twoje piosenki… (…) Będziemy w Krakowie od 16 do 19 czerwca. Chciałybyśmy się z Tobą spotkać. Wiemy, że takich dziewczyn jak my jest bardzo wiele, i tysiące dziewczyn chce się z Tobą spotkać, ale nam naprawdę zależy na tym spotkaniu. Iwona i Alina*
- *Na pewno ciężko Ci będzie wygrzebać w pamięci moją SKROMNĄ OSOBĘ, zwłaszcza że widziałeś mnie raz jeden w życiu (chociaż ja Ciebie zdecydowanie nie po raz pierwszy). Cóż, czytaj cierpliwie, może w efekcie końcowym przypomnisz mnie sobie. Na imię mam Magda, a udało mi się Ciebie „złapać" w Warszawie na koncercie w Hali Gwardii („ROMANIA"…). Kiedy już znikałeś w czeluściach pomieszczeń dla Artystów (dokładniej – na schodach) wtedy jak na prawdziwą małolatę – pasjonata (czyt. Fana) przystało poprosiłam o tzw. Autograf. I stało się… no nic strasznego, ale muszę nadmienić, że to właśnie z TWOJEJ szanownej inicjatywy piszę ten list. Zazwyczaj pisze mi się łatwo, lekko i przyjemnie, ale teraz sam rozumiesz, muszę stanąć na wysokości zadania. Nasze spotkanie to epizod, który trwał kilka sekund, ale muszę przyznać, że dla mnie miał swoją wartość. Poczułam się DUMNA i BLADA… Magda.*
- *Wszyscy zobaczyli Twoje zdjęcie i powszechnie stwierdzili, że jesteś przystojnym facetem. Jolanta.*
- *Wiecie co mnie najbardziej ucieszyło, że list od was dostałam w Mikołajki i co więcej znaczek na liście nie był pieczętowany. Więc oderwałam znaczek i przykleiłam na kopertę i wyślę do was list. Może kiedy otrzymasz mój list znaczek znów nie będzie pieczętowany odkleisz go i nakleisz. Będziemy pisać i wysyłać na jednym znaczku. Ale jajka. Bez podpisu, za to dorysowano pacyfkę.*
- *Bogdanie! – podbijasz świat naszej szkoły (…) robisz duże wrażenie na ludziach. Serio! Urszula.*
- *PROSZĘ, przyjedźcie do Wyszkowa i dajcie jakiś wspaniały koncert. Ja na pewno na nim będę, na 100%, a moi kumple i kumpelki również, więc będzie zabawa na 150 (to takie moje powiedzonko). Ja mogę załatwić salę, na której odbywają się koncerty, tylko zgódźcie się, please. Serio, będzie klawo, postaramy się. (…) DOBRA RADA: na koncercikach brońcie się przed natarczywymi fankami, bo one czasami mają poważne zamiary i potrafią być brutalne (i nie ma się z czego śmiać, tak, tak! Ja to znam). Magda.*
- *Tak bardzo chciałam mieć Twój adres, chyba tylko po to, aby uświadomić sobie, jak trudno jest napisać list, taki jaki chciałabym, aby on był. Spróbuję. Mieszkam w małej miejscowości otoczonej jeziorami i lasami. Wydawałoby się, że życie jest tu łatwiejsze, lecz czy tak jest? (…) Dzisiaj świeci słońce, pachnie wiosną i właśnie to, że życie naprawdę mogłoby być piękne, skłania mnie do czarnych myśli. Bogdanie, list Twój do mnie mógłby mi przynieść wiele radości. Proszę. Ulka.*
- *Piszemy ten list ponieważ nasz cała klasa lubi – uwielbia ten zespół. Jesteśmy klasą, która jest w miarę zgrana, ale to jest nieważne dlatego, że nie ma osoby, która by nie lubiła Chłopców z Placu Broni. Joanna.*
- *Serdeczne pozdrowienia z Sosnowca przesyła Aga z psem TOBIM. Agata.*
- *Czy będę mogła na swoje urodziny zaprosić Bogusia z przyjaciółmi? Kaśka.*
- *Nie wiem czy Wy wiecie, ale ludzie uważają was za jedną z najlepszych kapel w Polsce. I to nie tylko ludzie, którzy słuchają wyłącznie muzyki podobnej do waszej. Po waszym koncercie w Jarocinie gadałem z kilkoma zatwardziałymi punami i każdemu z nich się podobało! Tomasz.*

To dominujący ton korespondencji. Do Bogdana trafiały też listy poważniejsze – z prośbą o porady czy konkretną pomoc. Na niektóre odpisywał. Dla wielu młodych ludzi stawał się pewnego rodzaju mentorem, przewodnikiem po świecie uczuć i buntu. Anna Łyszkiewicz wspomina setki telefonów do krakowskiego mieszkania. Przeglądając zachowaną korespondencję, nie można nie zauważyć listów nadesłanych (jest ich kilkadziesiąt) z Lubonia koło Poznania. Nadawczynią była Aneta Pawłowska. Wtedy nastolatka z małego wielkopolskiego miasteczka. Tak wspomina korespondencję z idolem:

– Pamiętam, jak pierwszy raz zobaczyłam Bogdana – poczułam, że to ktoś wyjątkowy. Miałam głowę pełną ideałów i czułam, że Bogdan ma podobne spojrzenie na świat. Marzyłam o kontakcie z nim. Na którymś koncercie w poznańskiej Arenie (z cyklu Krajowa Scena Młodzieżowa) zwróciłam uwagę Bogdana wielkim transparentem z napisem „Boguś!!!". Kotłowałam się pod samą sceną, Bogdan kilka razy się uśmiechnął, a nawet podstawił mi mikrofon podczas „Aeroplanu" i zaryczałam na całą halę: „W kosmos sondy wysyłamy, a w Afryce ciągle głód!". Po koncercie rozpaczliwie pragnęłam rozmowy z Bogusiem. Dowiedziałam się, że zespoły zatrzymały się w hotelu Polonez, ale nie chciałam być namolna, nie pojechałam za nimi. Jednak na drugi dzień rano nie wytrzymałam, kupiłam kwiatki i (wraz z koleżankami) pojechałam do hotelu. Niestety, Bogdana już w nim nie było. Na szczęście spotkałam chłopaków ze Sztywnego Pala Azji i (chyba) Paweł Nazimek dał mi adres Bogusia. Napisałam do niego, on mi odpisał i tak się zaczęło. Uwielbiałam jego listy. Może to głupio zabrzmi, ale stał się moim guru, przewodnikiem duchowym, chciałam wierzyć, że przyjacielem. Był człowiekiem niezwykle skromnym i wrażliwym. Pisał, że nie chce, abym traktowała go jak mentora, ale tak właśnie było. Czułam, że jest moją bratnią duszą, świetnie się rozumieliśmy. Czasami prowadziliśmy długie rozmowy telefoniczne, które były balsamem na moją duszę. (…) Śmiało mogę powiedzieć, że dzięki niemu moje życie miało lepszy smak, wiele razy mi pomógł, dowartościował, dawał mi radość i pewnie nie miał pojęcia, ile dla mnie znaczył.

Pierwsza płyta

Ja się po prostu dobrze czuję od wielu lat. To jest moim zwycięstwem. Owszem, z przerwami, ale nawet w czasie tych przerw nie jest nigdy tak źle.

Przełom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych okazał się dla Bogdana owocny. Jego zespół występował na coraz ważniejszych imprezach. Bogdana zapraszano już nie tylko na te stricte muzyczne, jak chociażby festiwale w Jarocinie czy Opolu, ale i na organizowane przy okazji ważnych wydarzeń o charakterze społecznym. Jednym z nich był koncert, który odbył się pod koniec grudnia 1989 roku w Teatrze Muzycznym w Gdyni dla Fundacji SOS Jacka Kuronia. Ten dzień dobrze pamięta Bartek Witucki – późniejszy wieloletni przyjaciel Bogdana, a ówcześnie między innymi prowadzący program telewizyjny „Stare, nowe, najnowsze".

– To był niezwykły czas. Wszyscy czuliśmy, że jesteśmy świadkami czegoś wielkiego i ważnego. Na naszych oczach zmieniał się świat. Runął mur berliński, u nas już od kilku miesięcy działał rząd Mazowieckiego. Zdawaliśmy sobie sprawę, że to musi pójść jeszcze dalej. Przed samym koncertem dotarła do nas informacja o schwytaniu Ceausescu. Piosenka „Wolność" stała się niezwykle ważnym momentem tego dnia. W powietrzu czuliśmy radość

i podniosłość. Bogdan jakoś do tego wszystkiego bardzo pasował. Wystarczy wspomnieć te jego charakterystyczne pozdrowienia w geście pokoju – z dwoma palcami w górze.

Nareszcie też pojawiła się szansa nagrania pierwszej w historii zespołu płyty. Skład, który miał ją zarejestrować, różnił się już znacznie od tego, który zaczynał próby w Nowohuckim Centrum Kultury. Oprócz Bogdana, zespół ówcześnie (w 1990 roku) tworzyli: gitarzysta Krzysztof Zawadka, drugi gitarzysta Marek Siegmund, na perkusji znany już Wojtek Namaczyński, a na gitarze basowej Paweł Nazimek, który tak wspomina początki swojej współpracy z zespołem Bogdana:

– Poznaliśmy się poprzez Jarka Kisińskiego. Grałem wtedy w Sztywnym Palu Azji. Niestety, był to trudny moment dla zespołu. Po pierwszych sukcesach i nagraniu płyty coś się zaczęło psuć. Atmosfera gęstniała. Widziałem, co się dzieje w zespole Bogdana, że tam jest więcej świeżego powietrza. Wiedziałem też, że on sam ciągle ma problemy ze składem. Muzycy, których sobie dobrał na początku, powoli się wykruszali. Każdy z nich miał inne zajęcia na boku. To była trudna decyzja, ale postanowiłem opuścić dotychczasowy zespół i związać się muzycznie z Bogusiem. Zresztą to on sam wystosował zaproszenie. Po pierwszych próbach zaproponowałem, by do zespołu dołączył jeszcze mój znajomy z Chrzanowa Marek Siegmund. Razem tworzyliśmy fajną paczkę. Czasami Bogdan tylko wyskakiwał w stronę Siegmunda, by przestał chodzić w trampkach, a pomyślał o kowbojkach, bo przecież Beatlesi nie występowali w obuwiu sportowym. To było zabawne. Większych spięć nie pamiętam. W każdym razie nie na samym początku wspólnej drogi. Mieszkaliśmy wszyscy razem w mieszkaniu Ewy. W tym czasie często wyjeżdżała do Norwegii. Miała taki sposób na życie, że zarabiała tam, wracała potem do Krakowa i żyła na luzie z oszczędności – czytając poezję i bawiąc się. Dla nas takie wspólne pomieszkiwanie to była fantastyczna sprawa. Czuliśmy się jak Stonesi, którzy w swojej historii też mieli taki okres. Ciągłe próby, wspólne posiłki, potem wieczory w krakowskich knajpkach. Coś niezwykłego. Zespół był już znany – przynajmniej w kręgach słuchaczy Rozgłośni Harcerskiej czy Programu Trzeciego Polskiego Radia. Kiedy pojawiła się propozycja nagrania płyty, zjechaliśmy do Warszawy. Pojawił się problem zakwaterowania, ale rodzice Krzysia Zawadki przyjęli nas do swojego małego mieszkania, gdzie mieszkali wraz z jego siostrą i pieskiem. Byli gościnni, ale wiedzieliśmy, że tej gościnności nie można nadużywać. Przeprowadziliśmy się więc do niejakiego „Makrona", kolegi Krzyśka. To był czad. Mieszkanie urządzone jak squat. Brudne, z upapranymi oknami. Niewyniesione śmieci. Cały miesiąc spędziliśmy w takich warunkach.

Tak początki znajomości wspomina Krzysztof Zawadka: – Któregoś dnia Bogdan zadzwonił do mnie z propozycją dołączenia do jego zespołu. Zaprosiłem go do siebie, żeby sprawdzić, co to za gość – przecież wcale go nie znałem. No i jak przyjechał, to mnie z miejsca załatwił. Nie dość, że prawił mi komplementy, to jeszcze wpadł w oko mojej obecnej żonie. Było „posprzątane". Miał podejście do ludzi. Każdego potrafił zauroczyć. Pamiętam zdarzenie, gdy spacerując po Krakowie, w okolicy Rynku zauważyliśmy panią Annę Dymną. Pracowaliśmy wówczas nad pierwszą płytą Chłopców z Placu Broni i na tapecie była muzyka z fragmentami wiersza Wiesława Dymnego. Bogdan bez pardonu ruszył do akcji. Pięknie nas przedstawił i w kilku słowach wyłożył sprawę. Pani Anna, nie zastanawiając się ani chwili, wyraziła zgodę na użycie tekstu jej męża. Taki był Bogdan – szczery, bezpośredni i prawdziwy.

Zespół miał o tyle ułatwione zadanie, że wielu fanów czekało na pierwszą płytę, znając już utwory Chłopców z Placu Broni z radia i licznych już wtedy koncertów. Z perspektywy

czasu można stwierdzić, że może to i dobrze, iż zespół nagrał debiutancki krążek tak późno. Właściwie po kilku latach od swojego debiutu. Przez ten czas Bogdan dojrzał i wypracował własny styl, któremu był wierny przez lata. Słychać, że chociaż jest to zespół fonograficznie debiutujący, ma już swój charakter i sztandar. Sztandar niesienia pozytywnych myśli i takiegoż przekazu. Piętnujący złe emocje („Chory kraj", „Chwalcie potęgę pieniądza", „Nasz nowy hymn"), a także zalewający słuchaczy kojącym potokiem pieśni o miłości („Szukałem Ciebie", „Piosenka dla Ciebie", „The Beatles" i „Kocham ją"). Wreszcie jest też tutaj wyśpiewany song, który na zawsze stał się jednym ze znaków rozpoznawczych Bogdana – ze słowami „wolność kocham i rozumiem, wolności oddać nie umiem".

BOŻENA SITEK: *Pamiętam pierwsze wykonanie tej piosenki. Bogdan dojechał na naszą imprezę w akademiku w Warszawie. W pewnym momencie wziął do ręki gitarę i zapowiedział, że zaśpiewa nam piosenkę, którą dopiero co napisał. Wyjął z kieszeni kartkę z tekstem i zaintonował „wolność kocham i rozumiem…".*

Dla wielu fanów i dziennikarzy to debiut jest najlepszą płytą Chłopców z Placu Broni. Może i skrywającą kilka niedostatków technicznych, ale zdecydowanie nadrabiającą szczerością przekazu.

– Nagraliśmy właśnie swoją pierwszą płytę długogrającą. Lecz na niej, oprócz kilku znanych piosenek, dominować będą utwory nowe, już nieco inne od tego, co robiliśmy wcześniej. Myślę, iż będzie ona niespodzianką dla naszych fanów i zaskoczeniem dla przeciwników. Przy wyborze utworów byłem w dość trudnej sytuacji, gdyż materiału w tej chwili mamy tak wiele, że powinniśmy nagrać jedną płytę ze starymi przebojami typu „O! Ela", „Aeroplan" czy „System kolonialny", zamykającą i podsumowującą pewien okres działalności zespołu, oraz drugą – z zupełnie nowym programem. Niestety jest to niemożliwe i trzeba będzie wypracować pewien kompromis – tłumaczył Bogdan w wywiadzie dla „Magazynu Muzycznego".

OLEK KLEPACZ: *Pamiętam Bogdana z tamtego okresu. Jeździłem często pociągami do Warszawy. Spotykaliśmy się na Dworcu Centralnym. On dojeżdżał z Krakowa, ja z Częstochowy. On miał „Lajkonika", a ja „Opolanina". Oba w podobnym czasie wjeżdżały do stolicy. Wielu artystów się tam mijało. Wszyscy przyjeżdżaliśmy do miasta, gdzie są stacje radiowe i dziennikarze muzyczni. Krążyliśmy z taśmami demo po całej Warszawie – „od Iwana do pogana". Sypiało się na Centralnym. Ja najczęściej na trzecim peronie… Po jakimś czasie miałem już tam kumpli: „Szczurka" i innych kloszardów. Póki nie przeganiali, dało się wytrzymać. Na „kupę" chodziło się do hotelu Victoria. Tam też przy odrobinie szczęścia udawało się coś podjeść z pańskiego stołu. W dzień przedreptywaliśmy ważne szlaki. Pamiętam, jak z piosenką „Baboki" przesiedziałem cały dzień w Trójce na korytarzu w oczekiwaniu, by ktoś tego chociaż przez moment posłuchał. Byliśmy dumni z tego, co robimy. Starzy dziennikarze traktowali nas trochę jak zło konieczne. Byliśmy młodzi, lataliśmy jak te plemniki. Oni mieli swoje tłumaczenia: Tutaj mamy sprawdzone, dobre wzorce: Perfect, Lombard, Maanam, Bajm – a jakiś Klepacz ciągle zaczepia i nagabuje. Bogdan też się z tym zderzał. Świetnie, że mu się w końcu udało. Takie iskierki, że jednak się da, że nie wszystko stracone, zawsze były potrzebne tym, co stali jeszcze na końcu kolejki.*

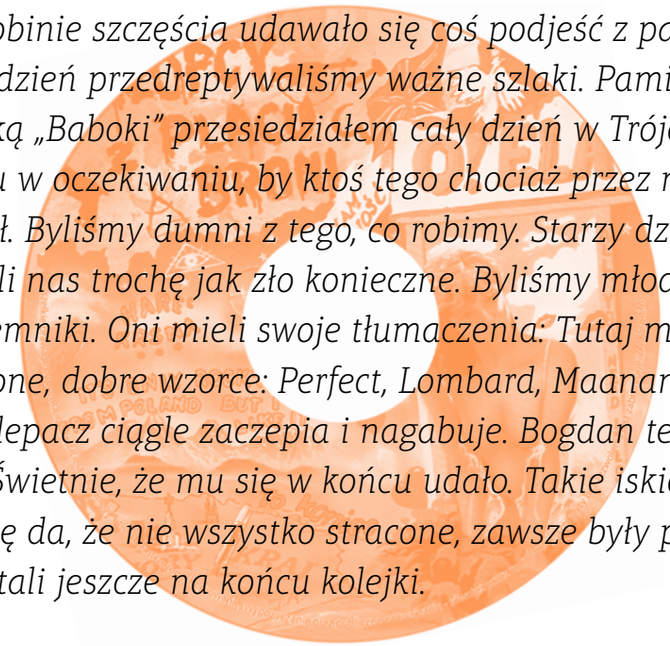

O! Ela | Kocham ją | 3:25

Na debiutancką płytę Bogdan skompletował dobrych muzyków. W tamtym czasie, podobnie zresztą jak w latach kolejnych, skład Chłopców z Placu Broni był płynny. Już w pierwszym tylko okresie działalności grupy, a więc od pamiętnego Jarocina aż po wydanie pierwszej płyty, przez zespół przewinęło się kilkanaście osób. W regularnym składzie nie grał już Jacek Królik, a Jacek Dyląg wciąż pracował w Ameryce, zarabiając dolary na spłatę długów.

– Zawsze miał kłopoty ze składem zespołu. Pamiętam taki koncert, chyba w Łodzi, w każdym razie na dużej hali, na który przyjechał zupełnie sam. Szybko coś Bogusiowi skompletowaliśmy. Na perkusji „Ciapek" ze Sztywnego Pala Azji, ja na gitarze, na basie Paweł Nazimek – jeszcze grający u nas, a na gitarze solowej z kolei Jurek Styczyński z Dżemu. Okazało się, że wyszedł z tego fajny koncert – wspomina Jarek Kisiński.

– Poczucie wolności, które w nim było, przekładało się też na zespół. Wybitni artyści i indywidualiści zawsze mieli rotacje w składach. Jest to rzeczą jak najbardziej naturalną. Dzięki temu właśnie ja też mogłem wziąć udział w tej pięknej idei, jaką byli jego Chłopcy z Placu Broni – mówi wspomniany przez Jarka Jerzy Styczyński.

Sam Bogdan wypowiadał się publicznie na temat gitarzysty Dżemu wielokrotnie. Między innymi na kartach książki poświęconej legendarnemu śląskiemu zespołowi. Oto co zanotował jej autor Jan Skaradziński: „Jurek to mój dobry kolega, nawet przyjaciel, jest jednym z najlepszych gitarzystów w Polsce, szczególnie w kategorii rhythm and blues. Najlepiej sprawdza się na koncertach, gra z niesamowitym wyczuciem i jeszcze większym czadem. A przy tym stroi kapitalne miny!".

Skaradziński przytoczył też dowcipną zapowiedź Romana Rogowieckiego, który pewnego razu, zapraszając zespół Bogdana z gościnnym udziałem Jurka Styczyńskiego do wejścia na scenę, oznajmił: Chłopcy z Placu Broni i mężczyzna z Dżemu!

W okresie debiutu fonograficznego Bogdana zawiązała się jego przyjaźń z Pawłem Walczakiem – pierwszym z prawdziwego zdarzenia menedżerem Chłopców z Placu Broni.

– Bogdana pierwszy raz zobaczyłem na Muzycznym Campingu w Brodnicy. Nie zajmowałem się jeszcze wtedy muzyką. Robiłem zdjęcia. Spodobał mi się jego wygląd. Był niezwykle podobny do Lennona. Szybko się okazało, że to człowiek niezwykle serdeczny i miły w kontakcie. Jakoś nie dało się go nie lubić. Z miejsca zaskarbiał sobie sympatię otoczenia. Kolejne spotkanie miało miejsce dopiero po jakimś czasie, kiedy zajmowałem się już zespołem De Mono. Zgłosił się do mnie Boguś razem z Krzysiem Zawadką, bym poprowadził ich zespół i pomógł wydać płytę. Zaczęliśmy się wtedy częściej spotykać, załatwiać pierwsze koncerty. Co najważniejsze – udało się nagrać debiutancki materiał u Andrzeja Puczyńskiego w Izabelinie. Zżyliśmy się bardzo przez ten czas. To były fantastyczne, choć niełatwe lata. Jeździliśmy razem na koncerty, spaliśmy w jednym hotelu, a czasem nawet u jego rodziców w Krakowie, jeżeli akurat byliśmy gdzieś blisko. Widziałem, że jego matka była zadowolona, że Boguś ma fajnych przyjaciół i że mogła ich poznać osobiście. To była taka bardzo zgrana paczka ludzi, którzy się lubili i lubili też ze sobą spędzać czas. Boguś już dawno chciał wydać płytę, ale nie mógł tego zrobić właściwie przez wiele lat. Przecież jego utwory od 1987 roku leciały w radiach, a on był już rozpoznawalną marką rodzimej sceny muzycznej. Niewydanie wcześniej płyty z tymi utworami to była strata, już pomijam, że gigantycznych pieniędzy, ale szansy na jeszcze skuteczniejsze wypromowanie wielkiego talentu. Był jednak osobą, która bardzo spokojnie podchodziła do wszystkiego. Pacyfistą. Nie potrafił się bić, nie potrafił się głośno kłócić. Wierzył w siłę argumentu. Specjalnie też nie umiał kłamać. Przesiadywaliśmy w Riwierze Remont niemal codziennie i to do godzin rannych. Lubił

się bawić, cieszyć życiem. Lubił też różnego rodzaju imprezy. Nie szalał na nich, nie pił dużo. Pamiętam, że zawsze się koło niego kręciły jakieś fajne kobiety. Choć nie był wtedy jakoś szczególnie kochliwy. To one go obsiadały. Nie spotkałem człowieka, który by powiedział o Bogusiu coś złego – że jest upierdliwy, przykry czy nudny. Po prostu wszyscy go lubili. Poza tym był artystą pełną gębą. Bohemą krakowską. Przez to już wtedy ceniła go Kora. W pewnym czasie miał tak dobry skład muzyków, że koncerty Chłopców z Placu Broni były wydarzeniem. Jacek Królik i Jerzy Styczyński – dwóch takich gitarzystów rzadko się spotyka na jednej scenie – wspomina Paweł Walczak.

Nagrania na debiutancką płytę odbywały się w podwarszawskim Izabelinie. Realizował je Andrzej Puczyński.

– Zapamiętałem Bogusia nie tylko jako autora naprawdę fajnej muzyki, ale przede wszystkim jako bardzo ciekawego człowieka. Prowadziliśmy w tamtym czasie wiele fascynujących rozmów. Nie był osobą konfliktową, bardzo łagodnie przekonywał otoczenie do swoich pomysłów i racji. Bywają artyści „dobrze nastawieni na współpracę" i on właśnie takim artystą był. Z początku nieśmiały, a po chwili dusza towarzystwa. Wielu muzyków, którzy po raz pierwszy przekraczają próg studia, albo ma obawę, że ktoś im tutaj zrobi krzywdę, albo z kolei ma kompleksy, że niewiele wiedzą. Boguś nie zdradzał ani jednego, ani drugiego. Szybko padły wszelkie bariery. Pamiętam, że współpraca z nim była po prostu sympatyczna. Zawsze otwarty na sugestie. Sam też miał konkretną wizję tego, co chce zarejestrować. Odnoszę wrażenie, że jego śpiewanie nie wynikało z potrzeby zaprezentowania wręcz operowych wariacji, ale z chęci przekazania ludziom kilku jego zdaniem istotnych wartości. Taki swoisty telegram. Chyba wszystko się na tej pierwszej płycie udało, bo piosenki na niej zawarte są dokładnie takie, jaki był sam Boguś. Wrażliwe, melodyjne, nieagresywne, pokojowe i o miłości. Owszem, on potrafił być też szalony, ale to jego

Bogdan i Paweł Sito

„bycie szalonym" nie wpływało na jakość pracy – w każdym razie jej nie obniżało. Raczej rozładowywało napięcia. Miał doskonałe poczucie humoru. Takie naturalne. W tej Warszawie w sumie był bardzo „krakowski" – nieco zawieszony i poetycki. Daleki od zgiełku, zabiegania i pogoni za nie wiadomo czym. Dlatego ludzie go lubili.

Pierwsza płyta wylansowała wiele przebojów, z którymi Bogdan od momentu jej wydania zaczął być kojarzony. Trochę mu to pomogło w oddaleniu widma bycia niewolnikiem szlagieru „O! Ela".

O! Ela | *To koniec* | *3:53*

„To koniec”, „Kiedy już będę dobrym człowiekiem” czy „Kocham wolność” na stałe weszły do koncertowego repertuaru Chłopców z Placu Broni. Szczególnie ta ostatnia piosenka stała się nie tylko utworem niezwykle popularnym, ale i ważnym. Nie tylko dla samego autora zresztą.

KISIŃSKI: *Bogdan został kiedyś zaproszony do zakładu karnego, by zagrać koncert przed więźniami. Zastanawialiśmy się, czy zagrać „Wolność”, bo w końcu to miejsce niezbyt kojarzone z tym akurat wyrazem. Koniec końców Bogdan zaśpiewał: „Wolność kocham i rozumiem, wolności oddać nie umiem”. W oczach osadzonych za różne wyroki, bądź co bądź ludzi z trudnymi charakterami, pojawiły się łzy… Choć niektórzy bali się wręcz zamieszek.*

Po latach utwór „Kocham wolność” stał się też jednym ze sztandarów w walce o swobodę myśli i słowa na Białorusi. To właśnie tę piosenkę zaśpiewał w 2006 roku podczas koncertu „Solidarni z Białorusią” na placu Zamkowym w Warszawie białoruski artysta Aleksander Kulinkovic. Przybrała ona wtedy tytuł „Kachaju Svabodu”.

Piosenka „Kiedy już będę dobrym człowiekiem” również na stałe weszła do kanonu przebojów polskiego rocka. Jej przesłanie było nie mniej ważne…

– Miałem w swoim życiu taki moment, kiedy czułem się niesamowicie zmaltretowany. Działo się wokół mnie wiele rzeczy, nad którymi nie panowałem, które mnie wykańczały – mówi Robert Lubera, krakowski gitarzysta. – Po raz kolejny nie mogłem sobie poradzić. Mówiąc krótko – wartości, jakimi się w życiu kierowałem i jakie były i są dla mnie ważne, powodowały, że ktoś to wykorzystywał i robił mi krzywdę. Zastanawiałem się, dlaczego tak jest… Było to dołujące. Kolejny zakręt życiowy. Wtedy przez przypadek usłyszałem piosenkę „Kiedy już będę dobrym człowiekiem”. Ja piszę teksty i zwracam na nie uwagę. Pomyślałem, że facet śpiewa dokładnie o tym, co czuję – że została mi już tylko wiara w wyższe wartości, że ona właśnie mnie umacnia! A przecież wydawało mi się, że nic już nie mam… Ten tekst dodał mi siły, najzwyczajniej w świecie mi pomógł. Byłem już dorosłym facetem – te słowa nie padły na rozwrzeszczanego małolata, wiedziałem co nieco o świecie, ale Bogdan tą piosenką otworzył mi na nowo oczy. Kiedy się z Bogdanem poznałem, powiedziałem mu o tym.

O! Ela | Kiedy już będę dobrym człowiekiem | 3:36

Pierwsza płyta z pewnością ukazała Chłopców z Placu Broni w pełnej krasie i zapoczątkowała wieloletnią fonograficzną podróż zespołu drogą, której Bogdan Łyszkiewicz pozostawał wierny. Manifest, który spisał kilka lat temu, realizował konsekwentnie.

– Kompletnie nie zwracał uwagi na to, co działo się na rynku – opowiada Paweł Walczak. – Nie patrzył na modę. Nie interesowało go, co jest na listach przebojów, co się dobrze sprzedaje, a co nie. Jego naturalna wrażliwość nie pozwalała mu wykonywać publicznie czegoś innego niż to, co grało mu w sercu. Takie podejście cechuje prawdziwych artystów. Boguś takim był bez dwóch zdań. Nie zwracał też uwagi na pieniądze. Czasami musiałem mu oznajmić: Boguś, niestety dzisiaj nie ma nic z grania do podziału. On na to: Trudno. Grunt, że ludzie dobrze się bawili. Choć potrafił też mocno stawiać na swoim, to nie robił tego w sposób konfliktowy. Nie był apodyktycznym facetem.

Widać przynosiło to skutek, bo trzeba zaznaczyć, że przez kilkanaście lat swojej kariery Bogdan nagrał w sumie trzynaście utworów, które znalazły się na samej tylko liście przebojów Programu Trzeciego Polskiego Radia. Dwa z nich: „O! Ela” i „Kocham Cię” zdobywały pierwsze miejsca. Pozostałe zwykle mieściły się w pierwszej trzydziestce (rywalizując z największymi przebojami

światowych gwiazd), a spora ich część lądowała w pierwszej dziesiątce. Te i wiele innych sukcesów osiągnął nie goniąc za sławą i pieniędzmi. To wszystko przyszło z czasem…

Wróćmy do roku 1991. Po wydaniu debiutanckiej płyty i po dobrych recenzjach, jakie zebrała, pojawiło się coraz więcej propozycji koncertowych. Z „Chłopcami" Bogdan podróżował po całym kraju.

Tak wspomina te czasy Paweł Walczak: – Jeździliśmy starą, zdezelowaną nyską, która na dodatek miała dziurawą chłodnicę. Ciągle dolewaliśmy wody na trasie. To były wspaniałe czasy. Dobrze się wszyscy ze sobą czuliśmy. Koncerty były świetnie przyjmowane, a to cieszyło nas najbardziej. Nie zapomnę koncertu w Opolu, kiedy Bogdan, śpiewając „Nasz nowy hymn", podniósł całą zebraną w amfiteatrze widownię na baczność: „Teraz proszę o powstanie, będzie hymn!". Ludzie myśleli, że odegra hymn narodowy. Wiadomo, początek lat dziewięćdziesiątych, kiedy wiał wiatr przemian. Wszystko było możliwe, więc wszyscy też ustawili się jak na uroczystości państwowej. A Boguś zaintonował: „My Polacy, my kochamy życie, ale tylko w stanie wskazującym na spożycie". Tego samego dnia, żeby było śmieszniej, wystąpiliśmy jeszcze w Częstochowie. Do Opola przyjechaliśmy na pół godziny przed koncertem. Organizatorzy włosy rwali – nie było wtedy przecież komórek. Dzień wyglądał tak, że rano zrobiliśmy próbę w amfiteatrze, następnie droga do Częstochowy, a potem znów na festiwal. Wszystko dziurawą nyską… Zjeździliśmy nią kawał Polski.

Po koncertach hotelowe balangi do białego rana. Ich uczestnicy wspominają, że Bogdan nigdy nie był typem wodzireja. Nie był nim wtedy i nie był też w latach późniejszych. Owszem, lubił alkohol, ale raczej z nim nie przesadzał. Jak wspominają jego znajomi – wolał wypić mniej, ale markowego trunku, niż morze wódki.

– To były jeszcze mało kolorowe lata, a hotel to był taki azyl od tego szarego otoczenia. Można było sobie fajnie zjeść, dostać drinka. Czasem koncert był tylko pretekstem do wspólnych hotelowych spotkań. Taka biesiada. Bogdan nie pił wtedy dużo alkoholu. Bardziej tak na humor. Często rozmawialiśmy do późnych godzin nocnych. Był wesołym człowiekiem, który rozbawiał nas w tych smutnych czasach – wspomina Jarek Kisiński.

ANDRZEJ „KOBRA" KRAIŃSKI: *Potrafił się bawić. Ja w każdym razie zapamiętałem go jako człowieka, który lubił się śmiać i lubił towarzystwo. Właściwie to uśmiech nie znikał z jego twarzy. I to nie był uśmiech sztucznie dolepiony, ale taki szczery. Nie robił zadym, nie był chamski. Co do alkoholu, to chyba go lubił. Kilka razy widziałem, jak wyraźnie świeciły mu się oczy. Nie dostawał jednak małpiego rozumu. Dowcipkował. Kiedyś przyjechał do nas do Zakopanego, gdzie akurat graliśmy z Kobranocką koncert. Nocowaliśmy w jakiejś chacie góralskiej. Tam podczas zakrapianej imprezy znaleźliśmy typowy góralski kapelusz. Każdy z nas go przymierzył, aż w końcu przyszedł czas na Bogusia. Wiadomo, że miał bardzo charakterystyczną twarz, a już w kapeluszu to wyglądał tak, że można było płakać ze śmiechu. I płakaliśmy… On też. Niejeden byłby w stanie dać po mordzie za takie wyśmiewanie się, ale Boguś miał do tego wszystkiego zdrowy dystans.*

– W jednym z hoteli jakimś cudem wyciągnął wannę na korytarz i tam w niej siedział. Jak go w niej zobaczyłem, zbaraniałem – mówi Jacek Dyląg.

– Kiedyś wylądowaliśmy wspólnie na jakiejś prywatce – wspomina Wojtek Klich, gitarzysta grupy Ziyo. – Wszystko było fajnie, ale w którymś momencie Boguś zniknął. Znaleźliśmy go po jakimś

czasie zaszytego w odległym pomieszczeniu. Okazało się, że usiadł sobie w samotni z gitarą i pogrywał cicho jakieś piosenki. Nie wiem, może akurat nie było tam ładnych kobiet, może ludzie jacyś nie za bardzo… W każdym razie taki znalazł sposób na spędzenie wieczoru.

– Wszyscy wiedzieliśmy jedno – stwierdza Maciek Maleńczuk. – Boguś już na początku naszej znajomości nie był facetem, którego w towarzystwie częstowało się mocnymi dragami. Co najwyżej jointem. Gdy dochodziło do poważniejszych imprez, to wszyscy porozumiewawczo kiwali: nie dajemy mu, bo go wykończymy. Po prostu nie robiliśmy mu takich rzeczy, jakie robiliśmy sobie. On też się do tego nie spieszył. Wolał wziąć gitarę i pobrzdąkać. Nie miałby zresztą do tego zdrowia. On zawsze był grzecznym i przez to naprawdę fajnym i lubianym chłopakiem.

– Na trasach przewróciliśmy wspólnie niejeden kieliszek. Lubił grać koncerty i ja zawsze widziałem w nim takiego kowboja, wędrowca, który przemierza nasz dziki kraj wzdłuż i wszerz. Potrafił na imprezie po długim koncercie wyjąć „pudło" z futerału i śpiewać jeszcze przez dwie godziny, popijając drineczka. Na scenie też nie był typowo rockowy, agresywny. Z tego powodu nie lubił karkołomnych solówek, za które „gonił" swoich gitarzystów – dodaje Jacek Jędrzejak, znany bardziej jako Dżej Dżej z zespołu Big Cyc.

Przytoczona aluzja do karkołomnych solówek kierowana była głównie do Jacka Królika…

– Oj tak! Bogdan, choć darzył mnie zaufaniem w kwestiach muzycznych, to jednocześnie bywał poirytowany moimi ambicjami i koncepcją gry. Rzeczywiście w jakimś sensie na tamtym etapie nie zawsze spełniałem jego oczekiwania co do gry gitarzysty solowego. To był okres ekspansji i olbrzymiego rozwoju gitary elektrycznej. Swoje najważniejsze płyty nagrywali Vai, Satriani, a ja, będąc młodym, mocno ambitnym gitarzystą, konsekwentnie dryfowałem w stronę „shredderowskiego" grania. Aranżacje beatlesowsko-dylanowskie, na jakich opierał się Bogdan, wydawały mi się pewnym minimalizmem artystycznym. Cóż, potrzebowałem trochę czasu, by zrozumieć, że Bogdanowi w głowie bardziej grają Stonesi i Keith niż Eddie czy Yngwie – podsumowuje Jacek Królik.

Podczas jednego z hotelowych posiedzeń (jeszcze w końcu lat osiemdziesiątych) zrodziła się myśl powołania do życia projektu muzycznego „The Nos", z którym Bogdan zagrał dwa koncerty (między innymi w ramach Letniej Zadymy w Środku Zimy Jurka Owsiaka – w warszawskiej „Stodole") i zarejestrował materiał w Rozgłośni Harcerskiej.

JAREK KISIŃSKI: *Śmiali się z naszym perkusistą „Ciapkiem": Ale mamy fajne nosy! Ktoś rzucił hasło – no to załóżmy na tę okazję wspólnie kapelę. A jak się nazwiemy? „The Nos"! Zrobiliśmy to dość szybko. Nawet zachowały się nagrania tego dziwnego składu, bo na basie grała Ewa. Podczas sesji w Rozgłośni Harcerskiej zjawił się też Tomek Lipiński, którego Bogdan wciągnął do studia wprost z korytarza. Ten, widząc co się dzieje, popędził do kiosku i kupił enerdowską harmonijkę ustną, na której zagrał.*

– To był pomysł Pawła Sito – wspomina Ewa Langer – który to wymyślił sobie, że powinnam grać na basie w Chłopcach z Placu Broni. Bogdan tego nie chciał. Jak to dziewczyna będzie grać w „Chłopcach"? Nie pasowało mu to. Paweł mocno forsował ten pomysł. Nie wiem nawet dlaczego, bo przecież wtedy jeszcze nie miałam nic wspólnego z tym instrumentem. Jak i z żadnym innym właściwie. Jarek przed drzwiami studia pokazywał mi, gdzie mam nacisnąć palcem strunę i w którym momencie, by wydobyć z niej akord. Jakoś nagraliśmy te kilka piosenek, ale było to szalone.

Warto podkreślić, że jeden z utworów z tej niecodziennej sesji trafił do notowania Listy Przebojów Programu Trzeciego Polskiego Radia, a tekst Jarka Kisińskiego „Toczę życie szalone, kocham wolność i szukam jej w sobie" szybko stał się mottem wielu młodych ludzi.

Wracając jeszcze do Bogdana i jego charakterystycznego nosa – ciekawa historia z nim związana zachowała się w pamięci Anji Orthodox, wokalistki zespołu Closterkeller.

– Przede wszystkim z Bogdanem i jego nosem kojarzy mi się jedna, ale za to bardzo huczna bydgoska impreza. Zakwaterowano nas w jednym hotelu, obok którego znajdował się klub, gdzie organizatorzy zaprosili wszystkich artystów na tak zwane dzisiaj „after party". Balowaliśmy ostro. Wtedy jedyny raz widziałam Bogdana pod wpływem alkoholu. W nim się włączyła taka energia, gadulstwo jakieś niewyobrażalne, że momentami było to nie do wytrzymania. Zaczepiał ludzi, śmiał się, opowiadał jakieś historie… Po jakimś czasie zaczął dość poważnie irytować tym ochroniarzy. Coś zaczęło między nimi iskrzyć, bo ostro go upominali, by się uspokoił. Skończyło się kłótnią. Boguś zaczął krzyczeć: „Co, nie odpowiada wam mój nos żydowski?!". Jak złapał jazdę na ten „żydowski nos", to potem się zatripował i gadał bez przerwy tylko o tym swoim nosie. Odciągnęłam go do stolika i mówię mu, że strasznie poważnie i niepotrzebnie w ogóle się z tym nosem tak uwziął… No, ale nic – najważniejsze, że posadziłam go wreszcie na miejscu. Wcześniej krążył jak elektron. Nie minęła jednak chwila, a on znów u ochroniarzy i wykłóca się o ten nos. Krzyczał na nich: „Wiem, że wam mój nos nie pasuje! Ale taki mam i będę miał! Bo taki jest i jestem z niego dumny!". W końcu ochroniarze przyszli do mnie z sugestią, by położyć Bogdana spać, bo nie wiadomo, jak to się skończy. Musiałam

Podziemia dworca PKP. Kraków

podejść do niego zupełnie jak do dziecka: Boguś, idziemy już spać, wszyscy idą. Zobacz, panowie też… Odparł: Tak, Ania, ja muszę położyć się spać. O dziwo, dał się nawet zaprowadzić do pokoju. Położyłam go na łóżko, przykryłam kołdrą, zapytałam: Boguś będzie już spał? – Tak, Boguś będzie już spał, Boguś idzie spać – odparł. Faktycznie po chwili usnął. No to ja tup, tup, tup – z powrotem do klubu. Nie minęło pół godziny, a tu nagle wybucha jakieś zamieszanie przy drzwiach, ryk dziki: „Nooos żydowski wam się nie podoba?!". Rozpętało się. Nie bez trudu ponownie załagodziłam sytuację i znów zaprowadziłam go do pokoju. Po drodze zaczął wyskakiwać jeszcze z tym nosem do portiera, starszego pana, który na dobre się nas wystraszył. Tym bardziej że Boguś mu zakomunikował, iż co prawda jest pokojowo nastawionym do świata beatlesem, ale w obronie swojego nosa to on jest gotów „nawet zabić". Po chwili ta sama akcja, czyli usypianie Bogusia. Kiedy myślałam, że to wreszcie koniec, on

Z Jarkiem Kisińskim

znów do nas wrócił. Wtedy ci ochroniarze dali mu już mocnego klapsa. Przyleciał do stolika ze łzami w oczach, żaląc się, bo „oni nie rozumieją, że można mieć taki nos…". W obawie, żeby nie dostał większego łomotu, solidarnie wyszliśmy z lokalu. Nie chcieliśmy wracać do hotelu, więc poszliśmy jeszcze do parku. Boguś jakoś w otoczeniu przyrody się uspokoił.

Od momentu wydania pierwszej płyty Bogdan Łyszkiewicz żył tylko z grania i pisania muzyki. Zresztą wcześniej też niczym innym się nie zajmował… Wspominał o tym chociażby w wywiadzie dla magazynu „Popcorn".

– Jeden jedyny raz pracowałem fizycznie. Miałem wtedy 14 lat. Jednak w obawie o moje dłonie szybko zrezygnowałem – nie trwało to dłużej niż trzy godziny. Zatrudniłem się do… wyrobu pustaków, a krzepą fizyczną nie mogłem się wtedy pochwalić. Kiedy się zorientowałem, w co się wpakowałem, przy pierwszej nadarzającej się okazji po prostu zwiałem. Do domu podwiozła mnie autostopem z tej nieszczęsnej budowy piękna blondynka w sportowym samochodzie. Tak się skończyła moja pierwsza i mam nadzieję ostatnia przygoda z pracą fizyczną. Nigdy więcej tego już nie robiłem.

– To prawda – wyjątkowo dbał o dłonie. Swego czasu głośno się dziwiliśmy, że facet, a nawet gwoździa nie wbije – potwierdza Piotr Górka. – Wytłumaczył nam dyplomatycznie, że gdyby uszkodził sobie palce, to nie mógłby grać na klarnecie czy gitarze, a to jest jego zawód i z tego żyje.

Anna Łyszkiewicz przypomina sobie, że za czasów, kiedy rodzina mieszkała na Karmelickiej, Boguś ochoczo biegał przed świętami Bożego Narodzenia na rynek, gdzie wyniesionym z domu sznurkiem obwiązywał choinki, by ludzie mogli je donieść do domów. Tak zarabiał w tym czasie na swoje potrzeby. Innym razem z kolei, podczas wakacji, prowadził kolonijny biznes.

– Odwiedziłam go na miejscu i ze zdziwieniem zauważyłam, że ma więcej pieniędzy niż wtedy, kiedy wyjeżdżał. Było to dla mnie co najmniej dziwne, bo wcześniej zwykle musiałam mu je dosyłać. Tak jak kiedyś, gdy na obozie harcerskim pokupował za wszystko, co miał, plecaki od radzieckich żołnierzy. Wtedy jednak okazało się, że koledzy mu płacili za tatuaże, które im malował pisakami. Miał talent plastyczny, to go wykorzystywał. Zbierał po złotówce, zdaje się, za takie dzieło.

Ja po prostu kocham gościa…

Pierwszą płytą Bogdan zapoczątkował równocześnie serię podziękowań, jaką od tej pory zwykł zamieszczać na załączonych do wydawnictw książeczkach. Przeważnie oddawał hołd Bogu i rodzinie, Krakowowi, pozdrawiał znajomych, przyjaciół, realizatorów dźwięku, a także swoje aktualne dziewczyny. Dziękował między innymi Ernestowi Hemingwayowi, wszystkim księgom natchnionym, rodom królewskim (Piastom i Jagiellonom), aniołowi stróżowi, Juliuszowi Słowackiemu, uroczym dziewczynom z programu telewizyjnego „Przytul mnie", Gombrowiczowi, Nietzschemu i wiśniowemu Camaro – rocznik 94. Na płycie „Uśmiechnij się" dziękował też Józefowi Piłsudskiemu. W rozmowie z magazynem „Tylko Rock" tak tłumaczył ten swój niezwykły jak na muzyka rockowego wybór: – Bo jestem po prostu patriotą. Przy całym tym moim kosmopolitycznym uwielbieniu dla świata. Wychowałem się w Polsce, w domu wiszą portrety Piłsudskiego, ojciec od rana do wieczora mówi o Katyniu… Jestem emocjonalnie związany z historią Polski, tą, którą znam.

Bogdan zwykł również dziękować artystom, których twórczością się inspirował i sam na co dzień słuchał. Na pierwszej płycie wymienił Johna Lennona, Rolling Stones, Boba Dylana oraz Lou Reeda. Na kolejnych dodawał do tej listy między innymi Davida Bowiego czy Oasis. Wracając zapewne wspomnieniami do lat, które spędził w szkole muzycznej – dziękował również Mozartowi i Beethovenowi. Na przywołanym już krążku „Uśmiechnij się" Bogdan wspomniał Henryka Mikołaja Góreckiego.

– Inspiruje mnie swoją wielkością i swoim dziełem. Jako człowiek, który wytrwał, który odniósł sukces mając sześćdziesiąt kilka lat – stwierdził w wywiadzie udzielonym po ukazaniu się krążka.

Żeby zrozumieć dobrze twórczość Łyszkiewicza – jej klimat, przekaz, trzeba poznać targające nim fascynacje i inspiracje, o których zresztą zawsze chętnie opowiadał. Przytoczmy tutaj rozmowę, którą z Bogdanem przeprowadził 14 kwietnia 1996 roku dla „Tygodnika Siedleckiego" Istvan Grabowski.

– Wszystkie moje płyty są w jakimś stopniu zainspirowane dorobkiem genialnej czwórki z Liverpoolu. Mogę ich słuchać zawsze i wszędzie, bez obawy o znudzenie. Nigdy nie odważyłem się jednak zaśpiewać na estradzie piosenki Beatlesów, bo bym tego nie zrobił dobrze. Jestem z zawodu klarnecistą i już z tego powodu mam dosyć tak zwanego zawodowego grania muzyki innych ludzi. Gdy zająłem się śpiewaniem i graniem na gitarze – grałem swoje. (…) Lennon był postacią wybitną, motorem rocka. Miał w sobie nie tylko bogactwo pomysłów, ale też ogromną wolę zamieniania ich w konkretne dźwięki. Lennon to mój stuprocentowy idol, którego naśladuję jak tylko się da, ale nie na zasadzie małpy. Ja po prostu kocham gościa i nie mogę się od tego uwolnić. W jego śmierć nie uwierzyłem. Nie uważam się jednak, jak niektórzy mi przypisują, za wcielenie Lennona.

JACEK DYLĄG: *Cokolwiek Bogdan by mówił, to fakt jest faktem, że miał totalną wręcz zakrętkę na punkcie Beatlesów, o Lennonie nie wspominając. Sam pamiętam, jak schodziliśmy się często do jego mieszkania i godzinami słuchaliśmy białego*

albumu czy „Sierżanta Pieprza”. Miał w pokoju pianino, więc jednocześnie podgrywał sobie te utwory. Był zaprzysięgłym fanem Beatlesów. Jak się zresztą wsłuchać w utwory, które sam pisał, to zdecydowanie pobrzmiewają tam harmonie Lennona i McCartneya. To było najbliższe jego wrażliwości muzycznej, a Bogdan, jak już coś czuł, to nie potrafił tego ukryć. Od kiedy poznał Lennona, już nic nie było dla niego takie jak przedtem.

Warto zaznaczyć, że w pewnym momencie Bogdana zaczęły drażnić wieczne porównania do słynnego Beatlesa. Wspominał o tym Paweł Sito w materiale opublikowanym w „Machinie”.

– Miał niedosyt, gdy ktoś widział w nim tylko kopię Johna Lennona, a nie widział jego osobowości. Uważam zresztą, że zarzuty o wtórność były mocno niesprawiedliwe: on nie „robił się” na drugiego Lennona. Bóg naprawdę dał mu taki wygląd i… okularki.

EWA LANGER: *Z początku bardzo chciał być porównywany do Lennona. Zresztą, jak go poznałam, to od razu sprawiał wrażenie totalnie szajbniętego na punkcie Beatlesów. Wszystkie ich piosenki grał sobie na pianinie i gitarze. Jego wczesny image był wynikiem wielu przemyśleń. Okulary, fryzura… Po latach mu to przeszkadzało. Bo później to on już był Bogdanem Łyszkiewiczem. Świadomym artystą.*

PIOTR METZ: *Osobiście nie lubię takich przypinek w stylu – o, „polski Lennon”. On chyba nie chciał nim być na zasadzie ślepego odwzorowywania swojego idola. Że był do niego podobny i śpiewał jak Lennon: o wolności i miłości – to fakt, ale przekonany jestem, że wszystko, co Bogdan robił, przede wszystkim na kanwie muzycznej, wynikało z szacunku dla Beatlesa i jego twórczości, a nie z kalki. To ludzie przypięli mu tę łatkę. Bogdan był jednak skromnym człowiekiem i wydaje mi się, że miał w sobie i tę pokorę, by samemu nie nazywać się „polskim Lennonem”.*

PIOTR GÓRKA: *Prawdą jest, że do pewnego czasu jedyne, co znał z muzyki rockowej, to byli właśnie Beatlesi. Mówiliśmy mu: jesteś Boguś jakiś ograniczony. Donosiliśmy mu więc też inne płyty, żeby się osłuchał. Zappę, Neila Younga, Stonesów… Był jednak ortodoksyjny. Przesłuchał, podziękował, ale zawsze wygrywali Beatlesi. Nie było na to rady.*

– Kocham Beatlesów. To pierwszy zespół rockowy, jaki w życiu usłyszałem. Oni dostarczyli mi pierwszych przeżyć. Dzięki ich muzyce były one tak silne, że będę im wierny zawsze. Nie oznacza to jednak zamknięcia się w wąskiej formule. Każdy, kto zna Beatlesów, wie, że umożliwiają rozwój we wszystkich gatunkach w ramach własnego stylu. Kocham ballady, bo kocham lata sześćdziesiąte, okres najwspanialszych piosenek o miłości. Ze współczesnych twórców najbardziej cenię Lenny’ego Kravitza, przede wszystkim za głęboki ukłon w stronę tradycji.

W wypowiedzi dla magazynu „Tylko Rock” właśnie Kravitza określił jako zlepek tego, czego w muzyce poszukuje.

– Tu jest wszystko. Nawet Prince. Nawet Lennon. Powiem tak: to jest bardzo estetyczny produkt wykonany przez wrażliwego artystę. Podobno nikogo do siebie nie dopuszcza w studiu, sam nagrywa wszystkie ślady… To cechuje wielu młodych muzyków: koniecznie chcą zrobić coś po swojemu, choćby nawet była to kwestia niuansów.

Jeszcze w latach osiemdziesiątych Bogdan odkrył swojego kolejnego guru – Lou Reeda. Można powiedzieć, że lubił artystów związanych z Nowym Jorkiem. W ich twórczości upatrywał tych samych mocy,

O! Ela | *The Beatles* | *3:24*

które właśnie jego pchnęły do zostania muzykiem. Cenił artystów, którzy tak jak on w prosty sposób potrafią przekazać słuchaczowi potężny bagaż emocji. Tych, którzy nie ścigali się milionem dźwięków po gitarowych gryfach, tych, którzy właśnie uderzając w struny, snuli najprawdziwsze życiowe historie. Przecież to opisywanie życia i jego wszelkich aspektów najbardziej interesowało Bogdana. Tak sam tworzył i to też chciał słyszeć u innych.

– Lou Reed to jest taki zawodnik, którego mogę słuchać zawsze, który pozwala przetrwać. Myślę nawet, że jest dla mnie ważniejszy niż Dylan. Nie chcę mówić o intelektualistach w rock'n'rollu – nie bardzo to lubię, ale jest coś takiego jak pewien rodzaj inteligencji w muzyce. Ja wybieram proste rozwiązania, bo są najmądrzejsze. Moja osobowość wyraża się w takich prostych piosenkach.

Pewne zaskoczenie może wywołać wypowiedź, jakiej Bogdan udzielił dla magazynu „Tylko Rock":

– Kiedy zdaje ci się, że już masz dość wszystkiego, kiedy już nawet znudzą się Beatlesi – wtedy pojawia się Prince i gra taką piosenkę jak „Purple Rain"… Piosenkę, która wyciska łzy. I tyle. Dlatego go lubię. I na pewno jest to fascynująca osobowość. A zupełnie nie docierają do mnie argumenty o jego superprodukcjach. To mnie nie interesuje. Interesuje mnie ta wartość podstawowa, istota rzeczy. Jeśli ktoś popisuje się techniką nagraniową, to znaczy, że ma pieniądze, aby dużo siedzieć w studiu. Jak Beatlesi. Trzeba mieć trochę szczęścia w życiu, żeby było człowieka na to stać.

Inspiracje Bogdana Łyszkiewicza świetnie widać w jego pokoju w krakowskim mieszkaniu (w pokoju rodziców też, bo kiedyś wymalował im farbami na meblościance scenkę z koncertu The Beatles). Do dzisiaj wśród jego prywatnych płyt, jakie porozmieszczał na półkach, zauważamy między innymi całe dyskografie Beatlesów, solowe płyty Johna Lennona i George'a Harrisona, box dokumentujący twórczość Lou Reeda, płyty Oasis, Toma Petty i Maanamu. Na pianinie stoją za to misternie poukładane płyty analogowe z bajkami, na których się wychował – jest Brzechwa, są inne klasyki, a wśród nich znajdujemy singiel The Rolling Stones „Miss You", a także „Kiss Kiss" Johna i Yoko. Przed remontem pokoju, a Bogdan takowego dokonał w roku 1999, na ścianach wisiały jeszcze ponaklejane w młodości zdjęcia i plakaty Beatlesów.

Anna Łyszkiewicz ściąga z półki Pismo Święte, które Bogdan zawsze woził ze sobą w trasy i podróże. Nietrudno byłoby ustalić jego właściciela, gdyż pomiędzy stronami odnajdujemy wycięte ze starych gazet fotografie Johna, Ringo, Paula i George'a. W pewien czerwcowy dzień 2000 roku akurat wyjątkowo nie miał go przy sobie…

Czemu pan nic ostatnio nie nagrywa?

– Czemu pan nic ostatnio nie nagrywa?
– Bo nie mam nic do powiedzenia, a od bezsensu lepsza jest cisza.
(Bogdan w rozmowie z dziennikarzem)

Bogdan nie rozpieszczał swoich fanów i nie wydawał swoich płyt jedna po drugiej. Mało tego – wiele piosenek na następujących po sobie albumach po prostu się powtarza. Owszem, w przearanżowanych wersjach, zagranych nieco inaczej czy też inaczej zaśpiewanych, ale jednak. Bogdan miał dar pisania piosenek prostych i chwytliwych, takich „do radia", ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Przebojowych po prostu. Nigdy nie gonił przecież za

nowymi trendami, a te w latach, kiedy tworzył, zmieniały się jak w kalejdoskopie. Proces powstawania nowych piosenek Bogdan często zmuszany był wyjaśniać w wywiadach.

– Rzadko tworzę iluzję. Noszę ze sobą kawałek kartki, pióro i staram się na gorąco zapisywać dobre pomysły. Potem wracam do domu i pracuję – czasami od razu, a czasem dopiero po kilku tygodniach. Dlatego też nie piszę dużo. Może nawet za mało. Mógłbym pisać więcej, ale nie chcę. Mógłbym pisać kilka piosenek, ale piszę jedną raz na jakiś czas – wtedy, kiedy czuję, że właśnie teraz musi powstać. Muszę zdobyć się na odwagę, by przerwać ciszę, by być ciekawszym niż cisza. Wtedy siadam i piszę. Kiedy biorę gitarę do ręki, to najlepszą pozycją do układania piosenek jest dla mnie pozycja leżąca, najlepiej nocą ze wzrokiem i duszą w gwiazdach. Trudno wtedy ułożyć coś agresywnego. Podobnie z fortepianem, który jest jak delikatna kochanka i nie sposób do niej podejść z szybkimi i ostrymi zamiarami. To musi być delikatne, nastrojowe szukanie kontaktu. Kocham ballady, bo kocham lata sześćdziesiąte – okres najwspanialszych piosenek o miłości.

O tym, że noc jest dla niego czasem niezwykłym, wspominał często.

– Noc to jest świetna pora w ogóle. Można myśleć… Noc jest cicha przede wszystkim. W nocy czuje się coś, co jest w ciągu dnia zgubione gdzieś, zadeptane, zagłuszone tramwajami i samochodami. Wtedy myśli same przychodzą. Jest to taki czas, kiedy zaczyna się podsumowywać najpierw dzień, kilka godzin wstecz, może całe życie. Nie boję się nocy. Zdecydowanie noc sprzyja mi w takim samym stopniu jak dzień. To niby pora na sen, ale można czasem nie położyć się spać. Można pomyśleć, przeczytać coś, można zapomnieć w ogóle o rzeczywistości, w którą angażuje nas dzień. Czasami jestem sam, czasami z kimś. Różnie w nocy bywa. Obojętnie jednak, czy jesteś sam, czy z kimś, czy jest więcej ludzi, to zawsze ucieka się do tego świata, który jest światem marzeń. Idealnego świata, w którym chcielibyśmy żyć.

BOGDAN DLA „TYLKO ROCKA”: *Piszę tylko wtedy, kiedy mam ochotę, albo gdy czuję, że mam coś do powiedzenia. Mogę robić rzeczy na zamówienie, ale nie chcę… Mam swoją jazdę, swój lot, jestem konsekwentny. Mam po prostu podejście amatora – nie jestem stuprocentowym, zawodowym kompozytorem. Piosenki pojawiają się w moim życiu – nie są robione na siłę. Pewnego dnia pojawia się jedno zdanie. Bywa, że na następne czekam trzy miesiące.*

KORA: *To wszystko powodowało, że jego piosenki miały potencjał „hitu”. Miały też, co ważne, wiarygodne teksty. Pasowało to do niego. Boguś opisywał świat, jakim go odczuwał. Nie było większego rozdźwięku pomiędzy tym, jaki on był na co dzień, a tym, o czym śpiewał. To nie było zresztą obliczone na efekt. Był opowiadaczem. Lubił ten sposób ekspresji.*

MUNIEK STASZCZYK: *Miał talent przede wszystkim do melodii. Niektórzy poważni w swoim mniemaniu muzycy śmiali się z tego – że to takie proste i w ogóle… Po latach wiemy, że w tym tkwiła moc. Chłopcy z Placu Broni, Sztywny Pal Azji… – to kawał historii naszego rocka. Nikt tego nie zmieni. Oni na to sumiennie zapracowali i byli w tym doskonali.*

– Bogdan był taki, jakie były jego piosenki. Sprzedawał w nich siebie w dobrym tego słowa znaczeniu. Jeżeli śpiewał o wolności, to znaczyło, że jest wolnym człowiekiem lub tej wolności szuka wokół siebie. Jeżeli śpiewał o miłości, to znaczyło, że albo ta miłość

go dotknęła, albo właśnie jej bardzo pragnie. Nie było w tym fikcji – dodaje Jarek Kisiński.

– To jest trochę tak jak z wędkowaniem – zauważał sam „chłopiec z Placu Broni". – Piosenki sobie gdzieś fruwają w powietrzu i po prostu trzeba umieć je złapać. Trudno tu mówić o własności, na zasadzie, że to jest moje i już. Melodia jest darem. Żywym, takim wręcz materialnym. I ja chyba go otrzymałem, po prostu nim dysponuję. I pragnę wykorzystywać to z pożytkiem nie tylko dla siebie. Choć powiem ci, że ja właściwie nie zastanawiam się nad tym, czy to przychodzi mi łatwo. Staram się, żeby piosenki były przemyślane, a nie przekombinowane. Mam nad tym coraz większą kontrolę. Po prostu zdobyłem już pewne doświadczenie. Dlatego ta lekkość również z tego wynika. A ja dodatkowo mam ten komfort, że zawsze jestem o jedną płytę do przodu. To znaczy mam taki zapas piosenek. Może nie zawsze gotowych, jeszcze bez aranżacji i ostatecznej formy, ale już mających pewien kształt.

Niezbyt częste powstawanie nowych utworów nie było więc niemocą twórczą. Bogdan do pisania nie zasiadał z pobudek ekonomicznych, nie wypełniał sztucznie kontraktów (ku rozpaczy firm wydawniczych, z którymi współpracował). Owszem, jego notesy i dzienniki, które w niektórych okresach swego życia prowadził nawet dość regularnie, pełne są szkiców tekstów, rymów, zdań – ale ostateczny szlif otrzymywały, kiedy uznał, że napisane słowa dobrze oddają to, co czuje, i to, co chce przekazać. Tak jak wspomniał – nie pisał na zamówienie. Choć kiedyś, w połowie lat dziewięćdziesiątych, o mało co jedna z piosenek Chłopców z Placu Broni nie trafiła do reklamy pewnej marki past do zębów. Oczywiście nie była napisana „pod klienta". Po prostu ktoś w koncernie sam stwierdził, że pasuje do strategii marketingowej produktu.

W piosenkach Bogdan konsekwentnie omijał niektóre tematy.

– Unikam brudu i przemocy. Nie interesuje mnie turpizm. Jednak nie unikam tego na zasadzie ślepoty. Po prostu nie chcę ludzi ranić, kaleczyć. Chcę pokazywać im, że są piękne wartości, do których warto dążyć. Chociaż czasem napiszę tekst „z innej bajki". Tego nie sposób uniknąć. Ostatecznie gniew jako reakcja na brutalność świata jest stanem zrozumiałym, wręcz naturalnym. Jednak staram się panować nad sobą. Generalnie moje piosenki są bardzo spokojne. Czasem mam wrażenie, że aż za bardzo. Można je nawet odbierać jako swoistą terapię – tłumaczył w 1999 roku na łamach „Tylko Rocka".

– Są artyści, którzy nie muszą grać wydumanych solówek gitarowych, czy śpiewać skomplikowanych technicznie utworów, by stworzyć wokół swojej osoby mit i wzbudzać powszechny szacunek. Bogdan był tego świetnym przykładem. To samo możemy powiedzieć chociażby o Dylanie. Boguś był osobą, która miała wiele pozytywnych myśli do przekazania i poprzez twórczość Chłopców z Placu Broni doskonale mu się to udało zrealizować – uważa Krzysztof Jaworski, gitarzysta Harlemu.

– Mam takie wrażenie, że w zasadzie bardziej niż muzykiem był poetą. Człowiekiem o szalonej duszy. To dar. Tego nie da się nauczyć tak, jak uczy się na przykład techniki gry na instrumencie. Masz to albo nie… On akurat miał – dodaje Leszek Winder.

To fakt, że dla znawców rocka, dla których biblią tej muzyki jest twórczość spod znaku Led Zeppelin czy Pink Floyd, Łyszkiewicz jawił się jako autor prostych – niekiedy może i zbyt prostych – piosenek o miłości. Z czasem zaczęto jego twórczość nazywać „rockiem harcerskim". Trochę ze względu na rodowód Rozgłośni Harcerskiej, a trochę właśnie ze względu na prostotę pierwszych kompozycji.

Paweł Sito: – Im bardziej wyszydzali nas dziennikarze, na przykład Rogowiecki czy Brzozowicz, tym bardziej mnie to utwierdzało w przekonaniu, że to, co promujemy, jest fajne i ważne. Jeżeli

skupia na sobie jakieś emocje, także negatywne – to okay. Znaczy, że ma zdolność docierania do ludzi. Osobiście miałem wiele satysfakcji z faktu, że Chłopcom z Placu Broni, a wcześniej Sztywnemu Palowi Azji się wiodło. Trzeba też pamiętać, że to nie były zespoły z warszawskimi rodowodami – a więc grające w tutejszych klubach, stopniowo zdobywające popularność jak Dezerter czy Kult. Oni dreptali ku popularności zupełnie innymi ścieżkami. To były „prawdziwki". Pamiętam młodego Leszka Nowaka, wokalistę „Sztywnego", z zawodu górnika dołowego… Kurczę – wielokrotnie myślałem – historie jak z lat pięćdziesiątych. Kołatały mi się w głowie wtedy scenki z dawnych kronik filmowych – „Leszek Nowak, dzielny robotnik, który po godzinach ciężkiej pracy występuje jeszcze w zespole folklorystycznym!". Tak to wyglądało… No, może Kisiński z Łyszkiewiczem byli bardziej światowi. Wiadomo – oczytani krakusi z perspektywą skończenia szkół wyższych. Fakt faktem jednak, że etykietkę „Rocka Harcerskiego" przypięto tym zespołom skutecznie…

Bogdan się nie obrażał za takie epitety. – Harcerstwo jako harcerstwo to nie jest zła rzecz. Ja nie jestem harcerzem. Czerwone Gitary, owszem, głupie teksty z początku pisali, ale w sensie muzycznym było to śmieszne i sympatyczne. Dziś to zespół paru pokoleń, bardzo popularny, życzyłbym sobie takiego powodzenia i takich zarobków jak oni. Porównanie do Czerwonych Gitar mogłoby mnie drażnić tylko w przypadku piosenek typu „Bo ty się boisz myszy", gdyż zasadniczo zabawny jest fakt, jak siwi panowie w wieku przedemerytalnym śpiewają o myszach czy piórnikach. Ja staram się nie popełniać takiego błędu, który być może jest przyczyną ich sukcesu. A ludyczność… Cóż w tym złego? Gdy zaczynałem, byłem znudzony, zmęczony smutkiem, pogardą dla życia. Przeraża mnie ten brak uśmiechu na twarzach ludzi, szczególnie

Z Jurkiem Owsiakiem

jak przestaje świecić słońce i przychodzi jesień. Moja ludyczność to walka o normalność, spontaniczność, radość życia, miłość… Nie potrafię skoncentrować się na żadnym innym temacie poza osobistymi relacjami pomiędzy ludźmi. Interesuje mnie miłość w milionach jej przejawów, odmian i olśnień. Tekst rockowy nie powinien być jak czytanie gazety, z której wylewa się morze gwałtu, przemocy i okrucieństwa – to mamy na co dzień. Niech muzyka przynosi ukojenie, relaks, inną informację po prostu. W moich piosenkach zachwiana jest jedność czasu, miejsca i akcji, gdyż są to piosenki romantyczne, tak więc swobodnie mogą wędrować w czasie. Nie dotyczą tego, ażeby Wałęsa oddał sto milionów, bo to za kilka lat przestanie być istotne. Staram się tak pisać utwory, żebym sam mógł ich słuchać mając lat sześćdziesiąt.

Jednym zdaniem ucinał zarzuty, że niektóre z jego wczesnych piosenek są banalne: – Banał jest piękny, bo da się sprawdzić w codziennym życiu – twierdził.

JERZY OWSIAK: *Bogdan przede wszystkim nie musiał niczego udowadniać. Był w stu procentach prawdziwym artystą. Kiedyś, patrząc na niego, pomyślałem: jak daleko można zajść z taką muzyką? Oj, dalekO! Na rynku istnieją mody, obowiązują trendy, a on zawsze grał swoje. Konsekwentnie i z uporem. Boguś nie wyrzucał z siebie energii rockowej, tej agresywnej, która jest często etykietą wielu „gwiazd". On sobie śpiewał o miłości. Lubił to i ludzie to lubili. Z taką osobowością nie mógł nie zrobić kariery. Nie kojarzę go z nerwem, by tracił grunt pod nogami. Nie kojarzę go też pijanego czy wulgarnego. Powtórzę to, co się o nim wielokrotnie mówi – był taki, jakie były jego piosenki.*

– Dawał ludziom niesamowicie dużo radości. Już na początku kariery, od pierwszych nagrań. Pamiętam takie momenty za sceną, w oczekiwaniu na występ. Padało pytanie: Kto teraz gra? Chłopcy z Placu Broni – ktoś odpowiadał. A to spoko… bez napięcia, wszyscy się rozluźniają. Byli normalni, bez gwiazdorki. Jeżeli coś się na scenie nie udało, to się nie udało i tyle. Jak wchodzili „Chłopcy", to była przyjemność i luz, a jak wchodziła Republika, to wszyscy srali w gacie – wspomina Olek Klepacz.

Wróćmy do początków lat dziewięćdziesiątych, kiedy to Bogdan został dumnym posiadaczem debiutu płytowego.

– Pierwsza płyta była za parę groszy, za własne pieniądze. Bardzo ją lubię ze względu na dobór piosenek. Gdybyśmy mieli więcej pieniędzy, to mogłaby być znacznie bardziej dojrzała. (…) Ale pamiętam, że w studiu u Puczyńskiego była świetna atmosfera – tak wspominał te lata.

– Nagrywało się ją fajnie, ale nie można nie zwrócić uwagi, że już po wydaniu płyta przeszła troszkę niezauważona na rynku – ocenia Paweł Walczak. – Owszem, była ważną pozycją dla tysięcy fanów, ale jej ukazaniu się nie towarzyszyła żadna promocja. Polton to w ogóle była dziwna instytucja… Szkoda gadać już teraz. W każdym razie zawarte na niej utwory dopiero potem nabierały blasku.

– Samo to, że Polton nie dopominał się, żeby na tej płycie znalazł się największy przebój zespołu, czyli „O! Ela", jest z ich strony poważnym zaniedbaniem. Nam to jednak pasowało, bo pokazaliśmy wtedy, że nie jesteśmy grupą, która już zrealizowała wszystkie swoje ambicje. Pamiętam, że podczas wspólnej rozmowy zadecydowaliśmy o tym, że „Elę" wyrzucamy. Dla żartu całą płytę nazwaliśmy za to „O! Ela", czym zapewne wprowadziliśmy w zakłopotanie tych, którzy kupili ją z nadzieją na odsłuchanie tego przeboju. Bogdan nie chciał być przez całe życie Jankiem Kosem. Chciał pokazać Polsce inne oblicze.

MAREK SIEROCKI: *Pamiętam, że kupiłem sobie tę płytę. Myślałem, że sprzedano mi jakiś wybrakowany egzemplarz, bo… nie znalazłem tam „Eli". Zmylił mnie ten tytuł. Przyznam, że byłem zmieszany.*

– Nawet bez „Eli" był to wielki krok w dalszej karierze Bogdana. Już bez nas, co prawda, bo wrócił do Krakowa i zmienił skład zespołu, ale jednak artysta z debiutem płytowym z prawdziwego zdarzenia to już było coś – dodaje Paweł Walczak.

Na początku lat dziewięćdziesiątych Bogdan zmienia skład zespołu i rozpoczyna współpracę z Dariuszem Adamczykiem, czyli Franzem Dreadhunterem – byłym basistą Bajmu i Tiltu, który od tego momentu stał się drugim po Bogdanie stałym „Chłopcem z Placu Broni".

Paweł Nazimek miał uzasadnione pretensje do Bogdana o sposób, w jaki żegnał się ówcześnie z muzykami, w tym z nim samym.

– W pewnym momencie wylądowałem w szpitalu. Mało jadłem, niewiele spałem, częste koncerty i wyjazdy – jednym słowem:

wycieńczyłem organizm. W szpitalu spędziłem miesiąc. Wtedy to Bogdan poznał Franza, który zrobił na nim spore wrażenie. Był już wtedy znanym muzykiem, dobrym basistą. Prawił Bogdanowi komplementy, co go z pewnością nobilitowało. Miał też twardy i nieustępliwy charakter, przez co już od tego momentu przez lata służył Bogdanowi jako oparcie w wielu sprawach.

W międzyczasie wyzdrowiałem już na tyle, by znów móc grać koncerty. Spieszyłem się do tego, bo okazało się, że będę ojcem i chciałem zacząć znów zarabiać. Wiedziałem, że wkrótce zespół ma mieć koncert, więc zadzwoniłem do Bogusia, że jestem gotowy. Strasznie kluczył w czasie tej rozmowy, więc szybko wyczułem, że coś jest nie tak. W końcu przyznał mi się, że teraz zagra Franz – bo ten z kolei zwierzył mu się, że potrzebuje pieniędzy. Zadzwoniłem do Wojtka Namaczyńskiego, ale on też nie chciał komentować sytuacji, również się wykręcał od rozmowy. Zrozumiałem, że to mój koniec w zespole. Pokornie przyjąłem to do wiadomości, ale miałem uzasadnione pretensje o sposób, w jaki chłopcy to załatwili. Tym bardziej że zawsze byłem fair wobec zespołu i nigdy nie nawaliłem. To było dla mnie trudne doświadczenie. Franz grał na początku nawet na moim sprzęcie, którym szybko się zaopiekował. Pomyślałem, że pójdę do jakiejś normalnej pracy. Miałem w końcu zdaną maturę. Do Sztywnego Pala Azji nie planowałem wracać, bo chciałem być w porządku wobec dawnych kolegów, którym przecież swego czasu, by grać z Bogdanem, sam podziękowałem za współpracę. Było naprawdę ciężko.

Wtedy zadzwonił do mnie Krzyś Zawadka. Również odszedł z zespołu po przyjściu Franza, z którym nie potrafił się dogadać. Podrzucił mi informację, że T.Love po zagranicznych wojażach Muńka właśnie się reaktywuje i szukają basisty. Przyjęli mnie. Od tamtego momentu gram w tym zespole, za co jestem losowi wdzięczny.

Bogdan w tym czasie rozpoczął też krótką, ale intensywną współpracę z artystą kabaretowym Marcinem Dańcem.

– Nasza znajomość zaczęła się dość nietypowo. Pierwszy raz spotkaliśmy się zupełnie przypadkiem w Krakowie na mszy w kościele. Wymieniliśmy nieśmiało spojrzenia. Obaj mocno się zdziwiliśmy, że jesteśmy w tym samym miejscu. Ja – że widzę w tym miejscu znanego muzyka rockowego zespołu, a on – prześmiewcę i kabareciarza. Po zakończeniu mszy wyczułem, że obaj chcemy ze sobą porozmawiać i tak też się stało. To był początek naszej przyjaźni i częstszych spotkań. Pewnego razu pomyślałem, że byłoby fantastycznie, gdyby ten młody facet, łudząco podobny do Lennona, występował w moim programie. Zgodził się. W rezultacie daliśmy kilkanaście świetnie przyjętych występów. Wyglądały one mniej więcej tak: ja opowiadałem te swoje śmieszne historie, a później mówiłem zupełnie poważnie: drodzy Państwo, prześmiać całego życia nam nie wolno. Przed wami Bogdan Łyszkiewicz! Byłem bardzo szczęśliwy, że Boguś na tę współpracę przystał. On też był wyraźnie zadowolony, bo sprawdzał się przy nieco innej widowni niż ta, która zwykle przychodziła na jego koncerty. Grał na pianinie i taki też był jego warunek współpracy. Zniosłem to z pokorą. W tamtych czasach w domach kultury nie było łatwo o dobrze nastrojone instrumenty. Często była to droga przez mękę, by w ogóle jakikolwiek był się znalazł. Bogdan tworzył fajny, kameralny klimat. Później każdy z nas ruszył z kilka razy większą prędkością w swoją stronę. Spotykaliśmy się jednak dość często na piwku „Pod Jaszczurami". Obserwowałem z boku jego karierę i zawsze trzymałem za nią kciuki – wspomina Daniec.

Kocham Cię

Drugą w dyskografii zespołu płytą jest wznawiany wielokrotnie w późniejszych latach „Krzyż". Dzieło duetu producenckiego Bogitelli/Dreadhunter, czyli Bogdana i Franza. Płyta, która miała umocnić pozycję zespołu na krajowym rynku muzycznym, przeszła w sumie bez większego echa. W archiwum Jacka Dyląga zachowała się korespondencja, jaką przez ocean Bogdan prowadził ze swoim byłym gitarzystą. Przypominała listy, które swego czasu otrzymywał od niego Jacek Królik. Bogdanowi zależało z początku, by na nowym albumie zagrał także Dyląg. Przekonywał go do powrotu z USA na wszelkie możliwe sposoby. W tym na swój sposób – jedyny i niepowtarzalny.

„… jeżeli mówisz językiem prawdy, to wracaj natychmiast do Polski. Powiedz, krzyknij głośno, rzuć mi rękawiczki! STAWAJ WAŚĆ! (…) WRACAĆ, WRACAĆ, WRACAĆ! JESZCZE RAZ WRACAĆ!!! Spakować bambetle, raz, dwa, trzy – pocałować ziemię amerykańską i wrócić, pocałować polską, rzucić palenie papierosów, ja to zrobiłem 11 XI 1990 roku. (…) W życiu człowiek musi umieć mówić Tak i Nie. To święte słowa i dlatego byłoby NIE-TAKTEM, czyli NIE-MUZYKĄ odpowiedzieć NIE, gdy pragnieniem życia jest TAK. NIE ma ograniczone znaczenie do sfery materialnej, zaś świat DUCHA MIŁOŚCI to TAK. W ten sposób PRAGNĘ CIĘ ZAPROSIĆ DO NAGRANIA PIERWSZEJ DOJRZAŁEJ, INNEJ NIŻ DOTYCHCZAS ZNANĄ LUDZKOŚCI DOJRZAŁOŚCIĄ PŁYTY ZESPOŁU CHŁOPCY Z PLACU BRONI!! (…) Chyba że zmienisz zdanie, co w sumie nie może być możliwe, jeśli mówisz o graniu duszą i czujesz to co ja i wszyscy ludzie!!! (…) Wyobraź sobie, że oprócz normalnych prób mamy możliwość pracy na okrągło przed wejściem do studia. Z mini-demo-studiem 8-śladowym + konsoleta. CZUJESZ! Mamy warunki jak Beatlesi. Nawet o takiej możliwości w Polsce nie marzyłem, tzn. ściślej nie marzyłem o tym, by ktoś w Polsce mi zaproponował takie warunki, zakładając, że mam jako autor absolutne prawo do decydowania o TREŚCI PRZEKAZU! WRACAJ! BÓG Z NAMI, GRAJMY!".

To jedynie fragmenty z obszernego i bardzo dynamicznego w formie – także graficznej – listu, który Bogdan wysłał „po Jacka".

Wspomniana korespondencja jest o tyle ciekawa, że Bogdan zamieścił w niej teksty piosenek do mającej wkrótce powstać płyty „Krzyż". Jest wśród nich i ten do dopiero co napisanej przez niego ballady „Kocham Cię" – jednego z największych przebojów w historii zespołu.

„… UTWÓR SPECJALNY. CZAD!!! BALLADA! Pozwolę sobie opisać najbardziej osobistą metodę porównania innych do tego utworu. W klimacie coś pomiędzy »Purple Rain«, Johnem Lennonem – ogólnie biorąc Bon Jovi z płyty New Jersey – »I'll be there for you«. Tytuł: »Niedokończona symfonia«, bo są w planie: smyczki, piano, chóry, gitara akustyczna, hammond, dużo partii instrumentalnych (jak u Prince'a), gong, gwizdanie, harmonijka ustna, kotły. Trochę w klimacie »Imagine« z wyeksponowanym pianem. Wiem, że tylko ty mnie zrozumiesz w tej opowieści…".

W tej samej korespondencji Bogdan wspomina również o chęci założenia zespołu anglojęzycznego i rozmarza się na temat wyjazdu z koncertami do USA.

„Wrócimy do Ameryki jako zespół rock'n'rollowy The Boys from Batlefilds lub wprost The Batlefilds – to tylko za granicą. W Polsce zawsze będziemy Chłopcy z Placu Broni".

Jacek Dyląg, owszem, wrócił do kraju. Jak dziś wspomina – nie tylko przez listy Bogdana.

– Moja narzeczona nie dostała wizy do USA, a bardzo już za nią tęskniłem. Tęskniłem też za krajem. Wiele przełomowych spraw miało wtedy tutaj miejsce. Rodziła się nowa Polska, a ja miałem w głowie wiele myśli i pomysłów na życie w wolnorynkowych regułach. Było to silnym bodźcem do powrotu.

Do regularnego składu Jacek nie powrócił jednak już nigdy. Z sukcesami zajął się działalnością w branży radiowej, a ściślej – producenckiej. Na płycie „Krzyż" słychać jednak jego gitarę w kilku kompozycjach.

Okres poprzedzający pracę nad „Krzyżem" był też czasem, kiedy zakończył się związek Bogdana z Ewą. I tak jak przed kilkoma laty Bogdan odbił dziewczynę Piotrowi Górce, tak też Bogdanowi z kolei podobny numer wykręcił Rafał „Kwasek" Kwaśniewski – późniejszy założyciel grupy PRL. Na szczęście nie zakłóciło to pracy nad płytą. Bogdan szybko wrócił „do pionu" i zajął się dalszą karierą.

BOGDAN: *Na „Krzyżu" chodziło o to, żeby czad na maksa był połączony z balladami. Była to pierwsza płyta, jaką robiłem z Franzem – myślałem, że wie wszystko, a tego, co sam wiedziałem, nie byłem w stanie wyegzekwować. Na dodatek weszliśmy do studia, w którym atmosfera okazała się średnia. Tacy zawodnicy, którzy popędzali, olewali, bo spieszyli się na wakacje. Powiedziałbym, że powstało niestety w pewnym sensie demo, wydawnictwo na poziomie bootlegu.*

Ciekawostką jest pierwszy i ostatni w historii studyjnych działań Chłopców z Placu Broni udział wspomnianego już gitarzysty Dżemu Jerzego Styczyńskiego.

– Z miejsca się zgodziłem. W jego graniu było też coś amerykańskiego, coś, co nas wszystkich wtedy bardzo kręciło. Pamiętam, że jak stał na scenie, a ja mu się z boku przyglądałem, to wyglądał jak Tom Petty. Te blond włosy i gitara. Grał też jak Petty, tak zwaną metodą „sztywnego łokcia", czyli akordami. Kiedy Boguś mnie zaprosił do nagrań, to niezwykle się z tego ucieszyłem. W Dżemie przechodziliśmy wtedy trudny okres, wiadomo że z Ryśkiem nie było dobrze, miał kłopoty, rzutowało to na cały zespół i muzykę, jaką graliśmy. Była mroczna. Z Chłopcami z Placu Broni było inaczej. Sama radość.

Do Krakowa Styczyński przyjechał wprost z Gdańska, gdzie z Dżemem zagrał dzień wcześniej koncert.

– Umawialiśmy się, że w studiu będzie czekał na mnie marshall, bo jechałem z samą gitarą. Okazało się, że go nie ma. Nagrałem więc wszystkie swoje partie wpięty wprost do miksera. Pierwszy raz w życiu tak robiłem. Pamiętam, że Boguś jak tego posłuchał, to trochę kręcił nosem, że za łagodnie, za delikatnie, że nie ma przesteru. Tłumaczyłem mu, że w takiej sytuacji nie dało się inaczej. W sumie to pasowało do tej płyty, ja ją w każdym razie bardzo lubię. Boguś też się chyba z tym w końcu pogodził. Dla mnie było to kolejne nowe doświadczenie.

Na płycie zaistniał też Jacek Królik, dogrywając partie gitar.

– Razem z Jurkiem Styczyńskim wspomogliśmy ówczesny skład anonimowo. W pierwszym wydawnictwie płyty jesteśmy wymienieni tylko w podziękowaniach. Dopiero reedycja płyty po latach ujawnia nasze zaangażowanie. Jak zwykle, robiłem to w pośpiechu. W studiu zjawiłem się w trakcie przygotowań do egzaminu z techniki cieplnej. Udział w płycie „Krzyż" okupiłem drugim terminem w sesji poprawkowej.

Album „Krzyż", niedoceniony w momencie wydania, stał się jednak fundamentem pod kolejne produkcje zespołu.

BOGDAN: *Mały niż naszego powodzenia przeżyliśmy w roku 1991, kiedy to na rynku pojawił się album „Krzyż" – płyta zdecydowanie niekomercyjna, wręcz garażowo-podziemna. Jej zawartość wynikała z tego, że byłem zmęczony nieustannymi atakami na nas, że gramy harcerstwo, balladowe smutki itd. Postanowiliśmy zagrać inaczej, to była potrzeba wewnętrzna, emocjonalna, coś na kształt odreagowania… To chyba naturalna droga rozwoju – uciec na chwilę od głównego nurtu swoich zainteresowań w inny wymiar, ażeby nabrać dystansu. Mnie to pomogło się odnaleźć. Jestem człowiekiem tak skonstruowanym, że lubię sobie psuć grę, stawiać przeszkody, żeby nie było nudno. A byłem już znudzony sytuacją, że ludzie kojarzą mnie z jedną piosenką. No cóż, „Krzyż", jako czysta forma, nie dla wszystkich czytelna, nie został doceniony. Jednak myślę, że po latach wiele osób wróci do jego zawartości. Może nie potrafiliśmy go dobrze sprzedać – w sumie była to inicjatywa paru kolegów, bez specjalnych profesjonalnych lotów.*

Z racji tego, że Bogdan nie był do końca zadowolony z brzmienia płyty – na następnych albumach nagrywał utwory pochodzące z tego właśnie wydawnictwa (a nawet wydając „Krzyż" po ponownym jego nagraniu). Samo „Kocham Cię" nie dość, że dało tytuł kolejnej płycie, to jeszcze okazało się drugim po „O! Ela" najbardziej znanym utworem Chłopców z Placu Broni. Był to też utwór, z którym Bogdan czuł się najbardziej emocjonalnie związany. Po pierwsze – był o miłości, po drugie – w stylu Lennona. Od tego momentu, ku rozpaczy późniejszych firm fonograficznych, z którymi wiązał się kontraktami, postanowił nagrywać ją w różnych wersjach na każdym albumie, co konsekwentnie czynił.

Odnalezione piosenki | *Długo* | *4:10*

MAREK SIEROCKI: *„Kocham Cię" to jedno z najpiękniejszych, a kto wie, czy nie najpiękniejsze muzyczne wyznanie miłości. Ja do dziś mam ciarki za każdym razem, kiedy to słyszę.*

OLEK KLEPACZ: *Dla mnie jego piosenki, a szczególnie te o miłości, są jak narysowane. Małe figurki ludzkie coś ze sobą robiące. Coś na zasadzie Kamasutry. Pani i pan dokonują różnych pozycji – tyle że emocjonalnych. Takie igraszki między dwojgiem ludzików, którzy skaczą naokoło siebie, próbując się adorować. „Kocham Cię" jest taką piosenką, jaką niewielu ludziom na tym świecie udałoby się napisać. Takie numery i takie melodie są natchnione. Nie wiem – przez Boga, przez Amora. Bogusiowi to się właśnie zdarzyło i szczerze myślę, że chyba tylko jemu udało się zaśpiewać miłość.*

– To są po prostu chyba najważniejsze słowa w życiu. Kocham Cię… W związku z tym staram się pielęgnować ich znaczenie i wyrazem tego jest umieszczanie tej piosenki na każdej płycie. Chciałbym razem ze słuchaczami odbyć tę podróż, jaką jest po prostu troska o miłość w życiu, i ci wszyscy, którzy lubią moje piosenki i ich słuchają, będą mieli razem ze mną okazję się zastanawiać, ilekroć to słowo wypowiedzą – mówił w jednym z wywiadów.

PAWEŁ SITO: *Był staroświecki w kontaktach z kobietami. Nawet słownictwo, jakiego używał względem nich, pełne było archaizmów typu „niewiasta" etc., z takim krakowskim dworskim ceremoniałem. Jego teorią było, że istnieje gdzieś przeznaczona mu wielka miłość i on do niej w końcu dojdzie. Był świadom faktu, że dzieją się po drodze różne rzeczy, że są kobiety, a czasem ich nie ma, ale ta jedna – przeznaczona gdzieś tam czeka. On już kochał tę kobietę, z którą zwiąże swoje życie, choć jej jeszcze nie spotkał i nie poznał. Nie miała jeszcze nazwiska,*

twarzy, fizyczności –ale on wierzył, że gdzieś jest. Hołdował jej. Czasami mu mówiłem: Boguś, źle trafiłeś, bo znów z kimś właśnie zerwałeś… Dla niego to się jednak nie liczyło, bo znaczyło, że to jeszcze nie była ona. To nie było zakłamywanie rzeczywistości. Jego miłość była zawsze idealistyczna. Czasami nie dziwiłem się też, że pewne związki się kończyły, bo on był przecież strasznie niedzisiejszy. Kobiety myślały, że poznały gwiazdę i ich życie dynamicznie się zmieni w bankiety i spotkania branżowe. A Bogdan był rycerzem, nie celebrytą. Inna sprawa, że Bogdan nie spieszył się do żeniaczki i nie dawał się co sprytniejszym damom usidlić. Nie potrafię sobie go też na tamte czasy wyobrazić jako męża. Same jego późniejsze wyjazdy do Stanów mogły kosztować sporo ogniska domowego…

„Kocham Cię" stało się prawdziwym hymnem zakochanych.

„Najpiękniejszym utworem miłosnym jest dla mnie piosenka Chłopców z Placu Broni o wymownym i wszystko mówiącym tytule »Kocham Cię«. (…) Bogdan Łyszkiewicz najpiękniej, najczulej i najdelikatniej wyszeptał słowa, o usłyszeniu których marzy chyba każdy człowiek. Zrobił to tak prawdziwie i ujmująco, że jak nikt inny przekonał mnie, iż warto bez reszty zawierzyć uczuciom. Uwierzyłam w ten zmysłowy szept i owego lata byłam szczęśliwa jak nigdy przedtem ani nigdy później. Ta piosenka jest więc dla mnie jak cenny bibelot, który pozostał po niezapomnianej pierwszej miłości…" – napisała o piosence w jednym z konkursów Radia Plus słuchaczka Anna Szymczyk z Lipska.

– Poprosiłem Bogdana, by zagrał ten utwór na moim ślubie. Niestety, jako że był ówcześnie osobą permanentnie spóźniającą się wszędzie, to i do pałacu ślubów na warszawskiej Starówce nie dotarł na czas. Zjawił się na sam koniec uroczystości. Na szczęście załapał się jeszcze na wspólne zdjęcie, które do dzisiaj mam u siebie. Widać go na nim w niebieskiej koszuli i jasnych dżinsach. Zagrał za to na weselu, najpierw solo, a potem razem z Urszulą i Staszkiem Zybowskim. Na zabawie poznał też pewną dziewczynę, z którą, zdaje się, jeszcze nocnym pociągiem wyjechał spontanicznie do Sopotu – wspomina Jacek Wroński, dziennikarz telewizyjny i wieloletni przyjaciel Bogdana.

– Relacje pomiędzy kobietą a mężczyzną są główną inspiracją w moim życiu. Miłość jest najważniejszą sprawą w obecności człowieka na ziemi – jedynym, co się liczy. Kobiety stanowią nieodłączny temat każdego dnia, który przeżywam. To, że spotykam ich w życiu wiele, jest skutkiem poszukiwań, a nie świadomym wyborem. Szukam tej idealnej, której może nigdy nie znajdę. To bardzo trudny okres, ale również bardzo piękny. No i podstawowa motywacja twórczości, decydująca o rodzaju ekspresji, uzewnętrznienia. Moje teksty są adresowane do tej jedynej osoby – do tej, która może była, która może będzie, a której na razie nie ma. To w zasadzie takie bardzo osobiste listy do mojej dziewczyny, ujęte jednak w taki sposób, aby były czytelne dla każdego. Staram się przy tym otaczać opieką, ochraniać takie słowa jak miłość, aby nie straciły swojego wielkiego znaczenia. Niełatwo powtarzać je za każdym razem, nawet w piosenkach. Największą trudność sprawiają mi próby przed koncertami – muszę zaśpiewać piosenkę, ale staram się wtedy wybrać z tekstu fragmenty najbardziej neutralne emocjonalnie, najmniej osobiste, bo nie chciałbym, żeby te najbliższe mi spowszedniały. Musi istnieć specyficzna atmosfera, specyficzny klimat, aby w ogóle mówić o miłości. A ja nie potrafię, jak wielu specjalistów, dzielić swojego życia na to na scenie i to poza nią. Nie jestem fachowcem – rzemieślnikiem, staram się po prostu, aby to, co robię, było uczciwe, nawet kosztem efektywności mojej muzyki – tłumaczył.

To właśnie opisywanie miłości przysporzyło Bogdanowi największych przebojów. Swoje najpiękniejsze piosenki napisał o miłości i z miłości.

– Nie wiem, jak to się dzieje, że piosenka staje się przebojem. Możemy sobie założyć, że to taka z ładną melodią, wpadająca w ucho, ze zgrabnym tekstem. Czy to wystarcza? Sprawa jest chyba bardziej skomplikowana. Ja zostawiam wszystko losowi. Wierzę, że moje piosenki mają jakąś siłę, są komuś potrzebne. Utwierdzam się w tej wierze wtedy, kiedy udaje mi się wydawać płyty i jakoś przetrwać, żyjąc z mojej twórczości.

Z okresu wydania płyty „Krzyż" pochodzi też ciekawa wypowiedź, którą zanotowała wspomniana już Katarzyna T. Nowak, publikująca w „Gazecie Krakowskiej". Mając za sobą dwa wydane albumy, Bogdan mógł sobie pozwolić na pierwsze podsumowania i obserwacje dotyczące rynku muzycznego, na którym coraz odważniej funkcjonował.

– Zakłada się kapelę, kiedy ma się na to ochotę. Chcesz grać, no to grasz. Tyle że konsekwencje takiej decyzji są wielką niewiadomą. Wydawało mi się na przykład, że mam plan, który mogę swobodnie realizować. Pięć lat temu nie zdawałem sobie sprawy – tak jak zdaję sobie dzisiaj – z tego, że w Polsce nie wszystko jest normalne. Naiwnie myślałem, że tutaj jest showbiznes, że zrobię jeden czy dwa duże przeboje, po czym przez dłuższy czas będę niezależny… Mnóstwo kapel na całym świecie startuje bez forsy, bardzo często bez pomysłu, tylko z pasją. My zaczynaliśmy z pomysłem, pasją i bez forsy. Bardzo trudno w Polsce przeskoczyć próg finansowy. Na szczęście podpisujemy coraz ciekawsze umowy na płyty. Dotąd wydałem dwie, teraz przygotowuję trzecią i czwartą.

W jednym z wywiadów, opisując realia początku lat dziewięćdziesiątych, wspomniał o słynnym koncercie zorganizowanym na Stadionie Dziesięciolecia przez Marka Kotańskiego na rzecz dzieci chorych na AIDS.

– Jest ciekawiej, bo powstało kilka fajnych kapel, ale scena jest ta sama. Ten sam bałagan i potworny chaos, na przykład warszawski koncert na rzecz chorych na AIDS był zorganizowany po prostu fatalnie. Wszystko było opóźnione, skrócone, zdenerwowane, wściekłe i niewiadome. Przyjechaliśmy specjalnie dzień wcześniej, żeby zrobić próbę, czekaliśmy do drugiej w nocy, po czym… zostaliśmy wyrzuceni ze sceny przez obsługę techniczną. Razem z nami czekali chłopcy z zespołu Daab, którzy nie dość, że nie mieli próby, to jeszcze zostali wyproszeni ze sceny po 15 minutach grania. Po prostu przyszli goście i powiedzieli: „Wasz czas się skończył, chłopcy, więc zmykajcie". Polacy, gdy organizują koncert zachodniej kapeli, to wszystko chodzi jak w zegarku. Ale gdy ci sami ludzie zajmują się polskim koncertem, wychodzi z tego paranoja.

W tym samym 1992 roku Bogdan poznaje osobę, której z czasem zaczął wiele zawdzięczać…

– Byłam wtedy dyrektorem TVP2 – wspomina Nina Terentiew. – Właściwie nie pamiętam już, czy dzień, kiedy Bogdan pojawił się na korytarzu budynku przy ulicy Woronicza, był dniem, kiedy mieliśmy umówione spotkanie… W każdym razie potrafię przywołać w pamięci ten kadr, kiedy wychodząc ze swojego gabinetu, zauważyłam „chłopca z Placu Broni". Człowieka o specyficznej urodzie – delikatnej, plastycznej, który stał cierpliwie z plecakiem i wyglądał nie jak muzyk rockowy, ale będący właśnie gdzieś w drodze poeta. Znałam jego piosenki (za moment miał okazać z tego powodu spore zdziwienie), więc wiedziałam też, że jest osobą o specyficznej duszy i charakterystycznym postrzeganiu świata. Usiedliśmy przy stole i już po zamienieniu kilku zdań czuliśmy się, jakbyśmy znali się od lat. Wszystkie moje teorie na jego temat się potwierdziły. Nie było też między nami relacji typu: artysta, który czegoś chce od menedżera i menedżer, który w czymś może artyście pomóc.

Rozmawialiśmy o życiu, o piosenkach, inspiracjach, ale też o sprawach zupełnie przyziemnych. Tak jak wspomniałam – był mocno zdziwiony, że doskonale kojarzę jego kompozycje, i to nie tylko „Elę", która już wtedy była znaną piosenką. Chyba też trochę go uprzedziłam, kiedy w pewnym momencie zapytałam, czy pozwoli, że zacznę go promować w telewizji. Kto wie, czy właśnie po to do mnie nie przyjechał… Pewnie tak.

Szybko zapadła decyzja o produkcji krótkiego filmu z piosenkami Bogdana, opartego na jego dotychczas wylansowanych przebojach. Reżyserią zajął się Maciej Dejczer.

NINA TERENTIEW: *Dejczer był gniewnym, dociekliwym i poszukującym twórcą… Kojarzył mi się zawsze z twardym męskim kinem – nie z filmami muzycznymi, a już zdecydowanie nie z uduchowionymi piosenkami Bogusia. Pamiętam, że kiedy przyszedł do mnie z propozycją, że chce podjąć się też innych projektów, to przyznam, że niezbyt chętnie chciałam mu je powierzyć. Na to on szybko ripostował – że głęboko się mylę. I wtedy przedstawił mi gotowy już scenariusz do pierwszego w swoim życiu filmu muzycznego. I to był właśnie ten film… Wydawało mi się, że jak Maciek się zabierze za te wszystkie poetyckie klimaty Bogdana, to roztrzaskają się one o podłogę. Jednak determinacja Maćka była tak autentyczna, że w końcu dopiął swego i stworzył ten obraz. Udany, muszę przyznać. Powstał piękny, trochę dziwny i nastrojowy film w konwencji teledysków do piosenek Bogdana, z jego udziałem. Wiem, że Maciek lubił później ten film. Boguś też był zadowolony.*

– Muzyka zawsze była i jest w moim życiu czymś niezwykle istotnym. Czasy Woodstock to był początek dojrzewania. Neila Younga odkrywałem w liceum, wtedy zacząłem grać na bębnach – tak dla siebie, dla wybicia rytmu. Płyty z Woodstock z zapisem koncertu, które do nas dotarły, opijaliśmy w piwnicach Trójmiasta. Wsłuchiwaliśmy się w tę balladową Amerykę. Potem było „Imagine" i Lennon. A potem pojawił się Bogdan… – tłumaczy Maciej Dejczer.

Wspomnieliśmy o przebojach. Kolejna płyta niosła ich ze sobą przynajmniej kilka. Znane już „Kocham Cię", pierwszy raz zarejestrowana na pełnym albumie „O! Ela", „Aeroplan", z którym Bogdan debiutował w 1987 roku w Jarocinie, a także przepiękna ballada „Jezioro Szczęścia" Bajmu, autorstwa ówczesnego basisty zespołu Franza Dreadhuntera – złożyły się na „stutysięcznik", bo mniej więcej w takim nakładzie sprzedał się kolejny album. Wydanie płyty znów przywiodło Bogdana do stolicy. Wcześniej, na krótko przed zarejestrowaniem nowej płyty, zdążył jeszcze zagrać solowy koncert w Jarocinie. Poświęćmy temu wydarzeniu chwilę.

„Rozbawioną publikę przejął samotny »chłopiec z Placu Broni« – Bogdan Łyszkiewicz. Nastrój nieco się zmienił, zrobiło się bardziej kameralnie (jeśli można tak powiedzieć w tym przypadku), a to za sprawą ładnych, nastrojowych melodii i oczywiście treści, której głównym tematem była miłość" – relacjonowała Anita Bartosik w „Brumie".

KUBA WOJEWÓDZKI: *Jarocińska publiczność zawsze darzyła Bogdana szacunkiem. Pamiętam, jak sam z gitarą wychodził na scenę, przed którą ludzie byli agresywni, brali się za łby, a on grał te radosne piosenki i jakby chciał przez nie powiedzieć: słuchajcie mnie, świat jest piękny, tylko trzeba go malować inną kreską. Jego styl był podparty niezwykłą kulturą osobistą. Rock'n'roll często bywa gnuśny, proletariacki. Nie ma tam wersalu tudzież salonowych manier. Bogdan był daleko od tych wszystkich skórzanych kurtek, naftaliny, ćwieków, które to jeżeli nie artystycznie, to przynajmniej konfekcyjnie miały zbliżyć ludzi do rock'n'rolla.*

MACIEK MALEŃCZUK: *Wszystkim się wydawało więc, że jak na scenę wejdą Chłopcy z Placu Broni, to zostaną zdmuchnięci, a tak nie było. Po tym, jak nagrali „Nasz nowy hymn", to nawet (ku ich rozpaczy) skinheadzi tego słuchali. Wiem, bo często lałem się z nimi w tym czasie pod sceną.*

BOGDAN: *Z największą przyjemnością zagrałem koncert solowy w Jarocinie, a był to mój szósty występ tam, gdzie wszystko się dla mnie zaczęło. W tym roku widać było wyraźnie, że ludzie oczekują nie tylko czadu i punk rocka, że potrzebują innych wzruszeń…*

Wróćmy jednak do płyty „Kocham Cię". Już sam skład, w jakim została nagrana, wróżył jej powodzenie. Do Chłopców z Placu Broni dołączyli gościnnie między innymi: John Porter, Kostek Yoriadis i Jan Borysewicz. Trzon grupy to oprócz Bogdana: Franz, Jacek Królik, a także perkusista Artur Malik.

– Bogusia poznałem dużo wcześniej, zdaje się w roku 1986 w Chrzanowie – wspomina ten ostatni. – Byłem wtedy licealistą. W „Fabloku" grał próby Sztywny Pal Azji. Mając więc szesnaście czy siedemnaście lat, trafiłem w ciekawe towarzystwo, bo na tej próbie wszyscy się strasznie upili. Widok był na tyle ciekawy, że do dziś mocno utkwił mi w pamięci. Po kilku latach od tamtego wydarzenia, już na początku lat dziewięćdziesiątych, przywędrowałem do Krakowa i jakoś tak się złożyło, że spotkałem przez przypadek Bogusia. Pytał się, co robię, a że akurat Lombard zawiesił działalność, to miałem trochę wolnego czasu na wspólne granie. Mieszkałem nawet u niego przez jakiś czas. Pamiętam, że jego tata robił nam kanapki z pomidorem i cebulą. Chłopcy z Placu Broni grali wtedy próby na tyłach Akademii Rolniczej. Najpierw w budynku, a potem przy pobliskich garażach, w plenerze. Po prostu w środku nie było odpowiedniej akustyki, więc Boguś w swoim stylu zarządził: Idziemy stąd! No i wynieśliśmy graty na zewnątrz. Bogdan miał różne pomysły. Na przykład takie, żeby grać próby na Rynku. Później spotkaliśmy się właśnie przy okazji nagrania płyty „Kocham Cię", bardzo zresztą udanej.

– O ile dobrze pamiętam, to demo tej płyty trafiło do mnie poprzez Tomka Żądę, dziennikarza muzycznego i kolegę Bogdana. Ten, wiedząc że Tomek przyjaźni się ze mną, pewnie podsunął mu kasetę z zadaniem dostarczenia jej tutaj. Przesłuchałem ją w samochodzie, bo wtedy funkcjonowałem w zasadzie na dwa kraje: Anglię i Polskę. Nie miałem czasu odsłuchiwać nagrań w pracy czy w domu. Spodobała mi się. Przyznam się szczerze, że nie znałem „Chłopców" wcześniej. Nie byłem na bieżąco z krajową sceną, by znać wszystko, co nagrywały tutejsze zespoły. W każdym razie, widząc potencjał, postanowiłem, że puścimy to na rynek. Przeceniłem jedynie walory wokalne Bogdana. Byłem pewien, że to jest zaśpiewane tak na pół gwizdka… Nie w sile głosu jednak tkwiła moc zespołu i samego Bogdana. On był artystą. Ze wszelkimi wadami i zaletami bycia właśnie nim – wspomina Andrzej Paweł Wojciechowski, właściciel firmy MJM Music, wydawca całej „stajni" największych rodzimych gwiazd lat dziewięćdziesiątych.

O artystycznej duszy Bogdana jego ówczesny wydawca z pewnością nie wspomina przez przypadek. Podczas swojego kolejnego warszawskiego epizodu Bogdan pokazał, że to, iż głowę nosi w chmurach (skąd ściąga na ziemię swoje piosenki i za co kochają go fani w całej Polsce), niekoniecznie musi być akceptowane w branży muzycznej i biznesie w ogóle, ponieważ rządzą nimi twarde reguły. A bycie wydawcą tak romantycznej jednostki można przypłacić zdrowiem. Andrzej Paweł Wojciechowski dopisuje do listy artystów „odpowiedzialnych" za swoje późniejsze kłopoty z sercem także Łyszkiewicza…

– To był fajny i zdolny chłopak, niemniej jednak ze specyficznym podejściem do rzeczywistości i kontaktem z nią. Przykłady można mnożyć. Z racji tego, że mieliśmy sporo artystów spoza Warszawy, wynajęliśmy w pewnym momencie mieszkanie dla tych, którzy przyjeżdżają na promocję płyt czy samo ich nagranie. Mogli sobie w nim mieszkać i nie szukać hoteli po mieście. Mieszkał tam też dość długo Bogdan. Nagle się okazało, że operator wyłączył telefon w mieszkaniu. Syn właścicielki lokalu przybiegł do nas z ogromnymi pretensjami. Nie było możliwości ponownego podłączenia tego telefonu, przez co utracił dotychczasowy numer. Co się jednak okazało: zaległe rachunki za połączenia znaleźliśmy… za tapczanem. Bogdan – jak małe dziecko – wrzucał je tam w myśl zasady, że niewidzianego nie ma… On nawet nie musiał ich płacić, choć były dość wysokie. Jak się okazało, umawiał sobie poprzez łącza już wtedy te jego wyjazdy do Stanów, co już wkrótce okazało się dla nas kolejnym problemem…

Ciekawą historię związaną z rachunkami telefonicznymi zapamiętał również Jerzy Tyndel, przyjaciel Bogdana z Krakowa, właściciel firmy Baustal i mecenas wielu przedsięwzięć kulturalnych.

– Kiedyś spędzał czas w należącym do Baustalu ośrodku wczasowym na Kaszubach. Raz zdarzyło mu się zasnąć w czasie rozmowy ze Stanami. Połączył się tam z jakąś sekretarką czy centralą telefoniczną i czekając na połączenie, odpłynął. Nabił tym naprawdę spory rachunek. Teraz, po latach, mogę się przyznać, że musiałem ten nieoczekiwany wydatek ukryć w naszej księgowości przed wspólnikami… ale taki był Bogdan. Spośród wszystkich moich znajomych tylko jemu mogło się to zdarzyć.

Płyta „Kocham Cię” okazała się na szczęście rynkowym strzałem w dziesiątkę.

– Już na początku działalności wybrałem jedno: robię hity, czyli piosenki do wspólnego śpiewania, takie jak na naszej pierwszej płycie. Proste piosenki, robione jednak coraz lepiej, nagrywane w lepszych studiach, z lepszymi producentami, lepszymi muzykami… Jako że zespół nie miał nigdy stałego składu, stanąłem przed koniecznością wyboru muzyków, szczególnie że album „Kocham Cię” postanowiłem skonstruować jako pewien pomost między przeszłością a teraźniejszością. Do „Aeroplanu” wybrałem Johna Portera, gdyż świetnie gra na gitarze Rickenbacker, a to jest stylowo utrzymane w estetyce lat sześćdziesiątych. Do „Jeziora Szczęścia” zaprosiłem Janka Borysewicza, gdyż potrzebny był ktoś, kto zagra nowocześnie, z wyczuciem odpowiedniej dramaturgii. Kostek Yoriadis jest świetnym pianistą – nowoczesnym, ale wrażliwym, to smakosz trafiający nutę w dziesiątkę, pomimo iż ma opinię dzikiego i nieobliczalnego. Wojtek Morawski to też już żywa legenda, styl i wyczucie, punktualność beatu… Po stare numery („Ela” i „Aeroplan”) sięgnąłem nie w wyniku braku pomysłów czy repertuaru, ale raczej z kronikarskiego obowiązku. Nie było ich na żadnej płycie, a postanowiłem odświeżyć je emocjonalnie i brzmieniowo – taka mała powtórka z przeszłości… Na następnych płytach będę nagrywał nowe wersje utworu „Kocham Cię”, gdyż to najwspanialsza piosenka, jaką udało mi się napisać. Gdy wydawałem pierwszą płytę, nie chciałem umieszczać na niej piosenek znanych, więc umieściłem te, które powinny znaleźć się na drugiej. Tak więc pierwsza płyta była drugą, a trzecia jest pierwszą… – tłumaczył w wywiadzie udzielonym Kubie Wojewódzkiemu.

JAN BORYSEWICZ: *Z przyjemnością wziąłem udział w tej sesji. Głównie ze względu na samego Bogdana, który już wtedy wydał mi się ciekawym człowiekiem. Do dzisiaj nie poznałem w swoim*

życiu wielu takich ludzi. Był spokojny, pokojowo nastawiony do świata, wesoły i trochę odrealniony. Nie miałem wielu okazji do kontaktów z nim, mimo to mało jest takich osób, które tak mocno utkwiły mi w pamięci jak właśnie on. Cieszę się, że ta płyta okazała się sukcesem. Była bardzo dobra.

Tytułowej piosence towarzyszył teledysk wyprodukowany między innymi przez wspomnianego już Bartka Wituckiego, z którym Bogdan jeszcze pod koniec 1992 roku znów zacieśnił znajomość…

– We wrześniu wraz z moją ówczesną dziewczyną Basią Milewicz – modelką, która osiągnęła już spory sukces w Nowym Jorku – przyjechaliśmy na ślub naszej koleżanki. Nie mieliśmy gdzie przenocować, więc zatrzymaliśmy się u Bogdana, który pomieszkiwał wtedy w wynajętym mieszkaniu przy ulicy Górnośląskiej. Spędziliśmy w trójkę sympatyczną noc na rozmowach. Ja nigdy go co prawda o to nie zapytałem, ale sądząc po jego wyrazie twarzy – a Bogdan nie potrafił ukrywać emocji – zakochał się w Basi od pierwszego wejrzenia. Dwa dni później, wracając samochodem do Gdańska, mieliśmy poważny wypadek. Pamiętam też, jak wiozłem w bagażniku gitarę Bogdana i jego płyty; nie wiem już, w jakim celu. Miałem jakiś dziwny wyrzut o ten jego instrument. Może dlatego, że wydawał się do niego autentycznie przywiązany… W każdym razie w poważnym stanie przewieziono nas do szpitala. Basia leczyła się później w Szwecji, a ja byłem na intensywnej terapii u nas w kraju. Później, kiedy już wyszedłem ze szpitala, Bogdan był najczęściej odwiedzającą mnie osobą. Pewnie z jej powodu… Nie dziwiłem się, że go tak oczarowała, bo Basia pomimo tego, że zrobiła sporą światową karierę w modelingu, pozostała bardzo skromną i mądrą osobą. Takie cechy dostrzega się silniej niż urodę. Basia chyba była w pewnym okresie jego muzą… A z perspektywy czasu wydaje mi się, że niespełnioną miłością.

Słowa Wituckiego mogą mieć potwierdzenie, bo kiedy redakcja „Popcornu” zgłosiła się do Łyszkiewicza z prośbą o wypowiedź na temat ideału kobiety, ten obok niej zamieścił zdjęcie właśnie Basi Milewicz.

Wróćmy do teledysku obrazującego piosenkę „Kocham Cię”.

MACIEJ DEJCZER: *Któregoś dnia odebrałem telefon, to był Boguś. Pytał, czy nie zrobiłbym dla niego teledysku do jednej z piosenek. Nie ukrywał, że zależało mu na mnie. Przedtem zrobiłem już kilkanaście klipów, ale tak pięknej pieśni się nie spodziewałem… Od razu się zgodziłem. Nigdy przedtem nie dostałem do realizacji tak prostego i nastrojowego utworu o miłości. Nasze rozmowy z Bogdanem potoczyły się na tyle szybko i owocnie, że wkrótce rozstawiliśmy sprzęt na jednej ze stacji benzynowych w Trójmieście i rozpoczęły się zdjęcia. Zastanawiałem się nad tym, co nakręcić, żeby nie zepsuć utworu, żeby obraz współgrał z muzyką, żeby ją wspierał. Lubię atmosferę filmu drogi, ulotności pewnych sytuacji, zdarzających się, kiedy człowiek się przemieszcza. To musiało być równie proste jak muzyka. Wymyśliłem stację benzynową. Ona: zarabiająca na stacji myciem szyb, on: kierowca białego „garbusa”, który skręcił z trasy po paliwo. Coś spontanicznego między nimi się dzieje, krzyżują się spojrzenia, łączą emocje, ona rzuca pracę i wyruszają z tej stacji już razem nad morze, na pustą plażę, gdzie po chwili tańczą w morzu, fale odzierają ich z ubrań, pełna swoboda i zwolnione zdjęcia. Za kamerą stanął Marek Dawid. Spodobało mu się to miniaturowe kino drogi. Zaproponował zdjęcia w wysokim kluczu, czyli bardzo jasne, bez szczegółów. Przecież to była pieśń o miłości… Poprosiłem aktorów, żeby zagrali trochę śmielej, żeby osiągnąć pewną bliskość. Na co dzień byli parą. Pojawiła się dyskretna nagość. Pamiętam słowa Agnieszki po wyjściu z wody: „Ale co moja babcia na to powie?!”. Wietrzny sierpniowy dzień, pusta plaża w Dębkach – chyba oddaliśmy ten nastrój… Boguś pojechał z nami. Siedział na piasku*

i przyglądał się, jak pracujemy. Mówiłem mu nawet: – Nudzisz się pewnie. A on: – Nie, Maciek, jest OK. I tylko tak filuternie się uśmiechał. Sprawiał wrażenie, jakby mu było dobrze, jakby był zadowolony z tego, co robimy. Chciał być z nami. Chciał, żebyśmy przejęli się tym, co robimy. Zależało mu na efekcie. Ale tak po cichu. Nie robił uwag, nie sugerował niczego. Czasem się pytał, po co takie ujęcie albo do jakiego fragmentu utworu jest taki obrazek. Patrzył na powstający make-up, słuchał tego, co mówię aktorom, o czym rozmawiamy z operatorem. Robił to prosto i subtelnie. Takie słowa przychodzą mi na myśl… że gdy czasem przejeżdżam koło tej stacji za Gdynią, widzę go siedzącego przy pianinie między dystrybutorami z benzyną…

WITUCKI: *Bogdanowi obraz się spodobał. Owszem, miał też swoją wizję, którą próbował przeforsować – zamarzył sobie, że on zagra na białym fortepianie, który będzie stał w wodzie. Był też drugi wariant – że zagra na takim samym instrumencie tyle że ustawionym na molo w Sopocie. Jak wiemy, w efekcie zagrał na wspomnianej już stacji. Na marginesie dodam, że chyba nie ma w moim życiu piosenki, którą słyszałbym większą ilość razy. Byłem stale przy rejestracji, przy montażu, później wielokrotnie słyszałem ją w radiu i telewizji…*

Piosenki z krążka „Kocham Cię" szturmowały wiosną 1993 roku stacje radiowe i kiedy trzeba było ruszyć za ciosem…

– …wtedy dostałem pocztówkę z USA – kontynuuje Andrzej Paweł Wojciechowski. – Od Bogdana. Z serdecznymi pozdrowieniami, informacją, że jest na innym kontynencie, i z pytaniem, czy czasami nie jest potrzebny do promocji płyty. W tamtych czasach promocja polskiego artysty i polskiej płyty zza oceanu – to brzmiało nieco egzotycznie. Nic specjalnego nie zrobiliśmy więc z jego udziałem. Na szczęście płyta była na tyle dobra, że sama się obroniła i wypromowała. Ja nie miałem pojęcia, że Bogdan jest poza krajem. Nie wiedziałem też, że gdziekolwiek się wybiera. Nawet o tej sytuacji z mieszkaniem nie mogłem z nim porozmawiać, bo zniknął tak nagle.

Wspomniana pocztówka została zachowana w archiwum MJM Music. Jej treść brzmi dokładnie tak (pisownia oryginalna): *Kochani PaństwO! Andrzej i Małgosia. Najserdeczniejsze życzenia z okazji świąt Wielkanocnych od Bogdana Łyszkiewicza. P.S. – Bardzo podoba mi się w Ameryce, szczególnie w Nowym Jorku. Od 4.IV będę chodził na kurs języka angielskiego, bo brak znajomości tego języka to moja życiowa zmora. P.S. – Bardzo jestem ciekaw co tam z płytą, czy już jest? Czy wszystko gra? Czy nie brak mojej osoby w niektórych sprawach? Postaram się dzwonić. Pisał będę regularnie. Sądzę, że piosenki można lansować bez mojej obecności. Ja odpoczywam i bardzo powoli* DOCHODZĘ DO SIEBIE. *Gdyby w czerwcu zorganizować trasę na pewno przyjadę. Wizę mam tylko 3-miesiące. Chcę być wolny i wrócę na czas. Jeśli natomiast nic się w Polsce nie będzie działo pozostaniemy w kontakcie a ja będę cały czas gotów do* AKCJI *na* MAXA.

Znaczek na kopertę Bogdan wybrał też bardzo rock'n'rollowy. Z Elvisem. W ogóle w ówczesnych wywiadach, których udzielał sporo, wydawał się wyraźnie zadowolony ze współpracy ze swoim wydawcą. Oto co powiedział w wywiadzie udzielonym Kubie Wojewódzkiemu:

– Życzyłbym sobie zawsze takich współpracowników jak obecnie. Za zaszczyt poczytuję sobie współpracę z firmą MJM – to dzięki niej mogę funkcjonować jak artysta, prowadzić żywot abstrakcyjnie fajny, wyciągając optymistyczne wnioski na przyszłość.

Niespodziewany wyjazd do USA, będący ówcześnie dopełnieniem „abstrakcyjnego żywota", zaskoczył też i – nie da się ukryć – zdenerwował kolegów z zespołu. Bogdan kochał wolność, uwielbiał podróże, wierzył w mit amerykańskiego kowboja, w stepy, Nowy Jork i tamtejszy klimat. Zawsze chciał to wszystko zobaczyć i poczuć na własnej skórze. Dlatego gdy tylko pojawiły się pierwsze większe pieniądze, nie omieszkał wyprawić się za ocean.

– Popełniłem być może szaleństwo, bo gdy był ostatni dzień miksu, to ja już siedziałem w samolocie – poleciałem do Nowego Jorku. Ale gdyby były jakieś sprawy promocyjne, to bym się pojawił. U rodziców zostawiłem numer telefonu… – zwierzył się po powrocie w jednym z wywiadów.

JACEK KRÓLIK: *Bogdan był niesłychanym poszukiwaczem i ciągle niespokojnym duchem. Nie przywiązywał specjalnej wagi do strategii, promocji i kierowania swoją karierą. Można powiedzieć, że ciekawość świata do tego stopnia zdeterminowała jego działania, że w chwili największego rozkwitu zespołu potrafił to wszystko zawiesić, zapragnąwszy wyjechać do Ameryki. Po wydaniu płyty „Kocham Cię" zespół był w świetnej formie – nagrał bardzo dobry materiał i płyta sprzedała się w niezłym jak na owe czasy nakładzie. Spodziewaliśmy sie licznych koncertów. On jednak z dnia na dzień wyjechał, by uczyć się języków i zwiedzać zachodnią półkulę. Z tego co się orientuję, Franz dowiedział się o tej decyzji w dniu wylotu, podczas wspólnego śnadania w hotelu. Nic dodać, nic ująć – po prostu pielgrzym i niespokojny duch.*

– To było jego marzenie, chciał zwiedzić Stany, nauczyć się języka. Kiedyś, po którymś z jego powrotów zza wielkiej wody, powiedział mi: Jarek, musisz zobaczyć Stany, musisz tam pojechać. Od tamtej pory nie przepuścił żadnej okazji do wyjazdu tam. Trzeba też przyznać, że eskapady do USA zmieniły go muzycznie. Od tamtej pory Chłopcy z Placu Broni mieli w sobie amerykańską nutkę. Powiedział mi też, że te podróże otwierają przed nim nowe horyzonty. Miał na myśli postrzeganie otoczenia, spraw, które go dotyczą. Wtedy tylko kiwałem głową, przytakując, ale od kiedy pierwszy raz tam poleciałem, już wiedziałem o czym mówi – dodaje Jarek Kisiński.

– To ja sprowadziłem Bogdana po raz pierwszy do Stanów – mówi Jacek Wroński. – Widać było od razu, że trafił w miejsce, w którym wszystko mu pasowało. Nowy Jork był dla niego stworzony. Pamiętam, że po ulicach chodził zauroczony jak dzieciak. Wszystko go interesowało. Sprawiał wrażenie kogoś będącego na haju. Patrząc tak na niego, człowiek zaczynał rozumieć wszystkie jego teksty. Szczególnie te, gdzie śpiewał o tym, że człowiek powinien być zawsze wolny. Taki czuł się właśnie w USA. Smaczku eskapadzie dodał jeszcze epizod, kiedy to zupełnie przypadkowo w wielomilionowym Nowym Jorku dostrzegł w autobusie pewną kobietę – Polkę, którą poznał swego czasu w Sopocie i która była jego wielką inspiracją. Oszalał wtedy znów na jej punkcie. Nie mógł uwierzyć w to spotkanie. To chyba kolejny bodziec, który rozwinął jego miłość do tego kraju, jako miejsca, gdzie wszystko może się zdarzyć.

Tajemniczą osobę demaskuje Bartek Witucki: – To była… Basia Milewicz. Opowiadała mi później o tej sytuacji. Bogdan zinterpretował to jako jakiś magiczny moment. Wspominała też, że pracując w USA w agencji Forum, codziennie dostawała od niego list pisany kolorowym tuszem.

– Pierwszy raz przyjechał do mnie właśnie razem z Jackiem Wrońskim – wspomina Leszek Świerszcz, właściciel Cricket Clubu i animator polonijnej sceny kulturalnej Nowego Jorku. – W 1992 roku po raz pierwszy zorganizowaliśmy w Stanach koncert w ramach Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Jacek zarekomendował mi Bogusia jako zdolnego muzyka, który może wystąpić z samą gitarą. Wyszło to świetnie. Oprócz niego zagrała między innymi Urszula ze Staszkiem Zybowskim. Później Bogdan przyjeżdżał do mnie coraz częściej. W weekendy grywał swoje koncerty, a w tygodniu wsłuchiwał się u mnie w klubie, jak grają Amerykanie. Robiło to na nim wrażenie. Pamiętam, że podobał mu się doskonały zespół

Lata 90. Występ w Nowym Jorku

złożony z trzech świetnie śpiewających wokalistów. Na wspólną trasę chciało ich wówczas Bon Jovi. Podczas wielu koncertów staliśmy razem pod sceną i tak sobie wtedy na niego patrzyłem – był strasznie zadowolony, że tutaj jest. Uśmiechnięty od ucha do ucha. Skutecznie się amerykanizował. Odbierał Stany poprzez swoją oczywistą miłość do muzyki. Cieszył się, kiedy mógł kogoś poznać, porozmawiać. Przedstawiałem go moim amerykańskim znajomym, z którymi też zdarzało mu się muzykować. Boguś był przewspaniałym facetem, wszyscy – ze mną na czele – bardzo go lubili.

– Mieszkałem już w Stanach ładnych kilka lat, kiedy zjawił się Boguś – wspomina Marek Piekarczyk, wokalista TSA. – Żyjąc za oceanem, nie kojarzyłem dobrze jego zespołu, ale on sam był już wtedy w Polsce znaną przecież osobą. Tutaj, wśród Polonii, też było o nim coraz głośniej. Występował u Leszka sam na sam z gitarą. Fajne to było. Nie miał co prawda jakiegoś wielkiego głosu, ale i tak wszystkich do siebie przekonywał. Mnie też. Posiadał zresztą tyle pozytywnych fluidów i uśmiechu, że nie dało się go nie polubić. Był człowiekiem, któremu nikt nie zabraniał wchodzić na scenę, ani też – jak się już na niej znalazł – nie wymagano od niego niesamowitych popisów wokalnych. Jak go sobie obserwowałem, to widziałem, że ma w sobie coś z Dylana. Wiadomo, że Dylan to potęga tekstowa i muzyczna, ale kto wie, czy „Łycha" nie byłby teraz w Polsce właśnie kimś takim… Łączyło ich z pewnością to, że obaj nie mieli wybitnych warunków wokalnych, co zupełnie nie przeszkadzało w polubieniu ich piosenek. No i ten wolnościowy przekaz, nonkonformistyczne podejście do życia. Jak się już trochę lepiej poznaliśmy, to odkryłem, że Bogdan jest człowiekiem totalnie bezstresowym. To mu ktoś coś wziął, a to mu ktoś tantiemy podkradł, coś się rozdarło, zgubiło… zupełnie nie wyprowadzało go to z równowagi. W tygodniu zwiedzał miasto. Często też występował w metrze. To była dla niego niesamowita satysfakcja. Cieszył się potem: Słuchaj, uzbierałem dzisiaj trzydzieści dolarów! Nie robił tego dla kasy, ale dla przygody. Tutaj chodziło o przeżycia, a on żyć potrafił. Grał na Brooklynie, w Queens i w różnych dziwnych miejscach. Uradowany jak dzieckO!

– W środowisku krążyły opowieści, że Boguś zapuszcza się w najdziwniejsze dzielnice Nowego Jorku. Choćby w te murzyńskie, niebezpieczne dla białych. Pamiętam historie, jak blady, słowiański Boguś wychodził latem półnagi w tamte rejony i grał na ulicy na gitarze. On miał w sobie taką poezję drogi… Zachodził w różne miejsca i tam dawał upust swojej fantazji. Kochał wolność i czuł się wolny właśnie w Stanach. Był pozytywnym idealistą. To w żadnym wypadku nie był facet, który mógłby pracować w biurze. Wiele osób w tej branży ma tak zwany kompleks Piotrusia Pana, ale Boguś na dodatek go w sobie pielęgnował i skutecznie rozwijał. Chyba dobrze się z tym czuł. Jego życiowy rock'n'roll był taki naturalny

– wspomina Muniek Staszczyk, który wraz z T.Love często zaglądał z koncertami za wielką wodę.

– Kiedyś przeżyłem przez niego chwilę grozy. Po zamknięciu klubu przychodziła ekipa sprzątająca. Mój świętej pamięci brat zostawał wtedy ze mną i pomagał pozamykać lokal. Którejś bardzo ciepłej letniej nocy, wychodząc już, słyszymy jakiś pisk, dziwny dźwięk, którego z niczym nie dało się skojarzyć… Wystraszeni poszliśmy jego tropem, aż tu nagle patrzymy – ukazuje nam się w ciemności pomiędzy domami Boguś w samych slipach, grający na klarnecie – wspomina Leszek Świerszcz.

KUBA WOJEWÓDZKI: *Przyleciałem swego czasu na festiwal polonijny do Chicago, między innymi wraz z Czesławem Niemenem i Lady Pank. Spotykam Bogusia rano na basenie, a on mi jak stary, zadomowiony Amerykanin rzuca zdaniem: A byłeś już w Nowym Jorku? Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie. Odparł: No to ja cię zapraszam tam! Pamiętam, że poczułem się wtedy, jakbym spotkał co najmniej Lou Reeda, który właśnie mówi do mnie: Wpadnij do mnie, będziemy szaleć.*

– Mieszkaliśmy w New Jersey. Boguś przychodził do nas dość regularnie. Szczególnie kiedy chciał pogadać ze Staszkiem, moim mężem. Staszek przez jakiś czas trudnił się szoferką wielkiej limuzyny, więc znał dobrze całe miasto wraz z jego najciekawszymi zakamarkami. Oczywiście na Bogdana bardzo to działało. Miał wiele pytań dotyczących miasta, na które znajdował u nas odpowiedzi. Często przeglądaliśmy razem lokalną prasę w poszukiwaniu ciekawych koncertów. W Nowym Jorku co chwila dzieje się coś ekscytującego. Był tym zachwycony! – wspomina Urszula.

– Jeździłem nawet na róg ulic 178 i Amsterdam Avenue czy do Harlemu, gdzie jest centrum narkotykowe. Raz jakiś gnój celował do mnie z gana i miałem wtedy naprawdę miękkie nogi, ale „job is a job" i nie ma przebacz. Innym razem dzięki tej pracy poznałem Billa Cosby'ego – mówił Staszek Zybowski w 1998 roku w rozmowie dla pisma „Machina".

MAREK PIEKARCZYK: *Pewnego dnia dzwoni do mnie: Słuchaj, może bym do ciebie wpadł? Wytłumaczyłem mu drogę. Jechał z drugiego końca miasta. Miał być na dwudziestą… Jest północ i dzwoni telefon. To Bogdan. Zupełnie spokojnie mówi: Marek, jestem na jakiejś Franklin Avenue, ale to chyba nie tutaj, co? Ponownie mu wytłumaczyłem, co i jak, i ruszył znów w drogę. Druga w nocy, Boguś dzwoni: Słuchaj, Marek, jestem już prawie u ciebie, ale miałem opóźnienie, bo napadł mnie i okradł jakiś gość. Dałem mu wszystko, co miałem, i mnie puścił, ale spokojnie, już prawie jestem u ciebie. O trzeciej w nocy wreszcie dotarł. Nie roztrząsał tego, co go spotkało. Niezbyt też przejmował się czasem, jaki minął od jego pierwszego telefonu, tylko cieszył się, że wreszcie mnie odwiedził.*

– Któregoś razu mieszkaliśmy u Leszka Świerszcza we trójkę. Ja, Boguś i Andrzej Nowak z TSA – wspomina Paweł Mąciwoda. – Pamiętam, że Andrzej z towarzystwa Bogusia nie był zadowolony. Strasznie na niego klął i ciągle przeganiał. Było to dość zabawne, bo Boguś naraził mu się graniem na klarnecie. Nie potrafił się przystosować do zmiany czasu i rano, nie mogąc już spać, wyciągał ten klarnet i grał. Ponieważ Andrzeja to coraz bardziej denerwowało, Boguś szybko przeniósł się na ulicę. Wyglądał zabawnie.

Na klarnecie Bogdan grywał też we wspomnianym metrze.

ANNA ŁYSZKIEWICZ: *Opowiadał mi, że ludzie go zaczepiali i zapraszali do swoich domów, by dawał lekcje gry. Jednej kobiecie*

tak się spodobało, że za lekcje dla swojego syna proponowała mu całkiem poważne pieniądze.

PAWEŁ WALCZAK: *Pamiętam, że jak się któregoś razu spotkaliśmy w Chicago, to powiedział mi, że wziął całą gotówkę z ZAIKS-u i postanowił zwiedzić USA. Przejeździł tam wszystko… Cóż, taki był. Chciał zrealizować swoje marzenia. Czasem ubarwił sylwestra, czasem jakąś akcję charytatywną. On nie latał tam – jak wielu naszych rockmanów – by grać dla rodaków i popić do woli, ale właśnie po to, by poznać kraj i nauczyć się języka. Czuł tam dobrego ducha, a także bliskość Lennona, który przecież przez długi czas mieszkał w Nowym Jorku.*

OLEK KLEPACZ: *Ja go rozumiem. Na co miał pieniądze wydawać? Na tapczan, pralkę, toster? Miał marzenia i one stały u niego pierwsze w kolejce do realizacji. Sam pamiętam, jak zacząłem otrzymywać pierwsze kwoty z ZAIKS-u. Człowiek widzi te pieniądze i myśli: czy one naprawdę mi się należą? Przynosi do domu, kładzie na stole, a wszyscy się temu dziwią. Pamiętam, jak mój tata, dla którego była to często dwumiesięczna pensja, mówił: Co teraz z tym, Olek, zrobisz? Nie zakopię w ogródku, wyremontuję wam łazienkę, bo akurat mam taką ochotę… Podejrzewam, że Boguś miał to samo. Idziesz do ZAIKS-u, pani ci mówi, że jest kwota „x". Dla mnie? Tak, dla pana… Cóż, fajnie! Oczywiście, żeby mieć pieniądze, trzeba to było okupić ciężką pracą, ale powiedzmy sobie szczerze, że nie była to praca górnika czy hutnika… Całe życie mieliśmy wkładane do głowy, że to, co robimy, to jest coś tak nienamacalnego. To była abstrakcja. Produkować popielniczki albo być księdzem – okay, ale grać rock'n'rolla? Jak z tego rodzinę utrzymasz, studia skończ! A my wciąż w dylemacie… Może dzięki temu, kiedy już zaczynało się lepiej powodzić, nikt z nas nie uwierzył w to, że jest wielką gwiazdą.*

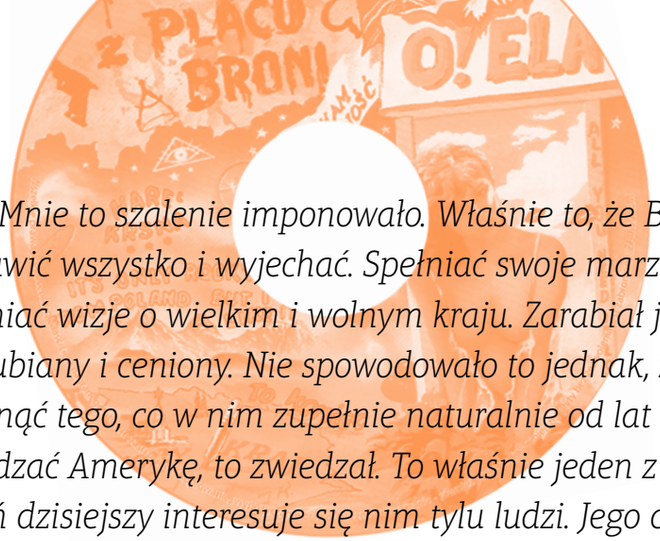

KORA: *Mnie to szalenie imponowało. Właśnie to, że Boguś potrafił zostawić wszystko i wyjechać. Spełniać swoje marzenia i urzeczywistniać wizje o wielkim i wolnym kraju. Zarabiał już tutaj dobrze, był lubiany i ceniony. Nie spowodowało to jednak, że nagle przestał pragnąć tego, co w nim zupełnie naturalnie od lat siedziało. Chciał zwiedzać Amerykę, to zwiedzał. To właśnie jeden z powodów, że po dzień dzisiejszy interesuje się nim tylu ludzi. Jego charakter i ta dzika dusza poszukiwacza. Obok tego nie można przejść obojętnie.*

Bogdan do Stanów wyjeżdżał nie po pieniądze, nie po zarobek, nie po to, by grać za wszelką cenę dla Polonii. Oczywiście to również mu się zdarzało, gdyż na jego muzykę było tam zapotrzebowanie, niemniej jednak nie było to motywem przewodnim. Spotykał się ze znajomymi, z przyjaciółmi. W zaprzyjaźnionych pubach sięgał po gitarę i grał swoje największe przeboje, a także uczestniczył w jam sessions i koncertach innych grup z Polski. Kupował instrumenty i ubrania. Chodził na koncerty – do dzisiaj w rzeczach Bogdana w krakowskim mieszkaniu można znaleźć bilety z występów The Rolling Stones, Oasis, Dylana i wielu innych lubianych przez niego artystów. Klimat Nowego Jorku go fascynował, a jednocześnie pociągało to, co dalej i dalej… W połowie lat dziewięćdziesiątych i pod ich koniec zwiedzał już całe Stany. Z aparatem fotograficznym odwiedzał małe miejscowości gdzieś na południu USA, fotografował ludzi i miejsca, które go zachwyciły. Był na grobie Hendrixa i w domu Presleya. Odwiedził też reaktywowany w 1994 roku festiwal Woodstock. Do Stanów latał z malutką walizeczką podręczną. A dokładnie – starą torbą lekarską, którą bardzo lubił. Zamykaną od góry na dwa zatrzaski.

– Na lotniskach dziwili się, że podróżował tylko z bagażem podręcznym, i to takim lichym. Zawsze mi mówił: Mamo, a co ja mam

O! Ela | Jestem niewolnikiem | 4:41

tam brać? Ciuchy sobie kupię na miejscu, wszystko, czego potrzebuję, tam jest – wspomina Anna Łyszkiewicz.

JUREK OWSIAK: *Miałem z nim spotkanie niesamowite. Właśnie w USA. Pojechaliśmy do Stanów na ten magiczny Woodstock nakręcić materiał filmowy dla Telewizji Polskiej. Sprzedałem samochód, by to sfinansować, i wziąłem ekipę w podróż. To był fajny, kolorowy wyjazd. Byli ze mną Yach Paszkiewicz, Jacek Wroński, Szczepan Witek i kilku innych dobrych znajomych. Naszymi przewodnikami na miejscu była Urszula i Staszek Zybowski. To był mój pierwszy wyjazd za ocean. Dreszcze i te sprawy. Na miejscu dostaliśmy od Leszka Świerszcza samochód. Wielki – taki amerykański. Pozwolił nam go nawet pomalować. Wzięliśmy oczywiście ze sobą flagi Wielkiej Orkiestry. Spore, bo miały wymiary po dziesięć metrów na dwanaście. Oczywiście z pacyfą i serduchem. Wszyscy nas tam widzieli, bo bez problemu łapaliśmy się z nimi w kadry w przekazie telewizyjnym. Strasznie nas to jarało, ta atmosfera i że w ogóle jest nam dane być na tak ważnym festiwalu. Cudowne trzy dni. Pod koniec zgromadziliśmy wokół siebie chyba wszystkich Polaków. Tych, którzy tam mieszkali, tych, którzy mieli zieloną kartę, tych, co nie mieli, a także tych, którzy przyjechali tylko na chwilę. Do tego ten słynny ulewny deszcz, katastrofa meteorologiczna. W pewnym momencie, właśnie po upiornym deszczu i po morderczej walce z nim, chodzeniu i filmowaniu wszystkich i wszystkiego dookoła, wydarzył się jeden z tych momentów, jakie z Woodstock najbardziej pamiętam. Nagle patrzę, a tam w tym półmilionowym tłumie prosto na mnie wychodzi Boguś Łyszkiewicz z tą swoją torbą lekarską w dłoni. Widok – przyznam – niecodzienny, a jednak tak dla niego charakterystyczny. Nie miałem zielonego pojęcia, że jest w Stanach! Mówię: Boguś, co ty tutaj robisz? A on z tym swoim uśmiechem: Przyjechałem na Woodstock! Mówię, że tam przy scenie, po prawej stronie jest nasz samochód. Tylko że nie ma już wolnego identyfikatora, ale jak będzie tam gdzieś, to go wpuścimy, albo się umówmy na konkretną godzinę, to ja go sam wprowadzę. Stary, mamy żarcie, gorzała się skończyła, ale jesteśmy wszyscy razem. To była noc, on w kurtce, okularach – jak to Boguś – cały on. Tak jak stał, tak też poszedł znów w tłum. Jakby był tam przelotem w innych sprawach. Z tą słynną już w pewnych kręgach torbą, gdzie miał wszystko i nic.*

URSZULA: *Spotkanie takiego człowieka, i to jeszcze w takim miejscu, było naprawdę cudownym doświadczeniem. Chociażby dlatego, że Boguś te wszystkie idee związane z festiwalem, jak wolność, swoboda, nieograniczona niczym dusza – właściwie to w swoim życiu na co dzień realizował. Chyba myślami go ściągnęliśmy wtedy do siebie… Zrobiliśmy sobie na pamiątkę wspólne zdjęcie*

Stany Zjednoczone. Woodstock 1994

na tle ludzi i ogromnej błotnej kałuży. Pamiętam, że poważnie się zastanawialiśmy nad tym, żeby się w niej wspólnie wytarzać. Pomysł upadł, zdaje się, tylko dlatego, że naprawdę nie było się gdzie umyć…

Jeżeli wciąż mowa o „abstrakcyjnym żywocie" Bogdana, doskonałym tego przykładem jest historia, jaka przytrafiła się dziennikarzowi radiowej Trójki Arturowi Orzechowi, który z Bogdanem znał się jeszcze z czasów Jarocina. Miało to miejsce już w kraju, w Warszawie.

– Doskonale pamiętam jedną, ale być może symptomatyczną dla jego charakteru sytuację. Miałem już wtedy to szczęście pracować w radiu i mieć swoje autorskie audycje. Do jednej z nich na rozmowę zaprosiłem Bogdana. Umówiliśmy się dosyć sumiennie na konkretny dzień i konkretną godzinę – była to audycja na żywo. Zapowiedziałem już wcześniej na antenie, że naszym gościem będzie Bogdan Łyszkiewicz. On jednak nie stawił się do studia. Trochę byłem wściekły, bo pomyślałem: kolega z dawnych lat jarocińskich powinien przynajmniej zadzwonić i uprzedzić o takiej sytuacji, a nie wystawiać dziennikarza do wiatru. Po audycji, którą jakoś poprowadziłem do końca, zadzwoniłem do niego, a on z taką rozbrajającą szczerością przyznał, że faktycznie był w Warszawie, specjalnie przyjechał do mnie na ten wywiad. Tylko że było tak piękne letnie słońce, była tak wspaniała pogoda, że gdy zmierzał do nas na Myśliwiecką i przechodził koło Dworca Centralnego, uznał, że to świetny moment i świetna pora, żeby… pojechać nad morze. Po prostu wsiadł do pociągu i za cztery godziny wysiadł w Sopocie. Wybaczyłem mu, bo powiedział mi to zupełnie szczerze, nie kłamiąc i nie kręcąc. Uznał widocznie, że jego miejsce właśnie tego dnia jest nad morzem, a nie w dusznej Warszawie.

Bogdan bywał też gościem audycji prowadzonych przez Marka Niedźwieckiego. Ich gospodarz nie przypomina sobie, by Łyszkiewicz na którąkolwiek z nich nie dotarł. Wspomnienia związane z „chłopcem z Placu Broni" – a raczej „chłopcem z Plackiem w Dłoni", jak dowcipnie przechrzcił go Niedźwiecki, zachowały się w jego pamięci całkiem miłe.

MAREK NIEDŹWIECKI: *Jeszcze pod koniec lat osiemdziesiątych poznał nas ze sobą Paweł Sito. Zakomunikował, że zna ciekawego człowieka piszącego fajne utwory. Zapytał mnie też, czy nie chciałbym zaprosić go na antenę. Tak też się stało. Na krótko po tym wydarzeniu piosenka „Aeroplan" zagościła na liście przebojów. Później już spotykaliśmy się wielokrotnie przy okazji wydania kolejnych jego płyt. To był miły człowiek. Trochę nieśmiały – takie odnosiłem wrażenie. Pamiętam, jak opowiadał mi o utrapieniach związanych z popularnością jego „Eli" – utworu wybitnie pastiszowego, a przez fanów potraktowanego bardzo poważnie. Niestety przez osoby nieprzychylne zespołowi też… co tylko wzmagało w nim frustracje, a tym z kolei dawało pożywkę dla żartów. Dla mnie jednak jego najważniejszym utworem na zawsze pozostała „Wolność". Uważam ten utwór za hymn pokolenia doświadczającego przemian politycznych w Polsce końca lat osiemdziesiątych.*

Z radiową Trójką i obecnością na ulicy Myśliwieckiej 3/5/7 wiąże się jeszcze jedna zabawna historia. Tym razem jej niezamierzonym prowokatorem był Kuba Wojewódzki.

– Robiłem fajną audycję w Trójce, taką łobuzerską, rebeliancką. Paru świrom amatorom dano całkiem dobre pasmo. Boguś był w niej częstym gościem. Posiadał umiejętność ciekawego opowiadania o muzyce, dobrze się go słuchało. Cieszyliśmy się, że do nas wpada. Jako młodzi dziennikarze traktowaliśmy artystów jak prawdziwe gwiazdy.

Byłem bardziej dumny z tego, że poznałem Łyszkiewicza czy Budzyńskiego niż Violettę Villas, bo oni byli z mojego kręgu pokoleniowego i ideowego. Miałem starego używanego Escorta. Któregoś dnia wyszliśmy z radia razem i mówię: Boguś, odwiozę cię. Zima wtedy straszna była. Próbuję odpalić auto i nic… Boguś, widząc, co się dzieje, zupełnie o to nieproszony, proponuje: Nie ma problemu, Kuba, ja cię popcham. W tych swoich wielkich kowbojkach, z rozwianym włosem i w lennonowskich okularach… Pomyślałem sobie: kurczę – legenda, gwiazda polskiego rocka pcha mój samochód! Poczułem się błogosławiony. Boguś go tak rozpędził, że grat odpalił.

Choć Bogdan w 1993 roku zaniedbał wyjazdem do USA promocję nowego krążka, to trzeba przyznać, że kiedy już do Polski wrócił, to o sprawy zespołu dbał sumiennie. Chociażby w taki sposób…

JACEK WROŃSKI: *Przechodziliśmy obok Pałacu Kultury, a wtedy był tam jeszcze ogromny jak na samo centrum miasta bazar. Bogdan kątem oka dostrzegł, że na jednym ze straganów ktoś sprzedaje pirackie kasety z jego muzyką. Bardzo się tym faktem wzburzył. Miał pretensje do sprzedawcy, które głośno artykułował: „Jak pan może! To jest kradzież!". Szukał policjanta, by złożyć zawiadomienie. Nikt mu nie chciał pomóc. Na miejscu był jakiś ochroniarz, ale zupełnie niezainteresowany sytuacją. Bogdan był zmartwiony, że ktoś go jawnie okrada. Nie chodziło już nawet o pieniądze, ale o wartość intelektualną. Tylko on wiedział, ile pracy włożył w napisanie piosenek, które zdobyły listy przebojów.*

– Po sukcesie albumu „Kocham Cię" zastanawialiśmy się, co dalej z tym robić. Trzeba było pomyśleć o kolejnym, a w związku z tym, że myślenie szło ciężko, zrodziła się koncepcja, że można by wydać płytę koncertową, dokumentującą akustyczny występ, który Bogdan dał w Łodzi. Widziałem go w telewizji i poprosiłem o taśmę z zapisem dźwiękowym. Był to przyzwoity materiał i fajnie brzmiał. To miało być takie przeczekanie do następnego albumu, a okazało się, że to jedna z lepszych płyt, jakie Bogdan w ogóle nagrał! – uważa Andrzej Paweł Wojciechowski.

Brak chęci zarejestrowania płyty z premierowym materiałem może tłumaczyć jedna z wypowiedzi Bogdana:

– Nie staram się pisać piosenek jakby na siłę, to znaczy dlatego, że wszyscy znajomi i przyjaciele oraz wytwórnia płytowa, branża i tak dalej wypytują mnie o nowe piosenki. Ja nie reaguję na takie pytania niczym innym, jak tylko wzruszeniem ramion. Większość utworów, poza tymi, do których sam nie napisałem tekstów, to piosenki bardzo osobiste. Wręcz komentujące jakieś wydarzenia z mojego życia. Jeżeli są piosenki, to znaczy, że coś się zdarzyło, jeżeli nie ma piosenek, to znaczy, że ma akurat miejsce coś w rodzaju przestoju. Nie w znaczeniu, że życie moje jest beznadziejne, ale że nie zdarzyło się nic tak ważnego , by napisać o tym piosenkę.

Album koncertowy znakomicie wstrzelił się w ówczesną modę, jaka przyszła wprost z MTV. Był rok 1994 i najwięksi artyści na całym świecie nagrywali płyty z cyklu „unplugged", czyli „bez prądu". Zupełnie przypadkowo więc Bogdan „popełnił" płytę jak najbardziej na tamte czasy.

– „Piosenki…" miały być jedną z propozycji na gwiazdkowy prezent. Myślę, że atmosfera tej płyty jest uniwersalna, tzn. mogą jej słuchać ludzie bez względu na wiek. Nie jest to zwyczajna opowieść, łączy bowiem naiwność dziecka z doświadczeniem dojrzałego człowieka. Zawsze było dla mnie bardzo ważne, aby moje piosenki zawierały jak najwięcej ładunków dodatnich, żeby nie było w nich mocy destrukcyjnych, ale moc twórcza. Takie piosenki zagraliśmy na akustycznym koncercie w Łodzi, którego zapis posłużył za materiał na płytę. Program koncertu jest standardowy – taki, jaki gramy

zazwyczaj. Wszystko odbyło się bez szczególnych przygotowań. Po prostu każdy z „chłopców" przyjechał z gitarą akustyczną, na parę godzin przed występem zatrudniliśmy panie skrzypaczki, a ja zasiadłem do fortepianu. Wersje akustyczne nie są dla nas problemem, wszystkie moje piosenki komponuję na gitarze akustycznej lub fortepianie, dopiero później przekładane są na „język elektryczny". Sądzę, że sprawdzianem dla dobrej piosenki jest to, czy da się ją zagrać na gitarze akustycznej – jeśli zrobiło się knota, nic z tego nie wychodzi – mówił Bogdan w rozmowie z dziennikarzem magazynu „Brum", Rafałem Księżykiem.

W wywiadach towarzyszących promocji płyty Bogdan podsumowywał też mijające dwanaście miesięcy.

– Rok ten wykorzystałem na podróże zagraniczne. Oglądałem ogromną ilość różnorakich koncertów. Generalnie był to pewien rodzaj dotlenienia, bo nie można spędzić całego życia w jednym miejscu. Nawet muszę powiedzieć, że kontrprzykładem dla mnie jest tutaj zawsze Immanuel Kant – wybitny filozof, który całe swoje życie spędził w Królewcu. Wytrzymał i jego życie było nawet bardzo twórcze. Okazuje się jednak, że pod koniec swojej ziemskiej wędrówki zwariował. Żeby sobie tego oszczędzić, pojeździłem jednak po świecie. Byłem trochę czasu w Londynie, byłem w Nowym Jorku. Głównie były to podróże muzyczne, nie pojechałem przecież na Haiti czy do Argentyny. Pojechałem, by zobaczyć po prostu „co słychać" i jak to wszystko wygląda. Przekonać się, że nie jestem sam i niektórzy ludzie myślą podobnie jak ja. Mają podobny stosunek do pracy i do grania, że czasem na koncercie wszystko brzmi bez żadnych problemów, a czasem kiepsko… że po prostu cudów nie ma.

JACEK KRÓLIK: *Żeby wykonać koncert unplugged, wszyscy musieliśmy pożyczyć gitary akustyczne. Posiadanie dobrego sprzętu tego rodzaju było wtedy sporym luksusem. Bogdan pożyczył gitarę od Janka Borysewicza, a ja od Jarka Śmietany. Franz nie miał akustycznego basu, więc grał z ukrycia, poza kamerą. Ten zespół nigdy wcześniej nie zrobił nawet jednej próby z akustycznymi wersjami utworów. Po prostu przywieźlismy do Łodzi te pożyczone gitary, po czym odbył się koncert. Miło wspominam to wydarzenie. Jak na stylistykę rockową jest to naprawdę mocno improwizowane dzieło. Bogdan miał niepohamowaną chęć na powtarzanie epilogów. Niby kończyliśmy już grać dany utwór, a on znów zaczynał śpiewać z publicznością refren. Trwało to w nieskończoność, a publiczność bawiła się z nim doskonale.*

Okładkę albumu – jedną z najlepszych, jakie zdobią płyty Bogdana – zaprojektowała Magdalena Bayer, jego przyjaciółka z Sopotu, ówcześnie studentka gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych.

– Poznaliśmy się na wspólnej imprezie. Bogdan miał w sobie wiele z dziecka, a że ja też mam w sobie ten rodzaj fantazji, to i dobrze nam się spędzało razem czas. Pamiętam, że nosił się kolorowo jak na tamte lata. Zawsze był ciekawie i oryginalnie ubrany. Już jego uroda momentalnie wyróżniała go z tłumu. Doskonale się dogadywaliśmy. Ponieważ on interesował się tym, co robię, i podobały mu się moje prace, te bajkowe, więc zaproponował zaprojektowanie okładki do swojej nowej płyty. Zadanie przyjęłam z wielką przyjemnością. Znalazła się na niej w efekcie łódka, Bogdan w niej wraz z gitarą akustyczną, a obok niego dziewczyna z rozwianymi włosami. To wszystko, co tak bardzo lubił.

Po wydaniu „Piosenek" Bogdan grywał zaczął grywać… akustyczne koncerty. Takie, na których pojawiał się sam, tylko z gitarą. Tę formę przyjęły także koncerty promujące najnowszy album. Bogdan wraz z ówczesnym pracownikiem MJM Pawłem „Józkiem" Jóźwickim objeżdżał stacje radiowe w całym kraju, gdzie wykonywał transmitowane w eter solowe koncerty.

– Obie formy występów – zarówno solo, jak i z zespołem – odpowiadają mi tak samo. To, że czasem grywam sam, wynika najczęściej z warunków technicznych. Sam z gitarą jestem w stanie znaleźć się wszędzie i znieść niemal wszystko. W ten sposób zjawiam się przeważnie na większych, zbiorowych imprezach, bo tam – o czym niestety wiem z doświadczenia – dochodzi niekiedy do różnych skandali organizacyjnych, których skutkami nie chciałbym obciążać kolegów z zespołu. A w ogóle moje solowe występy zaczęły się od tego, że zespół nie dojechał kiedyś na koncert. Zagrałem sam i okazało się, że publiczność potrafi mnie zaakceptować, chociaż obawiałem się, iż taka pierwotna forma, sama treść trafia tylko do wtajemniczonych. Wyciągnąłem z tego wniosek, że zespół powinien funkcjonować tylko wtedy, kiedy nagrywa i promuje płyty. Nagrałem już trzy płyty, każdą w innym składzie, i myślę, że przyszedł czas na to, abym mógł popracować samodzielnie, o czym marzę od dawna – zwierzał się na łamach magazynu „Brum".

Grał wtedy naprawdę dużo koncertów. Lubił to, a takie samotne eskapady tylko z gitarą były dla niego okazją do spotkań ze znajomymi, których wszędzie miał sporo. Bogdan cenił wolność. Także tę artystyczną.

Wspomina Henryk Czich z zespołu Universe: – Spotykaliśmy się w tym czasie przy okazji koncertów właściwie w całej Polsce. Po latach znów zaczęliśmy z Mirkiem Bregułą grać nie w duecie, ale z całym zespołem, a on występował wtedy sam. Miało to swój klimat. Uważnie nam się jednak przyglądał. Mówił, że wkrótce powróci do grania w większych składach. To były właśnie rozmowy głównie o muzyce. Wraz z Mirkiem byli przecież wielkimi i zdeklarowanymi fanami Johna Lennona.

Przez lata działalności koncertowej oblicze Chłopców z Placu Broni miało wiele twarzy. Często już w czasie koncertu nie było do końca wiadomo, co za moment się wydarzy.

– Lubiłem koncertować z Bogdanem – wspomina Jerzy Styczyński. – Niejednokrotnie to była jedna wielka improwizacja. Bogdan rozumiał się z publicznością, często więc zmieniał kolejność utworów, by spełnić jej wymagania. Był spontanicznym człowiekiem i takim też frontmanem. Nigdy nie było wiadomo, w jakim kierunku potoczy się koncert.

Marek Zdaniukiewicz, znajomy Bogdana i organizator kilku koncertów Chłopców z Placu Broni: – Nigdy nie zapomnę występu, który Bogdan z zespołem dał w połowie lat dziewięćdziesiątych w Wodzisławiu Śląskim. Widząc, że publiczność zebrana w tamtejszym amfiteatrze nie reaguje dość żywiołowo na jego piosenki, postanowił zaprosić ludzi do siebie na scenę. Publiczność z zaproszenia ochoczo skorzystała i po chwili był tam istny tłum i zaczęła się doskonała zabawa. Ustawiłem się koło Bogdana, by nikt go nie stratował. Nagle patrzymy, a przed nami przechodzi perkusista. Zdziwiliśmy się, bo cały czas było słychać, że ktoś wybija rytm. Patrzymy za siebie, a tam za zestawem zasiadł młody chłopak, może w wieku ucznia szkoły podstawowej.

– Pierwszy i ostatni raz spotkałem Bogdana osobiście w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych – wspomina Marcin Kindla, kompozytor i wokalista. – Wraz z moim ówczesnym zespołem, jako niedoświadczeni jeszcze muzycy pojechaliśmy w środku zimy przez całą Polskę na koncert pod Ostrołękę do wsi Młynarze. Zwabiono nas tam obietnicami, że odbędzie się w tym miejscu wielka impreza na zawodowej scenie, z zawodowym nagłośnieniem, takim też oświetleniem i tłumem ludzi. Fantastyczna sprawa – pomyśleliśmy. Rzeczywistość okazała się zgoła inna, bo po przybyciu na miejsce ujrzeliśmy w szczerym polu starą tancbudę, na dachu której migotał ułożony z kolorowych żarówek napis „Disco Polo Cokta". Zwożono tam w weekendy autokarami na zabawy młodzież z sąsiednich wiosek. Przypuszczam, że Bogdan,

którego tam spotkaliśmy, też był zdrowo zaskoczony, jak dotarł na miejsce i zobaczył, gdzie ma wystąpić. Oprócz nas i Bogdana miał tam również zagrać megagwiazdor disco polo Krzysztof Ścieciuch. Przed samym wyjściem na scenę Bogdan zagadał do nas, bo kręciliśmy się obok niego, że jak chcemy, to możemy zagrać razem z nim. Wyglądało to tak, że zaczynał piosenkę, a my, podpatrując akordy, zaczynaliśmy mu akompaniować. W ten sposób zagraliśmy kilka jego największych hiciorów. Dla mnie była to przygoda życia i pierwszy kontakt z tak ważnym dla polskiej sceny artystą. Wszystko to, co wydarzyło się tamtego dnia: to miejsce, komizm sytuacji i nieoczekiwana propozycja Bogdana, sprawiło, że zapamiętałem ten wieczór na całe życie. Samego Bogdana odebrałem też jako niezwykle pogodnego i przyjaznego człowieka. Zupełnie nie zraził się tym, co zastał na miejscu. Jego obecność na scenie to był wulkan spontaniczności.

Wspominane jest też zdarzenie, gdy na jeden z koncertów, jaki miał się odbyć z całym zespołem, nie dojechał nikt z muzyków, poza samym Bogdanem. Ten najpierw w ramach przeprosin postawił każdemu z fanów po piwie, a następnie odegrał solowy koncert z akompaniamentem gitary. Innym razem w sali, gdzie miał się odbyć występ, zabrakło prądu. Kiedy organizatorzy już mieli odwoływać występ, Bogdan poprosił o rozstawienie świec i odegrał autorski recital – śmiejąc się i dyskutując pomiędzy poszczególnymi utworami z liczną publicznością. Z czasem więc formuła zespołu się zacierała. „Chłopcy z Placu Broni" to przede wszystkim Bogdan – lider i kompozytor całości materiału. W zależności od sytuacji – czy to nagrań na płytę, czy większych koncertów, dobierał sobie muzyków. Najwierniejszym kompanem był jedynie Franz, który równolegle angażował się też w wiele innych projektów. Między innymi wciąż prowadził Pudelsów.

Przerwa na posiłek

BOGDAN: *Nie chcę mieć stałego zespołu. Kiedyś chciałem… Taki zespół oznacza niewolę. Działalność, jaką prowadzę, to kompletna wolność. Mogę robić to, na co mam ochotę. Nikt nie może mnie do niczego nakłaniać. Nie ma takiej presji, że robię coś razem z kimś i w związku z tym jesteśmy przywiązani do siebie łańcuchami. Mogę jutro wsiąść do pociągu i pojechać na drugi koniec świata, nikomu nie robiąc krzywdy.*

W połowie lat dziewięćdziesiątych Bogdan nie mógł usiedzieć na miejscu. To fakt. Nie mógł też wysiedzieć w rodzinnym Krakowie. Już w 1992 roku zaczął pomieszkiwać w Sopocie, dokąd co jakiś czas powracał. To miasto stało się z czasem jego drugim, po Krakowie, domem.

JAREK KISIŃSKI: *Kiedyś mi powiedział, że on musi mieszkać w mieście, gdzie jest dostęp do morza, do wody. Dało tutaj znać jego zamiłowanie do przestrzeni i wolności.*

– Sopot jest jedynym miastem w Polsce, w którym mogę wytrzymać. Ze względu na morze i na to, że mieszkam w lesie. Ptaki śpiewają, gdy się budzę… Mam tu więcej tlenu i przestrzeni. Mieszkam tu, by nie spotykać tych samych ludzi, nie palić z nimi jointów, nie pić alkoholu. Bo w Krakowie na każdym rogu spotykałem znajomych, którzy to właśnie robili od lat. Kraków jest supermiastem, najpiękniejszym w Polsce, ale jeśli się w nim mieszka wiele lat, to może być nudne, a czasami nawet niebezpieczne… – to z kolei wypowiedź dla magazynu „Tylko Rock".

– Osiecka też miała okres sopocki. Artysta potrzebuje czasem zmienić miejsce. Życie nierealne. Fakt oczekiwania na coś, co się zdarzy. Sopot miał mu właśnie dostarczyć pewnie nowych wrażeń – ocenia Olek Klepacz.

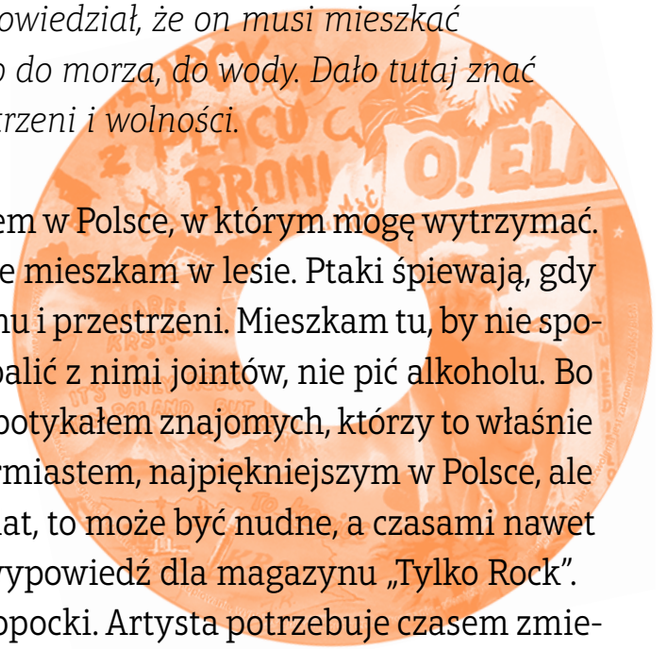

O! Ela | *Nasz nowy hymn* | *3:42*

Bogdan zamieszkał więc nad Bałtykiem. Wynajął mieszkanie. Wielu się dziwiło, że po takich sukcesach, jakie w ostatnich latach stały się jego udziałem, nie chciał być bliżej, jeżeli już nie Krakowa, to chociażby Warszawy. Miejsc, gdzie mają swoje siedziby koncerny płytowe i agencje koncertowe. Choć gdziekolwiek akurat przebywał czy mieszkał – zawsze o Krakowie pamiętał.

– Z Krakowa nie wyprowadzę się nigdy, dosłownie. Nawet gdy będę mieszkał w innym mieście, to zawsze będę o Krakowie myślał. W zasadzie od chwili, gdy pojawiłem się pierwszy raz w życiu w Warszawie, to jestem tam zawsze, mam tam mnóstwo przyjaciół. Mam też kawałek swojego życia w Trójmieście i w zasadzie wszędzie w Polsce znalazłoby się miejsce, z którym jestem związany, a im więcej lat mija, tym bardziej. Natomiast nie mogę (i nie chcę) zmienić tego, że urodziłem się w Krakowie. Tam moje serce bije najmocniej. Choć nie wiem, czy warto się tak przywiązywać. Chcąc nie chcąc, jestem przywiązany do Krakowa emocjonalnie. To chyba jest zupełnie naturalne. Myślę, że Kraków jest, obiektywnie rzecz biorąc, fajnym miastem. Mieszkam w Krakowie, ale to nie jest tak, że będę tam mieszkał na sto procent zawsze. Ciągle się gdzieś przeprowadzam, ciągle zmieniam miejsce. Nigdy nie miałem rodziny – takiej, którą bym założył sam. W związku z tym nie było takiej konieczności. Wydaje mi się, że człowiek żyjący w taki sposób jak ja nie musi po prostu być w jednym miejscu stale. Zupełnie naturalnie. Przede wszystkim jestem muzykiem, jestem osobą, która podróżuje jakby z założenia, a ponieważ podróże bywają nałogiem i mogą być nałogiem, to w moim przypadku tak właśnie jest. Nawet gdy nie gramy koncertów, to ja i tak wolny czas spędzam na jakichś podróżach. Nie wiem, może dwa tygodnie jestem w stanie wytrzymać gdzieś w jednym miejscu. Już po miesiącu źle się czuję – mówił na antenie Radia Lublin.

MAREK SIEROCKI: *Spaceruję sobie swego czasu w okolicy Monciaka, patrzę – a tutaj Boguś! Co za spotkanie! Usiedliśmy na kawie, pogadaliśmy. Nie miałem pojęcia, że się sprowadził nad morze. Byłem tym zdrowo zaskoczony. – Marek, wcale tutaj nie są takie drogie mieszkania… Da się tanio wynająć – tłumaczył. Świetnie go rozumiałem, bo ja też uwielbiam to miasto. Widać było, że dobrze się w Sopocie czuł.*

– Miał tam faktycznie ładne mieszkanie. Jak wyjechał na jakiś czas do Londynu, to mieszkaliśmy u Bogusia razem z mężem. Nie dziwię się, że tam się przeniósł. Był zmęczony Krakowem. Może nie jako miejscem, bo kochał to miasto, ale właśnie ludźmi. Nie, by kogoś znielubił, ale wyjechał po to, by pooddychać inną atmosferą – mówi Anna Łyszkiewicz.

W pewnym momencie zaczął krążyć pomiędzy Sopotem, Krakowem i Warszawą. Wspomnienia związane z pomieszkiwaniem Bogdana w różnych miejscach zachował Piotr Morawiec, gitarzysta zespołu Kult:

– Któregoś razu Bogdan wrócił z USA i niemiło się zdziwił. Okazało się, że mieszkanie, które wówczas wynajmował nad morzem, zostało pod jego nieobecność poddane remontowi. Wszystkie rzeczy, jakie miał, zostały zabrudzone białym pyłem. Już wcześniej nosił się z zamiarem kolejnej zmiany miejsca pobytu, więc na pewno to wydarzenie mu w tej decyzji pomogło. Padło na Warszawę, a że miałem wolne mieszkanie na mieście, to mu je zaproponowałem. Pamiętam, jak przyjechał ciężarowym starem do stolicy z całym dobytkiem. Faktycznie wszystko było zabrudzone po tym remoncie. Jedynie futerał od gitary był czysty, na co momentalnie zwróciłem uwagę. Pamiętam też, że jego sąsiedzi na początku byli trochę wystraszeni, że ktoś chodzi

Sopot. Początek prac nad płytą *Uśmiechnij się*

w nocy w kowbojkach po klatce i ciągle gra na gitarze, co niosło się po całym budynku.

– Bogdan miał wrodzoną nie tylko ciekawość świata, ale i Polski. Często zmieniał miejsca zamieszkania. Mieszkając w Sopocie, nagrał sobie powitanie na sekretarce. Aby go wysłuchać w całości, trzeba było się do tego dobrze przygotować. „Dodzwoniłeś się do centrum walki o pokój. Przyjacielu, zrelaksuj się…" – i taka naprawdę długa pogadanka, której chcąc zostawić wiadomość, trzeba było wysłuchać. Dzwoniącym niejednokrotnie brakowało impulsów na karcie telefonicznej, a jeszcze nie zdążyli mu przekazać informacji, bo nadal grała muzyka poważna, tymczasem nagrany „Łyżka" coś od czasu do czasu deklamował. Można się domyślać, że osoby, które dotrwały do końca pacyfistycznej prelekcji, zostawiały mocno sensacyjne wiadomości. Czasem zabawne, choć często pełne irytacji – wspomina Jacek Królik.

Bogdan zawiązał przyjaźnie z trójmiejskimi muzykami. Między innymi z Adamem Wolskim, wokalistą Golden Life.

– Żył zgodnie z rytmem swoich marzeń. Miał serce na dłoni. Ja go za to bardzo ceniłem. Wiedziałem, że jak coś mówi, to jest to bardzo szczere, nigdy nie było to podszyte żadną obłudą. Dlatego pewnie świetnie się nam rozmawiało, spędziliśmy kupę wspólnych chwil na przeróżnych imprezach. Od „pokoncertowych", poprzez różne inne, a skończywszy w jego mieszkaniu w Sopocie. Imprezy do białego rana. Można z nim było rozmawiać godzinami. Zawsze miał dużo do powiedzenia i – co najważniejsze – mówił mądrze. Jego sposób konstruowania zdań i celność wypowiedzi były niezwykłe. Był inteligentnym facetem, myślę, że gdyby nie został muzykiem, mógłby spokojnie zająć się czymkolwiek, wystarczy, żeby o tym poczytał i złapał bakcyla. Mieszkając w Sopocie, pracował nad muzyką, grał i tworzył. Nie przyjechał bynajmniej, by chodzić po plaży i zbierać opaleniznę. Cały czas przecież żył z muzyki.

PAWEŁ SITO: *On był strasznie mobilny. Brał torbę i mówił: teraz mieszkam w Sopocie albo w Warszawie, albo… jadę do Stanów.*

Zawiązał znajomość z Maciejem Łyszkiewiczem, liderem trójmiejskiego zespołu No Limits, kompozytorem, instrumentalistą i producentem muzycznym.

– Poznaliśmy się jeszcze zanim Bogdan zamieszkał w mojej okolicy. Na początku lat dziewięćdziesiątych spotkaliśmy się w Warszawie podczas nagrania audycji radiowej u Bożeny Sitek i Pawła Sito. Potem udaliśmy się do knajpki, gdzie usiedliśmy przy lampce wina. Lubiliśmy filmy Barei i dyskusje o nich zajęły nam najwięcej czasu. Doszliśmy też do wspólnego przekonania, że jesteśmy pewnie jakąś dalszą rodziną i zbieżność nazwisk nie może być przypadkowa. Wymieniliśmy się numerami telefonów i taką formę – właśnie telefoniczną – miał nasz późniejszy kontakt. Do czasu, aż kilka lat po tym wydarzeniu Bogdan zameldował się w Trójmieście. Spotykaliśmy się na imprezach u wspólnych znajomych. Zdarzały się też kolacje w restauracjach przy plaży. Wyjeżdżał stąd na koncerty, często też zaglądał do rodzinnego Krakowa. Pamiętam, że zdarzyło nam się też wspólne muzykowanie, kiedy na urodzinach u kolegi zagraliśmy minirecital. Moje urodziny też uświetnił swoją obecnością. Szybko zaprzyjaźnił się z moimi rodzicami. Ojciec był marynarzem, więc wielokrotnie rozmawiali o rejsach. Tak się tym zaraził, że w końcu popłynął statkiem handlowym do Wielkiej Brytanii, by zwiedzić Londyn. Lubił podróże. Opowiadał o Stanach. Trochę tej Ameryki przeszczepił też na nasz lokalny grunt, chociażby kupując od jednego z sąsiadów naszych dziadków – kapitana żeglugi, piękny amerykański wóz. Ubierał się też po amerykańsku. Wysokie buty, fantazyjne koszule. Zdarzało się, że wzbudzał szok swoim strojem. W restauracjach na jego widok ludziom widelce wypadały z rąk. Pamiętam, gdy któregoś razu znów przyjechał do Sopotu, a ja

odbierałem go z dworca – wysiadł w kowbojkach z pociągu. Wiele osób stojących na peronie oglądało się za nim. Często sprawiał wrażenie człowieka z innej epoki, nie z tego momentu i miejsca… Wczesny kapitalizm, a on taki niepoprawny romantyk. Miłość, wolność, swoboda, nieograniczenie – to był on.

Zbieżność nazwisk rzeczywiście okazała się nieprzypadkowa:

– Nasi ojcowie zdzwonili się któregoś razu. Boguś wymienił ich numerami telefonów. Dowiedział się od mojego taty, że mamy przodków na Kresach i przekazał tę informację do Krakowa. Panowie ucięli sobie sympatyczną pogawędkę i doszli do wspólnego wniosku, że jednak najprawdopodobniej mieliśmy wspólnego przodka. Wiele faktów na to wskazywało. Ten sam teren, ten sam czas. Od tamtej pory traktowałem Bogdana jak kuzyna.

Bartek Witucki również zapamiętał wiele wspólnych spotkań, które miały miejsce w Trójmieście.

– Po zakończeniu Festiwalu Filmowego w Gdyni doszło do fantastycznej imprezy w moim mieszkaniu. Wzięli w niej udział między innymi Edward Żentara, Zygmunt Konieczny, Marek Piwowski, bliska przyjaciółka Jana Garbarka i właśnie Boguś. Towarzystwo niesamowite. Spędziliśmy w tym gronie całą noc, a spotkanie zakończyliśmy wspólnym porannym spacerem po plaży. W tym czasie zawiązało się we wspomnianym gronie ciekawe trio: Łyszkiewicz, Konieczny i Żentara. Panowie muzycy zaplanowali sobie stworzenie rock-opery, w której miał zagrać właśnie Żentara. Przysłuchiwałem się ich rozmowie – szczególnie tej, którą prowadził Bogdan z Zygmuntem Koniecznym. Byłem zaskoczony, że rozmawiają jak równy z równym o muzyce poważnej, o kompozytorach. Później przypomniałem sobie, że Bogdan przecież miał za sobą naukę w szkole muzycznej… Od tego momentu miałem do niego jeszcze większy szacunek jako do muzyka.

Długoletnią przyjaźń Bogdan zawiązał z Jarkiem Klikiem – dziennikarzem radiowym, a przez pewien czas partnerem znanej z popularnego w latach dziewięćdziesiątych programu telewizyjnego „Lalamido” Wiesi Warszawskiej.

– Któregoś dnia pojawił się u nas w domu. Przyprowadziła go Wiesia. Nie było wtedy trzydziestu stacji telewizyjnych i tyleż samo radiowych. Raptem kilka programów, w tym „Muzyczna Jedynka”, więc nie można było nie znać Bogdana Łyszkiewicza. Szybko się zaprzyjaźniliśmy. Z miejsca właściwie. Mam coś takiego w sobie, że wyczuwam aurę drugiego człowieka i albo od razu kogoś akceptuję, albo nic z tego nie wynika. Z czasem rozstałem się z Wiesią, a przyjaźń z Bogdanem przetrwała. To był ciekawy okres w moim życiu. Wszystko kręciło się wtedy wokół mojego również specyficznego podejścia do życia i poszukiwania swojego miejsca – najpierw teatr, później radio, na koniec własna agencja reklamowa. W tym wszystkim był Bogdan, na każdym etapie. Łączyła nas wręcz rodzinna relacja. Co ciekawe, on się rzadko zapowiadał. Miał swoje klucze do moich mieszkań i po prostu przyjeżdżał. Ja też jestem człowiekiem, który ma sporą potrzebę wolności i niezależności. On to wyczuł. Nigdy niczego nie narzucał. Bo to w ogóle był fajny człowiek. Miał wiele prawdy w sobie. Jeżeli jesteś w miarę inteligentnym człowiekiem, to rozpoznasz to w drugiej osobie. Jestem przekonany, że on zawsze był prawdziwy. W stosunku do ludzi, muzyki, znajomych. Był dziwakiem, owszem. Miał swoje ścieżki. Potrafił wstać rano i zanim się wszyscy pobudzą, wyjść z domu. Znajdywaliśmy go wtedy zwykle nad morzem. Albo tak zwyczajne sytuacje, jak wtedy, gdy zabrakło mu pianki do golenia. Mimo że ja ją miałem i mógł jej użyć, on wychodził nad ranem po cichu, by kupić swoją. Nie dlatego, że nie mógł jej wziąć, wiedział, że nawet bym się nie odezwał. Ale to też był pewien rodzaj jego niezależności, którą pielęgnował. Mam określone grono osób, które mogę nazwać

przyjaciółmi. On był dla mnie właśnie kimś takim. Nawet bratem, bym powiedział, bo budziła się między nami przyjaźń braterska. Był dla mnie najważniejszym człowiekiem, jakiego poznałem. Jego przyjazdy to zawsze był dla mnie relaks. Dużo chodziliśmy po mieście. On praktycznie był skupiony na morzu. Miał u mnie przystań, ale wypływał… Pod jakimkolwiek pretekstem wyruszaliśmy na plażę. Potrafił iść wolno, a jak się rozgadał i zapomniał – momentalnie przyspieszał. Zostawałem daleko w tyle, czego nawet nie zauważał. Rozśmieszał mnie tym. Uważam się za człowieka, który ma duże poczucie humoru sytuacyjnego, ale on był w tym wprost doskonały. Pamiętam, jak jadąc w windzie, przeglądał się w lustrze i stroił sam do siebie miny. Dorosły facet, a miał taką fantazję. Miał też swoje przyzwyczajenia. Chociażby to, że zawsze musiał mieć ze sobą najnowsze „Wprost". Nauczył mnie czytać tę gazetę. Ile razy się u mnie pojawiał, zawsze miał w torbie najnowszy numer. Dzięki temu, że zjawił się któregoś dnia w Sopocie, zyskałem prawdziwego przyjaciela. On wybierał sobie na przestrzeni swojego życia jakieś miejsca, a później był im wierny.

– To był fajny czas i ciekawy desant – mówi Piotr Drzazgowski, dziennikarz. – Mniej więcej w tym samym czasie zjawili się w Sopocie Bogdan Łyszkiewicz i Tomek Lipiński. Wspólne imprezki, kontakty. Wiele wspaniałych chwil, których człowiek nigdy nie zapomni. To małe miasteczko, pomimo tylu oczywistych atrakcji, zyskało kolejne. Było w tym ich pomieszkiwaniu tutaj coś niezwykłego. Szybko wpasowali się w grono naszych znajomych. Byliśmy stałymi bywalcami w Spatifie. Prowadziliśmy zarówno długie metafizyczne rozmowy, jak i zaliczaliśmy spontaniczne, szalone imprezy. Widywałem go później jeszcze wiele razy w różnych miejscach w kraju, ale to w Sopocie – poza rodzinnym Krakowem – wydawał się najszczęśliwszy. Pamiętam, że kiedy wyprowadziłem się do stolicy, gdzie dostałem propozycję pracy, to wielokrotnie zastanawiałem się nawet, co się z Bogusiem dzieje, bo to taki ciekawy człowiek był, że często wracało się wspomnieniem do wspólnych sopockich chwil. Mieszkałem wtedy w centrum Warszawy, schodzę przed klatkę, a tutaj… Boguś okupuje automat telefoniczny. Stoi i gdzieś wydzwania. Nie wierzę własnym oczom. Okazało się, że był w tym czasie w związku z moją sąsiadką, dziennikarką telewizyjną. Miał akurat problem. Była jesień, za oknami coraz chłodniej, a on szukał kogoś z kluczem francuskim, kto przywróci im ogrzewanie w kaloryferach. Bo trzeba wiedzieć, że Bogdan był takim typem, który nie za bardzo radził sobie z typowo męskimi zajęciami. Nie miał do tego wyobraźni. Przybić coś czy dokręcić – to nie była jego domena. Dodawało mu to jednak uroku.

TOMEK LIPIŃSKI: *Zarówno on, jak i ja odkryliśmy w którymś momencie Sopot dla siebie. Zafascynował nas. Ja przeżyłem to po raz pierwszy w latach sześćdziesiątych, będąc jeszcze dzieckiem. Wychowałem się w zbiurokratyzowanej Warszawie, a Sopot dał mi ożywczy podmuch morskiej bryzy. Był kolorowy, pełen hipisów. Całkowicie inny niż wszystkie dotychczas znane mi miejsca. Mam zresztą swoją prywatną wizję – fantastyczną, w której Sopot jest księstwem, jak Monaco czy Liechtenstein. Ograniczony z jednej strony zatoką, z drugiej Gdynią i Gdańskiem. Zamknięty, nie może się rozrastać. Przez to uroczy. Ponad połowę jego powierzchni zajmuje las. Nie park, ale prawdziwy las, w którym są sarny, dziki i jagody. Jest magicznym miejscem, które powstało ponad sto lat temu jako skrzyżowanie uzdrowiska, burdelu i kasyna. Taką ma historię i już to nadaje mu niezwykły klimat. To nie przypadek, że zakochują się w nim artyści: Osiecka, Kobiela, Cybulski, Polański… Ja sam, do dzisiaj, z każdą moją wizytą tam zakochuję się w Sopocie na nowo. W jego niezwykłej architekturze – domów, wieżyczek, ulic. Człowiek może wybrać się na plażę czy na skraj*

mola, uruchomić wyobraźnię i tym samym zostawić za sobą wszystkie te rzeczy, które jeszcze przed momentem były tak ciężkie, istotne i determinujące. Tutaj nagle tracą ważność. Człowiek widzi te punkciki statków na horyzoncie, nad nimi mewy i rybitwy. Z jednej strony można się tutaj fenomenalnie bawić, a z drugiej – spacerować wspomnianymi lasami i nie spotkać człowieka.

Nieskrywaną sympatię Bogdana do Sopotu wspomina też Robert Gawliński:

– Pamiętam nasze rozmowy z tamtego czasu. Chwalił sobie to miejsce. Wielokrotnie powtarzał, że dobrze mu się tutaj żyje. Zapraszał nas zresztą do siebie. Zapewniał, że znajdzie jakieś lokum dla mnie, mojej żony Moniki i dzieci.

– On pokochał morze – ocenia Jarek Klik. – Ja nie mam takiej miłości do morza, jaką on miał. Może dlatego, że tutaj mieszkam, że mam do niego tak blisko. Dla niego ta przestrzeń, to poczucie bezkresnej wolności to było coś niezwykle ważnego. Ciągnęło go tutaj. Potrafił przyjechać z Krakowa późno wieczorem i już wiedziałem, że nie obędzie się bez spaceru do Kamiennego Potoku. Nawet nie starałem się dyskutować, tylko się ubierałem i szliśmy. Kupowaliśmy coś do jedzenia i szliśmy nad brzeg, kończąc w Sfinksie lub Spatifie. Cieszyłem się, kiedy jego wizyty nie kończyły się po dwóch dniach, ale trwały na przykład po kilka czy kilkanaście tygodni.

– Miał tutaj też swoje miłości. Właściwie to nie pamiętam Bogdana, by nie był akurat w kimś szaleńczo zakochany. Albo był w jakimś związku, albo właśnie miał kogoś „na widelcu" – dodaje Piotr Drzazgowski.

JAREK KLIK: *To prawda. Jak zobaczył kogoś, kto mu się spodobał, można było to po nim poznać, bo zaraz zaczynał poprawiać włosy i często, niby przypadkiem, spoglądać w stronę aktualnego obiektu westchnień. Problem bywał tylko z tego powodu, że często kochał się w dziewczynach swoich kumpli. Dopytywał się nie tylko o nie, ale też o ich facetów: Jarek, a ten koleś to kto to jest? Chciał wiedzieć, z kim ewentualnie przyjdzie mu stoczyć bój. Rycerz taki z niego był.*

– Siedzieliśmy kiedyś we dwójkę w Spatifie i w pewnym momencie mówi: Wiesz, dzwoniła do mnie mama i była taka zaniepokojona. Ostrzegała mnie – Bogdan, ty uważaj na te dziewczyny, bo im tylko o jedno chodzi. Wiesz – mówił dalej rozbawiony – nie mogłem jej o tym powiedzieć, ale mi się właśnie to w nich podoba. Był miłośnikiem kobiet. Nie traktował ich jednak instrumentalnie. Zawsze zakochany i zawsze z nadzieją na wielką miłość – mówi Tomek Lipiński.

JERZY OWSIAK: *Było to latem 1995 roku. Dostałem Bursztynowego Słowika za moje audycje radiowe i program „Róbta co chceta". Tak na marginesie to „słowik" był kiepsko wykonany, bo się rozpadł w chwilę po wręczeniu. Impreza odbywała się w sopockiej Operze Leśnej. Zaprosiłem Bogusia do hotelu, gdzie mieszkałem z żoną i córką. Wjechaliśmy na górę. Mówię: Patrz, Ola, Boguś Łyszkiewicz. Ucieszyła się, bo zobaczyła znanego artystę. Opowiadał mi o tym mieście, że jest szczęśliwy i dobrze mu się tutaj mieszka.*

Właśnie w Sopocie w 1995 roku Bogdan rozpoczął pracę nad kolejną płytą. „Uśmiechnij się", bo tak została przez niego nazwana, to manifestacja radości i pogodnego spojrzenia na rzeczywistość. Jej przesłanie najlepiej oddają słowa tytułowego utworu: „Uśmiechnij się, życie nie jest twoim wrogiem, uśmiechnij się, opanuj gniew w sobie, tak naprawdę potrzeba nam tylko siebie nawzajem". Płyta została wydana w firmie KOCH. O związaniu się umową z MJM nie było już

mowy. Obie strony nie za bardzo zresztą jej chciały… Bogdan ku zdumieniu Andrzeja Pawła Wojciechowskiego otwarcie skonfliktował się z MJM, oskarżając firmę o nieuszanowanie jego praw autorskich do utworu „Kochaj", który z własnym tekstem zamieścił na swojej płycie Kostek Yoriadis. O sprawie zaczęły pisać gazety, a całość o mało się skończyła się w sądzie. Trzeba więc było poszukać nowego wydawcy. Dotychczasowy kontrakt z MJM wkrótce wygasał.

– Śledziłem jego twórczość. Pracując w Polsce od roku dziewięćdziesiątego, nie można było nie znać postaci Bogdana Łyszkiewicza. Ale ja do tej pory nie miałem z nim bezpośredniego kontaktu. Któregoś dnia zgłosił się jednak do mnie poprzez naszego wspólnego znajomego. Pierwsze spotkanie odbyło się w Sopocie. Pochodziliśmy po mieście, usiedliśmy na ławce, porozmawialiśmy o różnych rzeczach, po czym wróciłem do Warszawy. Było to więc spotkanie czysto zapoznawcze. Poruszaliśmy luźne tematy. Pamiętam, że Bogdan opowiadał mi, co mu się podoba w muzyce, choć nie było trudno zgadnąć, co go pasjonowało. Przecież wyglądał jak John Lennon. Dla mnie tak naprawdę było to ciężkie spotkanie, bo zdawałem sobie sprawę, że jest jeszcze związany kontraktem. On jednak dość przekonująco umotywował mi swoje odejście od poprzedniego wydawcy – wspomina Andreas Schubert, właściciel firmy KOCH Music.

W efekcie w krótkim czasie Bogdan złożył swój podpis pod kontraktem z KOCH-em. Z rzeczy pozamuzycznych warta odnotowania jest jeszcze wypowiedź Bogdana z okresu, kiedy zachłysnąwszy się jodem, pisał nie tylko nowe utwory, ale i…

– Któregoś dnia obudziłem się i napisałem bajkę. Obudziłem się z taką myślą: „Dawno, dawno temu…". Napisałem jedną, potem drugą, w sumie może pięć. Na motywach tego nastroju pomyślałem, że właśnie w takiej atmosferze przedstawię swój kolejny pomysł publiczności.

Bajkowy klimat nie towarzyszył może ze wszech miar kolejnej płycie, niemniej jednak w twórczości Bogdana zawsze odnaleźć można namiastkę pewnej nieziemskości i bujania w obłokach. Jeżeli o to chodziło autorowi powyższych słów, to koncepcja mogła się udać. Na „Uśmiechnij się" jest dużo miłości, dużo Lennona, jeszcze więcej wspomnianego optymizmu i pozytywnego przesłania. Sopocki epizod został też uwieczniony na okładce płyty, gdyż widnieje na niej Bogdan sfotografowany na słynnym molo, wpatrzony w dal, w horyzont. Zwraca uwagę jego srebrny garnitur.

– Przez pewien czas miałem ksywę „silver" z powodu tego garnituru – mówił z uśmiechem. – Kiedyś byłem na pokazie mody. Widziałem modelki w takich srebrnych rzeczach i strasznie mi się to spodobało. Błyszczące stroje to części rock'n'rollowej zabawy, cały glam rock się na tym opierał. I zażyczyłem sobie, żeby mi taki garnitur uszyto. Ale wcale nie miałem zamiaru wystąpić na okładce płyty na srebrno. Ustaliłem wcześniej, że zdjęcia będą na plaży, o wschodzie słońca. Przyszła do mnie dziewczyna, która miała mnie fotografować, otworzyłem szafę i sama mi ten garnitur wybrała. Pomyślałem, że będzie to dobry efekt.

„Uśmiechnij się" jest też pierwszą płytą, na której Bogdan w pełni wykorzystał swoje muzyczne wykształcenie. W kilku utworach towarzyszy mu kwartet smyczkowy.

– Nareszcie moja własna mobilizacja i wszelkie inne warunki pozwoliły, abym przybliżył się do ideału brzmienia, jaki noszę w sobie od lat. To było najważniejsze podczas tej sesji. Płyty nagranej w taki sposób nigdy w Polsce nie było. Po prostu nikt nie ma takiego podejścia do dźwięku, jakie słychać na „Uśmiechnij się". To starodawna szkoła grania z lat sześćdziesiątych. Dwie gitary, bas, bębny – a więc większą część muzyki nagrywaliśmy na żywo. Bazą są dwie akustyczne gitary Martin, po jednej w każdym kanale. Kocham ich brzmienie. Wszystkie podkłady nagrywane są „na czysto".

Nad polskim morzem

Na tym tle pojawia się gitara Rickenbacker, grając proste melodie. Cała ta koncepcja inspirowana jest wczesnym beatlesowskim graniem. Podczas przygotowywania tego materiału inspirował mnie również świat muzyki country. (…) W moim odczuciu to najlepszy album, jaki zrobiłem. To bardzo osobista płyta. Moja odpowiedź na dotyczące jej zarzuty może poprzestać na słowach Nietzschego: „Taki jestem. Taki chcę być. A innych niech diabli wezmą" – mówił w wywiadzie udzielonym Rafałowi Księżykowi.

Sprzęt, o którym Bogdan wspomniał, to efekt jego zaoceanicznych zakupów, które miały miejsce podczas kolejnego wyjazdu do USA.

BOGDAN: *Wzmacniacz VOX to oryginał z 1963 roku. Ten sam model AC30 wyprodukowany w 1994 roku brzmi już niestety inaczej. Odnalezienie takiego archaicznego urządzenia zajęło mi w Nowym Jorku wiele tygodni żmudnych poszukiwań. Gitara Rickenbacker to ten sam słynny model, na którym John Lennon nagrywał między innymi „Can't buy my love". Niestety, odnalezienie oryginału z lat sześćdziesiątych okazało się niemożliwe. Wprawdzie dotarłem do człowieka w Chicago, który posiada jeden z istniejących modeli z wczesnych lat sześćdziesiątych, ale nie był zainteresowany sprzedażą. Czasem mam wrażenie, że jestem kolekcjonerem hobbystą i wykonawcą muzyki ars antiqua.*

– Niewielu ma ten styl i pozwala sobie na granie na takim sprzęcie. Choć z Bogusiem spotkaliśmy się właściwie tylko raz, w stołecznej Sali Kongresowej, przy okazji koncertu poświęconego pamięci Krzysztofa Klenczona, to nasze spotkanie miało podtekst właśnie gitarowy. Bogdan podszedł do mnie, bo wcześniej przyuważył, że mam bas Rickenbackera. Sam też używał sprzętu tej legendarnej marki. Pamiętam, że na powitanie rzucił hasło „No, dobrze, że ktoś jeszcze na tym gra!" – wspomina Marcin Ciurapiński z zespołu Big Day, także entuzjasta marki VOX i Rickenbacker.

Osoby zaangażowane w sesję do płyty „Uśmiechnij się" wspominają ją dzisiaj jako dość oryginalną. Sporo nerwów stracił przy niej realizujący płytę Rafał Paczkowski, którego cierpliwość Bogdan wielokrotnie wystawiał na potężne próby. Ponieważ uparł się, że większość partii instrumentów klawiszowych ma być nagrana na żywym instrumencie, zażyczył sobie do studia dobrej klasy Steinwaya. Podobno fortepian wciągano na linach i wnoszono do pomieszczenia przez okno. W międzyczasie instrument ulegał rozstrojeniu, przez co nie pasował Bogdanowi. Szybko znajdywał też inne wady. Konieczne było sprowadzenie kolejnego i tak w koło Macieju. Był też problem z zestrojeniem ze sobą przywiezionych przez Bogdana z USA gitar. Skończyło się na tym, że czekano na specjalne struny, które zamówiono w Londynie.

– To nie był sprzęt dla Bogusia. To gitary do country. Trzeba mieć łapy jak imadło – ocenia Maciek Maleńczuk. – Jeszcze długo o tej sesji wspominano w środowisku. Bogdan z Franzem dali popalić Paczkowskiemu.

Do współpracy przy nowej płycie Bogdan zaprosił swojego profesora ze szkoły muzycznej – Witolda Buszka.

– Najpierw przysyłał mi nagrania demo, które rozpisywałem na nuty. Później przyjechał do mnie do Nowego Sącza na całe ferie zimowe. W budynku szkoły muzycznej, której do dzisiaj jestem dyrektorem, odbywaliśmy próby z tutejszymi muzykami. To było pracochłonne. Latem pojechałem do Warszawy, gdzie realizowana była płyta. Bogdan bardzo chciał nagrać utwór „Kocham Cię" z „żywymi" instrumentami: wiolonczelą, kontrabasem i skrzypcami. Aranżowaliśmy go wspólnie. Szukaliśmy odpowiednich instrumentów, które zrealizują jego wizję. Niezwykle go ta płyta pochłonęła i dojrzale do niej podszedł.

SCHUBERT: *Generalnie nie można stwierdzić, że tak się pracowało z wszystkimi artystami. Jedni dostawali mniejsze budżety na produkcję nagrań, inni większe. To wynika z ekonomiki, a ta zawsze była w firmie KOCH przestrzegana. Wiązałem z Bogdanem nadzieje na długą współpracę, więc wszystkim nam zależało, by jego pierwsza płyta w naszej wytwórni brzmiała bardzo dobrze. Wiedziałem, że Bogdan jest osobą, której takie podejście po prostu się należy. Już na początku naszej znajomości spodobało mi się to, że on nie rozmawiał ze mną o pieniądzach. Nie pytał, ile za tę płytę dostanie. Jemu zależało na zrealizowaniu swojej wizji. Bardzo pozytywnie mnie tym zaskoczył. Pytania, jakie mi zadawał, odnosiły się wyłącznie do spełnienia warunku świetnie zaaranżowanej płyty. Stąd udział kilkunastoosobowej orkiestry smyczkowej w tej sesji. Mnie również podobała się ta idea. Nawet przyjechałem któregoś dnia do studia, by zobaczyć, jak to się wszystko odbywa. Choć nagrywał różne płyty i różne utwory, to zawsze chodziło w nich o to samo: głównie miłość. Przez to nie wszyscy traktowali go poważnie, ale on płacił tę cenę zupełnie świadomie. Nie udawał kogoś, kim nie jest, i nie rozpychał się łokciami. Do dzisiaj ówcześni pracownicy firmy KOCH mają stałe hasło, gdy coś idzie źle: „Uśmiechnij się, życie nie jest twoim wrogiem". Zostało to zapamiętane. Może właśnie to ukazuje ponadczasowość jego przekazu. Traktowałem go zawsze jako wrażliwego poetę i autora naprawdę udanych tekstów. Mogli się z nimi identyfikować ludzie, którzy przechodzą w swoim życiu trudniejszy okres. Te piosenki podnoszą na duchu. Za ich pomocą pokazywał też, że w życiu ważny jest nie tylko bunt, ale i ugoda. Chyba w tamtym czasie, a i po dzień dzisiejszy nie ma i nie było takiego artysty jak on. Grał przecież lirycznie, a jednak w konwencji gitarowo-rockowej.*

– Każdy z tych tekstów, jakkolwiek może się wydać marzycielski, nie jest wytworem wyobraźni, ale odnosi się do sytuacji, które rzeczywiście mi się przydarzyły. W moim życiu tak się złożyło, że częściej przychodziło mi tęsknić do czegoś, niż to mieć. I wcale tego nie żałuję. W jednej z piosenek pojawia się nawet wers „uroda życia w tęsknocie jest". To prawda, że w wyobraźni przeżywam więcej niż w rzeczywistości, a dzieje się tak dlatego, że kiedy patrzę na to, co mnie otacza, wolę wybrać się na wycieczkę w głąb siebie. Żyjemy w kraju, gdzie panują prostactwo i nadwrażliwość, gdzie dobre wychowanie interpretuje się jako pedalstwo. Nie jest tak, że nie jestem zaangażowany w rzeczywistość. Mam masę tekstów, które powstały z obserwacji socjologicznych, tylko że chce mi się rzygać od tych obserwacji. Jeśli miałbym się wypowiedzieć na ten temat, byłbym najbardziej undergroundowym wykonawcą w Polsce, bo nikt nie byłby w stanie mnie słuchać – tylko bym klął i narzekał. Ja tak nie chcę. Nie interesuje mnie destrukcja. Chcę przypominać ludziom o dobrej nowinie. (…) Dążenie do porządku wewnętrznego, do harmonii zawsze było dla mnie ważne. Mam nadzieję, że ta płyta to wyraża, że jest świadectwem pewnej siły wewnętrznej, a nie słabości i upadku. Liczę na to, że znajdą się osoby, które każdy z obecnych tu utworów będą potrafiły zinterpretować jako rodzaj mantry czy modlitwy. Nagrałem płytę, która w tych skomplikowanych czasach ma uprzytomnić ludziom i mnie samemu, że istnieje jeszcze inna sfera, znacznie bardziej wartościowa od panującego dookoła chaosu, zawsze i w każdych warunkach dostępna dla wszystkich – tłumaczył w wywiadzie prasowym.

„Sopocką" płytę Bogdan starał się nagrać z krakowskimi artystami.

– Nie spodziewałem się, że po latach on osiągnie taką popularność, tak jak nie spodziewałem się, że któregoś dnia zadzwoni i zaproponuje mi udział w nagraniach swojej płyty. Szczerze powiem

też, że nie przepadałem za Chłopcami z Placu Broni. Jestem wychowany na innej muzyce. Lubiłem za to od zawsze Bogdana. To dobry i wesoły człowiek, który zupełnie nie pasował do tego, co się działo wtedy w środowisku muzyków. Nie był zawistny, nikomu nie zazdrościł. Jak go ktoś zapraszał na granie, to się uśmiechał i odpowiadał: Jasne. Nie pytał się nawet o to, ile kasy za to dostanie. Nie przywiązywał zresztą większej wagi do pieniędzy. Nie pisał piosenek po to, by na nich zarobić. Może dzięki temu przeważnie te pieniądze jednak miewał, bo publiczność lubi szczerych artystów, przez co przychodzi na ich koncerty i kupuje ich płyty. Próby do płyty „Uśmiechnij się" odbywały się w Kuźnicy. Gość, który miał smażalnię ryb, wynajął Bogdanowi sąsiadujące z nią miejsce, gdzie ćwiczyliśmy. To była solidna praca nawet po kilkanaście godzin dziennie. Potem się bawiliśmy, ale zawsze po sumiennej robocie – wspomina Grzegorz Schneider, perkusista współpracujący w tym czasie między innymi z grupami Pod Budą i Homo Twist.

Smażalnia ryb, o której wspomina Schneider, to istniejący do dzisiaj w Kuźnicy lokal „U Emila". Znajduje się przy głównej drodze prowadzącej na Hel.

Sam proces nagrywania płyty, już w Warszawie, dobrze zapamiętał Jacek Królik.

– Pierwszego dnia nagrań Bogdan był bardzo wymagający i wykazywał niebywałą staranność. Wsłuchiwał się w najmniejsze detale. Ciągle coś poprawialiśmy. Drobnostki, ale zajmujące dużo czasu i energii. Nagraliśmy w związku z tym tego dnia tylko dwa utwory. Nie rokowało to dobrze przed następną sesją, na której ostatecznie miały zakończyć się rejestracje gitar. Następnego dnia wcześnie rano, jadąc z hotelu z okolic Woli, mieliśmy w planie po drodze do studia Buffo przejechać przez Sulejówek, chcąc odebrać jakiś sprzęt potrzebny realizatorowi do nagrań. Bogdan manifestował w tym czasie bojkot samochodów polskiej produkcji. Zamawiając taksówkę, zastrzegał na centrali, że koniecznie ma przyjeżdżać po niego „zachodni" samochód. Swoim zwyczajem, buntował się w ten sposób przeciw lichemu rodzimemu przemysłowi motoryzacyjnemu. Czekamy na przyjazd taksówki, a tutaj przyjeżdża… polonez! Uprzejmy kierowca wyjaśnił nam, iż ma świadomość, że nie podjechał mercedesem, ale w związku z jakąś awarią korporacja zdecydowała się podesłać auto zastępcze, chcąc dowieźć rozpoznanego artystę na czas. Oburzony Bogdan pomimo deficytu czasowego i bardzo napiętego planu prac odesłał poloneza i prawie pół godziny czekaliśmy na kolejny samochód. Nawet w takiej sytuacji, zdeterminowany, nie odpuścił. W efekcie jednak dotarliśmy do studia prawie godzinę spóźnieni. Byłem przekonany, że będzie mi niezmiernie trudno nagrać pozostałe gitary, bo z takim systemem pracy jak dzień wcześniej na pewno nie zdążymy. W związku z całą tą sytuacją, byłem o krok od depresji lub histerii, za to Bogdan – niezwykle wyluzowany i jakoś dziwnie spełniony. Już na samym początku otworzył Jacka Danielsa. A ponieważ bardzo mało sypiał w związku z pracami nad materiałem, to szybko poczuł błogość, afirmację życia i sympatię do świata. Tego dnia znacznie łatwiej przebiegała akceptacja nagrywanych tracków, w efekcie czego do końca tej sesji nagrałem resztę materiału. Pod koniec nagrań, mocno zmęczony tempem prac, Bogdan zasnął w studiu.

Ciekawą rzecz związaną z utworem „Coś na drogę" zapamiętał Paweł Sito.

– Bogdan rano w moim domu zakomunikował mi, że będę śpiewał na jego płycie… Pytam: Czyś ty oszalał? Odparł: Zobaczysz, będzie dobrze! W środku nocy, podczas spotkania, na którym byli też Urszula i Staszek Zybowski, Bogdan wyjął magnetofon, a my śpiewamy wspólnie to mruczane murmurando. Faktycznie fajnie nam to wyszło, a on rzeczywiście wykorzystał je na płycie.

Bogdan w pracy studyjnej nad nową płytą korzystał też z pomocy muzyków z Warszawy. Jeden z telefonów, jaki wykonał do Jacka Wąsowskiego – cenionego gitarzysty i tekściarza, współpracującego między innymi z Marylą Rodowicz – zaowocował nie tylko udziałem instrumentalisty w nagraniach, ale stał się początkiem całkiem sympatycznej znajomości.

– Szukał kogoś, kto mu podegra „slidem" w jednym z utworów. Padło na mnie. Nie znaliśmy się wcześniej. Widać ktoś mu mnie polecił jako sprawnego gitarzystę grającego tą specyficzną techniką. Ponieważ w połowie lat dziewięćdziesiątych była niepisana moda wśród wielu rodzimych rockmanów, by w piosenkach piętnować czy prześmiewać Kościół, więc zapytałem go zachowawczo, czy aby u niego w utworach, w których miałbym zagrać, tego nie ma. Po prostu nie lubię takiej retoryki i mówię to wprost. Pamiętam, że Boguś na to pytanie, wyraźnie zaskoczony, odparł po chwili milczenia: Ale czad! Potem wytłumaczył mi pięknie, że to płyta o miłości i o samych dobrych sprawach. Faktycznie taka była… Po tej rozmowie, a później po całym tym czasie spędzonym na nagraniach zawiązała się między nami nić sympatii. Do tego stopnia, że w jakichś trudnych dla siebie momentach często do mnie dzwonił. Tak po prostu, by pogadać. Lubiłem te rozmowy. Bogdan był osobą uduchowioną, ze specyficznym patrzeniem na świat. To była postać bardzo kolorowa, wrażliwa. Dostrzegał u ludzi cechy, na które inni wcale nie zwracają uwagi – wspomina Jacek Wąsowski.

BOGDAN: *W gruncie rzeczy w każdym człowieku można znaleźć coś dobrego. Można wydusić wręcz z niego maksimum dobrego człowieka. Podkreślam to moim kolegom na każdym kroku, we wszelkich moich działaniach. W paranoicznych często sytuacjach niektórzy ludzie się ze mnie śmieją. Mówią: Stary, tu cię ktoś robi ewidentnie w konia! Ja wiem, co robię, i zawsze będę wiedział. Walczę o to, żeby wiedzieć, co robię. Człowiek ma nieskończenie wiele propozycji, jak żyć. Chodzi o to, by znaleźć własny punkt odniesienia i być konsekwentnym. To się musi opłacać. Tylko trzeba zawsze brać innych ludzi pod uwagę.*

Ta znajomość jest jeszcze o tyle istotna, że jej efektem była obecność Bogdana i jego głosu na płycie innego artysty. Zdarzyło się to w wersji studyjnej tylko raz – i to właśnie na solowej płycie Jacka Wąsowskiego. Innym razem Bogdan zaśpiewał jeszcze z Maanamem, lecz było to jedynie nagranie koncertowe (z okazji gali 20-lecia zespołu celebrowanego w Sali Kongresowej). Wydarzenie zostało zarejestrowane przez Telewizję Polską i wydane na płycie DVD.

– Z tą samą sprawą zadzwoniłem też do Tomka Budzyńskiego – dodaje Jacek. – Obaj chętnie się zgodzili, czym sprawili mi wielką przyjemność. Boguś w efekcie wpadł do studia i pięknie, po swojemu, zaśpiewał. Później już moje kontakty z nim nie miały wymiaru artystycznego. Ostatni raz widzieliśmy się w Krakowie podczas dużego koncertu na Rynku. Usiedliśmy w garderobie. Usiłowałem go namówić, by wszedł na scenę w czasie mojego koncertu i gościnnie zaśpiewał ten zarejestrowany przez nas utwór. Niestety, nie pamiętał już tekstu ani formy piosenki. Na początku podszedł to tego pomysłu chętnie, ale później wystraszył się, że może to nie wyjść dobrze, a przed sceną było w końcu kilka tysięcy osób. Grzecznie odmówił.

Wróćmy do płyty „Uśmiechnij się". Kogo do uśmiechu chciał swoimi piosenkami zachęcić Bogdan Łyszkiewicz?

– Wszystkich rodaków, a moich słuchaczy w szczególności. Za mało uśmiechają się na co dzień, za mało okazują pogody ducha i życzliwości wobec innych ludzi. Tytuł może wydać się mylący. Płyta nie zawiera bynajmniej żartów kabaretowych. Jest natomiast zbiorem niezłych, moim zdaniem, piosenek – kwitował.

– Któregoś dnia odbieram telefon – wspomina Kuba Wojewódzki – dzwoni Boguś. Wyraźnie uradowany: Cześć, Kuba. Nagrałem płytę. Zgadnij, jak się nazywa. „Uśmiechnij się!”. Rozwalił mnie! Jaki inny rock'n'rollowiec nazywa tak swoją płytę? Tylko on mógł to zrobić…

ARTUR MALIK: *On nawet jak próbował energicznie reagować na jakieś sytuacje, to w ogóle mu to nie wychodziło. Kiedy się denerwował, brzmiało to mniej więcej tak: „kurcze, kurcze, kurcze…” – łapał wtedy za tę swoją blond czuprynę, pokopał w niej dłońmi, pocmokał, poprzewracał oczami i już było dobrze. Zdawało się, że jest ponad tym wszystkim, co go otacza negatywnego. To, co mi zawsze przychodzi do głowy, gdy myślę o nim, to właśnie ten jego spokój, uśmiech i szczere „Będzie dobrze”. Patrzył na życie pod kątem miłości. Zawsze pokojowo nastawiony do otoczenia. Jak już o coś chciał walczyć, to robił to pisząc piosenkę. Otwierał ludziom oczy, że świat może wyglądać inaczej, niż niektórzy go kreują. Apelował o uśmiech, bo uśmiech był dla niego samego bardzo ważny. Bolało go, że ludzie, walcząc o pieniądze, popadają w jakiś amok. Mają pięćset tysięcy obowiązków, przez co zapominają się do siebie uśmiechnąć. Boguś był zupełnie inny. Jak miał pieniądze, to się dzielił, jak nie miał, to nagrywał piosenkę i po chwili znów je miał. Był też wiecznie roztargniony. Coś tam gubił, zapominał o wielu sprawach. Również przez to był postacią niezwykle uroczą.*

GRZEGORZ SCHNEIDER: *Tak, to prawda. Nie można było o nim złego słowa powiedzieć. Szkoda, że nasz kontakt się później urwał. Może niezupełnie, ale był sporadyczny. Ostatnie spotkanie miało miejsce pod koniec lat dziewięćdziesiątych, podczas koncertów w ramach trasy „Lata z Radiem”. To był dobry okres dla zespołu, sporo się grało i za dobre stawki. Tłumaczyłem Bogdanowi, że gram dzień później jeszcze z innym zespołem i zwyczajnie się spieszę. Prosiłem, byśmy po koncercie wsiadali w samochód i wracali do Krakowa. Taka była więc umowa. Tym bardziej, że kierowcy też się spieszyło i wszystkim to pasowało. Bogdan jednak w nieskończoność udzielał wywiadów, Franz też się nie kwapił do odjazdu – zaczął się wykłócać i wyłamywać z obietnic. Atmosfera zgęstniała na tyle, że razem z kierowcą wyładowaliśmy ich sprzęt z samochodu i odjechaliśmy. To było moje ostatnie spotkanie z Bogdanem. Jeszcze tylko odbyłem rozmowę telefoniczną z żoną Franza, kiedy to usłyszałem, że „jestem zwolniony”. Sam się zwolniłem. Jestem z natury obowiązkowy, a to mi nie pasowało. Niemniej jednak nie zmąciło mi to całościowego obrazu Bogdana, który jest bardzo pozytywny.*

Promocji nowego krążka znów towarzyszyło zainteresowanie zespołem ze strony mediów. Bogdan udzielał wielu wywiadów. Z jednej z rozmów dowiadujemy się, co oprócz muzyki pasjonuje Bogdana. Wywiad przeprowadziła Justyna Fular z pisma artystyczno-kulturalnego „Fermenty”.

ŁYSZKIEWICZ: *Interesują mnie języki obce. Głównie angielski, to też rodzaj dźwięków. Nauka języków to muzyczne zajęcie. Można powiedzieć, że interesuje mnie literatura, komunikacja między ludźmi. Interesuje mnie język polski, a także angielski. Pół na pół. Nie mogę powiedzieć, że angielski bardziej niż polski ani odwrotnie. Interesują mnie oba. Na razie ograniczam się do polskiego i angielskiego, ale myślę, że sięgnę w końcu po niemiecki. Uczyłem się go kiedyś i zaczyna mi się podobać. Jest dosyć dużo niemieckich kanałów w telewizji i zaczynam odkrywać pewną sympatię do tego języka. Szczególnie, gdy na przykład widzę czarnych i żółtych mówiących po niemiecku. Zaczynam zmieniać*

Sesja zdjęciowa do materiałów promocyjnych płyty *Uśmiechnij się*

stosunek do niego. Jest ciekawa literatura niemiecka, którą warto by poznać w oryginale: Goethe, Schiller. Przecież jest w tym języku cała masa genialnej poezji i prozy. Wszystko da się przetłumaczyć, ale nic nie daje takiej przyjemności jak czytanie w oryginale.

PIOTR DRZAZGOWSKI: *Przy okazji promocji nowej płyty, objeżdżając rozgłośnie radiowe, zawitał i do mnie do Warszawy. Wylądował w radiu na pół dnia. Poczuł się tutaj dobrze, wszyscy mu kawkę robili, więc chodził sobie od pokoju do pokoju i rozmawiał z ludźmi. Uśmiechnięty od ucha do ucha, czym zarażał wszystkich naokoło.*

GRZEGORZ SCHNEIDER: *Ten czas to był w jego życiu szalenie dobry okres. Wystarczyło na niego spojrzeć. No i… sprawił sobie ten srebrny garnitur! Boguś w ogóle miał sporo ciuchów. Widać to było w jego sopockim mieszkaniu. Lubił też kupować buty, których miał ogromne ilości. Wiele z nich to były kowbojki. Dbał o ubrania. Układał w kostkę. Wszystko wyprane i wsadzone równo do szafy. Rzucił ponownie palenie, nawet wybielił sobie z tej okazji zęby. Nie pił dużo. Co najwyżej lampkę koniaku. Po człowieku widać, w jakiej jest formie. Bogdan był w doskonałej.*

Dobry humor go nie opuszczał pomimo tego, że nowa płyta nie sprzedawała się tak dobrze jak poprzednie. Choć to kwestia sporna. Czasy się zmieniały. Zmieniały się też nakłady wydawnictw fonograficznych.

MACIEK MALEŃCZUK: *Spotkałem ich kiedyś z Franzem, pytam, jak tam płyta, a oni: Nie pytaj, Maciek, dwadzieścia tysięcy sprzedaliśmy. Ja mówię: To świetnie, moja zeszła w dziesięciu tysiącach. – No coś ty – odparł Bogdan – wcześniej sprzedawaliśmy ponad 100 tysięcy. Nie rozumiał wtedy jeszcze tego, że teraz wszystkim będą lecieć nakłady na łeb na szyję…*

Magda

Po powrocie do Krakowa, jeszcze w czasie pracy nad albumem „Uśmiechnij się", w życiu Bogdana nastąpiła istotna zmiana. Wiadomo, jak ważna była dla niego sfera uczuć, a właśnie na tym polu otwierały się dla niego nowe drogi. To był niezwykle dobry okres. Dopiero co nagrana płyta zbierała znakomite recenzje, a poszczególne utwory pojawiały się na listach przebojów. Idea „uśmiechu", jaką zawarł na płycie, realizowała się właśnie w jego życiu. Nareszcie nie tylko zawodowym, ale i osobistym. Owszem, jego pobyt w Sopocie związany był z kilkoma luźniejszymi znajomościami, jednak to, co miało się wydarzyć właśnie teraz, zupełnie zmieniło jego życie.

– Poznaliśmy się jesienią. Właśnie zaczęłam studia w krakowskiej PWST. Odkrywałam miasto i życie studenckie. Zobaczyłam go przy barze w „Singerze". Nikt nas sobie nie przedstawił. Zamieniliśmy kilka słów… – wspomina Magda Boć.

W tamtym momencie z pewnością żadne z nich nie wiedziało, że oto właśnie poznało osobę, z którą za jakiś czas i po wielu niesamowitych sytuacjach planować będzie swoją przyszłość. Wróćmy jednak jeszcze na moment do „Singera". Lokal istnieje do dnia dzisiejszego i jest jednym z bardziej lubianych w tej części miasta. Oto jak opisują go przewodniki: *„Singer" to już niemal żywa legenda Kazimierza. Mroczne, zadymione wnętrza rozświetla czujny blask świec i rozgrzewa wznoszący się od czasu do czasu z melancholią kieliszek. Łatwo tu trafić prosto z placu Żydowskiego i zatopić się wśród stolików zrobionych ze starych, przedwojennych maszyn do szycia Singera, od których lokal wziął swoją nazwę. Nie myślcie, że rozbrzmiewają tu żywsze akordy czy popisy wokalne, chyba że nad ranem – w wykonaniu ostatnich gości. Kwintesencja Krakowa.*

O! Ela | Szukałem Ciebie | 4:36

MAGDA: *Widywaliśmy się w tym miejscu jeszcze parokrotnie. Za każdym razem jednak albo ja byłam z kimś, albo z kolei to Bogdan akurat rozmawiał ze swoimi znajomymi. Z czasem nawet tak znikomy kontakt nam się urwał. W listopadzie oswoiłam już miasto i zaczęłam naprawdę studiować. Zresztą to były studia wymarzone, absorbujące. Cały czas spędzałam w teatrze i na uczelni. Przestałam bywać w „Singerze".*

Jak to najczęściej bywa w takich przypadkach, wszystkim pokierował ślepy los.

– Pewnego dnia robiłam zakupy w jakimś obskurnym osiedlowym supersamie. Nagle ktoś mnie woła spomiędzy półek z ogórkami konserwowymi i proszkiem do prania. To był Bogdan, pierwszy raz w dziennym świetle, w okropnym społemowskim otoczeniu i nagle mi mówi, bez wstępów, asekuracji czy badania gruntu, że czekał na mnie i wypatrywał mnie w tym „Singerze" i że bał się, że mnie zgubił… To nieprawda, że miłość wymaga ukwieconej łąki, brzegu morza. Może przyjść, kiedy w szarym swetrze i z metalowym koszykiem w ręku kupujesz jabłka… Tak było z nami.

Warto podkreślić, że Magda zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że mężczyzna, którego poznała, jest muzykiem i autorem kilku całkiem sporych przebojów…

MAGDA: *Nie wiedziałam, czym Bogdan zawodowo się zajmuje. Rozmawialiśmy o uczuciach, namiętnościach, pasjach, o sposobie widzenia świata. Powiedział, że jest muzykiem i że gra na klarnecie. Świetnie – pomyślałam, klarnet ma barwę podobną do ludzkiego głosu… Rozmawialiśmy też o muzyce, ale nie przyszło mi przez myśl, że powinnam go kojarzyć. Prawie nie oglądałam telewizji. Owszem, słuchałam radia, głównie Trójki i Dwójki. Takie snobowanie się na bycie trochę pod prąd i* **NIE** *dla popkulturowej papki. Dopiero ktoś z moich znajomych uzmysłowił mi, że ten uroczy, nonszalancki pan, z którym się widuję, to Łyszkiewicz. Kto? – zapytałam. No, Łyszkiewicz! Chłopcy z Placu Broni, „O! Ela”… Już wiedziałam. Nie zaczęłam jednak patrzeć na Bogdana inaczej. Może tylko uważniej, bardziej nawet krytycznie. Szukałam arogancji, pychy. Ale w nim nie było żadnej z tych cech. Było natomiast wiele innych, wspaniałych, które w takiej konfiguracji spotyka się rzadko, może tylko raz…*

– To była miłość od pierwszego wejrzenia – wspomina Anna Łyszkiewicz. – Boguś się w Madzi zakochał najszczerszą miłością. Wiadomo – dwie artystyczne dusze. Był niezwykle szczęśliwy. Pamiętam, jak mi mówił, że dziesięć lat czekał na taką osobę. Na mnie też Magda zrobiła jak najlepsze wrażenie. Dobrze było ich widzieć razem.

– Poleciał na całego… Magda była dla niego całym światem i poza nią nic nie widział. Chyba zafascynowało go też to, że pochodziła z Sopotu. Potraktował to jako dobrą gwiazdę – ocenia Jarek Klik.

MAGDA: *Czuliśmy, że coś się wokół nas i z nami dzieje. Że to jest miłe i ekscytujące i że zaczyna się jakaś przygoda, jakaś podróż. Nie wiedzieliśmy dokąd, czy potrwa długo czy nie, ale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że jest to początek czegoś nowego. To Bogdan mnie w nią zabrał. Mówił, że od pierwszego spotkania coś w nim zakiełkowało. Później się okazało, że jest to ciekawa przygoda, a podróż okazała się całkiem długa…*

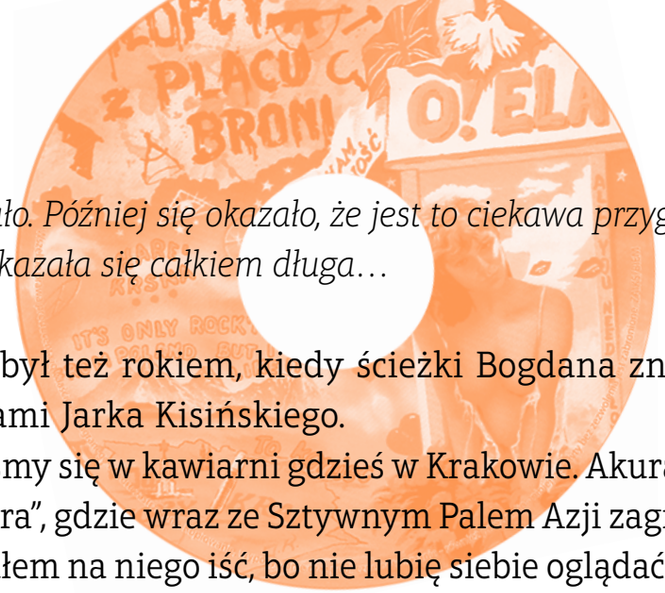

Rok 1996 był też rokiem, kiedy ścieżki Bogdana znów zbiegły się ze ścieżkami Jarka Kisińskiego.

– Spotkaliśmy się w kawiarni gdzieś w Krakowie. Akurat w kinach leciał film „Sara”, gdzie wraz ze Sztywnym Palem Azji zagraliśmy epizod. Nie chciałem na niego iść, bo nie lubię siebie oglądać na ekranie czy na zdjęciach. On mnie wtedy w jednej chwili spontanicznie wyciągnął na seans i w sumie to dzięki Bogusiowi zobaczyłem ten film. To był fajny wieczór. Jak zwykle rozmawialiśmy o życiu i o tym, co nas otacza. Pojawiły się też tematy dotyczące muzyki. Bogdan miał wtedy dobry okres. Wydawał udane płyty, poznał Magdę. Miał szczęście w oczach. Tryskał energią – wspomina Jarek Kisiński.

Częstsze spotkania zaowocowały ponownym dokooptowaniem Jarka do składu Chłopców z Placu Broni.

– Bogdan wiedział, że mój zespół w jakiś tam sposób nie prosperuje. Zaprosił mnie więc do siebie, by nagrać z „Chłopcami” płytę koncertową. To było już w 1997 roku, Boguś szukał muzyków na koncert w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Wiem, że zrobił to też, bym się lepiej poczuł. Rzeczywiście, po tym bodźcu i tamtych występach wziąłem się do pracy nad nowym materiałem dla Sztywnego Pala Azji i do dziś jest z nami całkiem dobrze. Dzięki niemu przypomniałem sobie znów, że jednak można coś w branży osiągnąć, zrobić coś wartego uwagi w tym naszym show businessie. Wcześniej miałem okres nieciekawy. Nie chciało mi się komponować, pisać tekstów. Bo po co, jak tego i tak nikt nie puści? Wmówiłem sobie, że nie mam siły przebicia. Dzięki Bogdanowi okazało się, że znów można nagrać płytę czy zagrać fajne koncerty. Zawdzięczam mu to, że na nowo poczułem

O! Ela | Piosenka dla ciebie | 3:59

się spełniony jako artysta. To jego zasługa. Wyjechaliśmy na jakieś koncerty w Polsce i znów mieliśmy ze sobą bliski kontakt.

W czasie wyjazdów Bogdana w trasy Magda zostawała w Krakowie. Studia zajmowały jej sporo czasu.

– Nie mogliśmy ciągle być razem. Rzeczywistość wymuszała rozłąkę. Tolerowaliśmy tylko tę chwilową – góra dzień, dwa… Ogarnęła nas zachłanna fascynacja. Miłość w pierwszej absolutnie fantastycznej fazie. Gdyby ktoś mnie wtedy zapytał o tytuły płyt Bogdana, jego piosenki czy skład zespołu – odpowiedziałabym: nie wiem. Byłam chyba przeciwieństwem jego pierwszej wielkiej miłości – Ewy, która wspierała go na początku muzycznej drogi. Pamiętam, jak stroił gitarę i śpiewał oparty o ramę łóżka. Jak grał na klarnecie do śniadania, jak skakał, fikał koziołki i kiedy ku rozpaczy sąsiadów głośno słuchaliśmy muzyki. Nie musiałam wiedzieć więcej.

Koniunktura na wszystkich możliwych polach „abstrakcyjnej egzystencji" Bogdana trwała w najlepsze. Koncerty, udziały w programach telewizyjnych, pełne artystyczne i osobiste spełnienie.

ANNA ŁYSZKIEWICZ: *Oprócz wyjazdów związanych z koncertami to właściwie spędzał cały czas jedynie z Magdą. Nawet jego dobrzy znajomi mieli mu za złe, że nie udziela się towarzysko.*

W czerwcu 1998 roku, w czasie prób do koncertu, który za kilka tygodni Chłopcy z Placu Broni mają zagrać w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie (i zarejestrować na płycie), nagle umiera Bogumił Łyszkiewicz.

– Pamiętam, co Boguś mi wtedy powiedział – że bardzo żałuje, że nie wszystkiego od ojca się nauczył i nie o wszystko spytał. Był przybity jego śmiercią. Wyraźnie go to załamało. Dla mnie to też był cios, gdyż mąż był głową rodziny. Nigdy nie zrobił niczego, co by nas zmartwiło czy zaniepokoiło. Bogdan zawsze miał w nim oparcie. Ja też – mówi Anna Łyszkiewicz.

– Z zewnątrz wyglądało to dość standardowo: ojciec, matka, syn. Jednak gdy bliżej się przyjrzeć, to zdecydowanie była to relacja dusz. Bogdan nie do końca, zdaje się, odciął pępowinę – mówi Artur Malik.

– W gruncie rzeczy to oni byli do siebie podobni. Pamiętam, jak Bogdan opowiadał, że godzinami potrafi z ojcem prowadzić dyskusje. Siadali po prostu naprzeciw siebie i rozmawiali – dodaje Piotr Górka.

BOŻENA SITEK: *Dokładnie pamiętam ich dom. Zjedliśmy kiedyś wspólny obiad z jego rodzicami. Okrągły i pięknie zastawiony stół i ta specyficzna krakowska atmosfera… Wiedziałam już wtedy, skąd Bogdan wyniósł swoje maniery. Spora w tym rola właśnie pana Bogumiła. Zapamiętałam go jako człowieka inteligentnego, otwartego i uśmiechniętego. Kiedy dzwoniłam później do Krakowa, by porozmawiać z Bogdanem, to zawsze pan Bogumił odbierał telefon. Był wylewny, śmiały, pozwalał sobie na żarty. Zapraszał, by ich koniecznie jeszcze odwiedzić.*

MAGDA: *Ojciec był dla Bogdana autorytetem i przyjacielem. Nie było mowy o pokoleniowym buncie. Przeciwnie – szacunek i zaufanie. Inspirował Bogdana intelektualnie, podrzucał lektury, często „przepracowane" – z podkreśleniami. Światły człowiek o wszechstronnych zainteresowaniach.*

JAREK KISIŃSKI *Mnie wcześniej zmarła matka, więc wiedziałem, co czuł. Wziąłem go kiedyś na bok, usiedliśmy, pogadaliśmy. On w ogóle był bardzo związany z rodzicami. Kochał ich i szanował. Znałem jego ojca, zapamiętałem go z sytuacji, gdy kiedyś przyszliśmy*

do domu Łyszkiewiczów, a on siedząc w fotelu podniósł wzrok na mnie i powiedział: Jarek, dobrze jest. Podoba mi się. Skomentował tymi słowami któreś z naszych nagrań. Choć był bardzo konkretnym człowiekiem, to naszą muzyką też się interesował.

MAGDA: *Żyliśmy z Bogdanem w permanentnym uniesieniu. Jakby stale na słonecznym brzegu, a śmierć ojca gwałtownie wtrąciła go pod wodę. Pozwolił mi być obok siebie. Ufał mi. Właśnie w tej bolesnej bliskości potwierdziły się wszystkie jego deklaracje. Ja chyba właśnie wtedy uwierzyłam we wszystkie słowa, które mi wcześniej mówił. Są osoby, dla których słowa znaczą dokładnie to samo, jak brzmią, i taki był Bogdan. Kiedy mówił „jesteś moim przyjacielem", to znaczyło, że poszedłby za tobą w ogień, a kiedy mówił do mnie „kocham cię", to znaczyło, że mnie naprawdę kocha, a nie – że na przykład lubi ze mną przebywać.*

Teatr imienia Juliusza Słowackiego to miejsce szczególne. Zbudowany z końcem XIX wieku na miejscu wyburzonego kościoła, od pierwszych dni swojej działalności obrósł legendą. Rada Miasta Krakowa podjęła decyzję o jego budowie, odrzuciwszy realizację projektu wodociągów miejskich. Na dodatek, by zbudować tak ogromny gmach, zdecydowano o wyburzeniu wielu już na tamte czasy zabytkowych budynków. W obronie urokliwego zakątka miasta stanął m.in. Jan Matejko. Kiedy jego protesty okazały się bezskuteczne, artysta zrzekł się honorowego obywatelstwa miasta i zabronił wystawiania w Krakowie swoich obrazów… Obecnie ów teatr uważany jest za jeden z najważniejszych zabytków architektury teatralnej w Europie.

NINA TERENTIEW: *Z upływem czasu Boguś wiedział, że zawsze może do mnie przyjechać, podzielić się tym, co u niego aktualnie się dzieje, opowiedzieć o swoich marzeniach – i tak też było z jego pomysłem na zarejestrowanie koncertu z orkiestrą symfoniczną, z którym pewnego dnia zawitał na Woronicza. Pomysł wydał mi się godny uwagi i wart zrealizowania. Czułam jednak wyraźną potrzebę znalezienia „pod niego" odpowiedniego miejsca. Ponieważ w „Dwójce" robiliśmy wtedy sporo koncertów rockowych – a rejestrowaliśmy je w dużym studiu na Łęgu w Krakowie, to początkowo byliśmy gotowi też i do produkcji przedsięwzięcia Bogdana w tamtym miejscu. Industrialny charakter Łęgu jednak zupełnie mi do jego osoby i jego muzyki nie pasował. Do Bogusia za to pasowały mi przepiękne wnętrza Teatru im. Słowackiego w Krakowie. Myślę, że dla każdego krakowianina Teatr Słowackiego jest miejscem szczególnym. Dla artysty oddychającego tym nasiąkniętym historią powietrzem wystąpienie w takim miejscu to była nobilitacja, a on był tego wart.*

Zdarzenie poprzedzające wizytę Bogdana u Niny Terentiew zapamiętał Jerzy Tyndel.

– To było tak: szli sobie z Franzem po Starym Mieście „pod wpływem" i przechodząc obok Słowackiego, solidarnie uznali: O, tutaj to byśmy sobie mogli zagrać… Powiedziało się „a", to trzeba i „b" – Bogdan zarażony tą myślą zaczął załatwiać sprawę. Prace ruszyły z kopyta.

W tak niezwykłym miejscu miała zrodzić się kolejna płyta Chłopców z Placu Broni. Równolegle bowiem zapadła decyzja o wydaniu koncertu na płycie CD.

SCHUBERT: *To był autorski pomysł Bogdana. Myśleliśmy o nowej płycie, takiej składankowej. Zrealizowanie nagrań w teatrze, przy okazji koncertu, było finansowo porównywalne z nagraniami studyjnymi.*

Dlatego bezdyskusyjnie ten pierwszy pomysł był atrakcyjniejszy. Tym bardziej, że muzyka Bogdana pasowała do takiego miejsca. Końcowy efekt jest bardzo dobry. I ta orkiestra… cudo!

NINA TERENTIEW: *Zapragnął, żeby koncert odbył się z akompaniamentem orkiestry. Sam chciał być w przeszłości filharmonikiem, więc w jakimś stopniu tamtego wieczoru mógł się tak poczuć. To było zresztą połączenie muzyki rockowej i klasycznych brzmień, niezwykle udane. Z mojego doświadczenia wiem, że to się nie zawsze udaje. Wielu artystów w pewnym momencie starało się sięgnąć po ten środek wyrazu, ale w konfrontacji ze światem klasycznych instrumentów poległo. Natomiast nasz „filharmonik" sobie z tym poradził. Bo Bogdan miał w duszy ten „krakowski spleen", poezję, o której już wspomniałam, a także pewien artyzm i wyczucie muzyki prawdziwej – wszystko to pozwoliło mu dość gładko wchodzić w tego rodzaju konfrontacje. Ten „płaszcz" na jego ramionach po prostu dobrze leżał.*

– Muszę zacząć od tego, że atmosfera koncertu była dla mnie bardzo szczególna. Odbył się 24 czerwca – tak był planowany od roku. Natomiast 4 czerwca zmarł mój ojciec. Wyszedłem na scenę i dziwnie się poczułem, bo w jednej z lóż zobaczyłem moją mamę, rodzinę – wszyscy smutni, zasępieni. A ja musiałem jednak patrzeć na kilkaset uśmiechniętych osób zgromadzonych na sali, zapominając jakby o sobie albo też przeżywając swoją sprawę inaczej. Jako program telewizyjny całość zatytułowaliśmy „Uśmiechnij się". W mojej specyficznej sytuacji potraktowałem to jako wyzwanie i przesłanie filozoficzne zarazem. Właściwie cały czas czułem duchową obecność mojego taty, który stale podpowiadał mi to magiczne słowo „uśmiechnij się" – wspominał w wywiadzie, którego udzielił „Tylko Rockowi".

ARTUR MALIK: *Pamiętam, że zaczynaliśmy grać koncert sami, bez orkiestry. Za mną była kurtyna, która po kilku utworach się rozsunęła. Za nią było z trzydziestu muzyków. Ludzie oniemieli. Jak te wszystkie instrumenty huknęły, to poczułem je na plecach. Dreszcz mnie przeszedł.*

– Kiedy Bogdan rzucał studia, to powiedział ojcu: Tata, zobaczysz, ja jeszcze kiedyś w filharmonii zagram. No i tak się stało. Mąż zawsze cieszył się z sukcesów syna. Wielka szkoda, że tego nie doczekał – dodaje Anna Łyszkiewicz.

Bogdan cenił sobie tę właśnie płytę. Choć wymagała ona późniejszych dogrywek już w studiu, to w finalnej wersji w pełni oddała ówczesny kunszt zespołu. Oprócz soczystych rockowych utworów z początku działalności grupy, Bogdan zaśpiewał też całą serię lirycznych piosenek, które właśnie w tym magicznym miejscu nabrały właściwej wymowy. Wielka w tym zasługa towarzyszących mu tamtego wieczoru muzyków: Jacka Królika, Franza, Jaka Kisińskiego, Artura Malika, Adama Niedzielina i całej orkiestry. Bogdan był zadowolony nie tylko z samej płyty, ale i z udanej rejestracji koncertu przez kamery telewizyjne.

– Zespół jest w kiepskiej sytuacji, ponieważ nie ma w ogóle fajnych teledysków, poza jakimiś szczątkami. Chodziło mi o to, by zagrać koncert, zarejestrować go i pokazać jako taki duży teledysk. Jednak aby występ w ogóle mógł się odbyć, trzeba było zgromadzić pieniądze, więc zaangażowałem w to telewizję i swoją wytwórnię płytową, która zadbała o to, aby projekt został zrealizowany na wysokim poziomie pod względem dźwiękowym – mówił w wywiadzie podsumowującym wydarzenie.

Schubert: – Ludzi bezkonfliktowych często myli się z osobami, które nie wiedzą, czego chcą. Bogdan był zaprzeczeniem tej tezy. Pomimo swojej absolutnej bezkonfliktowości świetnie wiedział, czego

chce i jak może to realizować. To, że nie kłócił się o swoje, zjednywało mu sympatię. Jakimś dziwnym sposobem zawsze jednak stawiał na swoim. Niektórzy mnie ostrzegali, że Bogdan jest przez to trudnym człowiekiem. Ja go wcale tak nie odbierałem. Uważam, że człowiek jest wtedy trudny, kiedy właśnie nie wie, czego chce. Nigdy też nie goniłem Bogdana z terminami. Wiedziałem, że presja w jego przypadku nie daje żadnego pozytywnego efektu.

Płyta „Gold" była ostatnią, jaką Bogdan nagrywał dla firmy KOCH.

– Powiem szczerze, że sam do dzisiaj się dziwię, dlaczego ta współpraca nie była kontynuowana. Może dlatego, że Bogdan już wtedy nie chciał się wiązać długimi kontraktami. Pewnie miały na to wpływ jego wcześniejsze zawirowania związane z różnymi umowami, jakie podpisywał. Szanowałem to, choć z perspektywy czasu szkoda, że nie nagraliśmy wspólnie już żadnego albumu. Kto wie, może byłoby to coś równie ciekawego jak dwie pozostałe płyty… – zamyśla się Andreas Schubert.

We wrześniu tragicznie umiera ojciec Magdy.

– Osierocenie boli bez względu na wiek. Ja miałam dwadzieścia lat, kiedy zmarł mój tata – Boguś trzydzieści trzy, kiedy odszedł pan Bogumił. Ale doświadczenie było takie samo. Lustrzana sytuacja z zamianą ról. Zupełna psychiczna nagość. Bogdan w tym okresie był moim tlenem – wspomina Magda.

Na krótko po tych wydarzeniach Bogdan niespodziewanie zakomunikował, że wyjeżdża na pół roku do Stanów. Tą decyzją rozgoryczył Magdę. To był trudny okres dla ich związku. Moment, kiedy nastąpiła szansa, by go umocnić, okazał się momentem poważnie go osłabiającym.

– Wyjeżdżasz? Jak to? Wiedziałam, że uwielbia Amerykę, że szuka tam inspiracji, ale nie rozumiałam jego decyzji. Musisz jechać właśnie teraz? – zapytałam. Skinął głową. Zrobiłam pewną siebie minę i odpowiedziałam: Jeżeli czujesz, że tego potrzebujesz, że to priorytet, nie wahaj się, ale pamiętaj, że pod twoją nieobecność moje priorytety mogą się zmienić. Nie prosił, żebym na niego czekała, nie mówił, kiedy wróci. Po prostu pojechał… Nie było to dla mnie łatwe.

Za wielką wodą Bogdan wylądował dokładnie 29 grudnia 1998 roku. Zamieszkał u swojego znajomego, „Szekspira". Dzięki temu, że w tym czasie prowadził prywatny dziennik, możemy się dokładnie dowiedzieć, co działo się z nim w tych dniach. Warto kilka zapisków przytoczyć.

„Fatalny, nudny i długi lot z Warszawy z międzylądowaniem w Berlinie. Pierwszy i ostatni raz w życiu korzystałem z usług Delta Airlines. Międzynarodowe towarzystwo podróży tym razem nie umiliło czternastogodzinnego lotu. W fotelu za moimi plecami dwóch wyjątkowo hałaśliwych i gadatliwych Niemców próbuje rządzić całym światem. Jeden z nich beztrosko bawi się wmontowanym w tył mojego fotela telefonem. Wierci się i wbija swoje aryjskie kolana w moje plecy. Nie reaguje na moje słowa ani na delikatne uwagi. Najgorsza jednak była rozmowa z urzędnikiem emigracyjnym. Przyprawiła mnie o mdłości i wyprowadziła z równowagi. W Polsce przyzwyczaiłem się mimo wszystko do lepszych manier. Ni stąd, ni zowąd jakiś zezowaty, odrażający urzędnik amerykański z wyraźnym poczuciem wyższości i władzy zadał mi serię upokarzających pytań. Co ciekawe, była to już moja bodaj piąta podróż do USA i nigdy nic takiego mnie nie spotkało. Za wszelką cenę usiłował mi udowodnić, że przyjechałem, aby nielegalnie pracować i tym razem zostać już na zawsze. Nie wierzył, że nigdy nie pracowałem i nie będę. Z niemałym wysiłkiem zdobyłem się na grzeczne odpowiedzi. Typ wyraźnie próbował mnie sprowokować. Ja jednak potrafiłem z nim wygrać. Po trwającej kilkanaście minut rozmowie odprawił mnie do kolejnego okienka. Byłem o krok od okazania pogardy wobec takiego traktowania. Sądzę, że Pan Bóg,

który skierował moje kroki w stronę Nowego Świata, powstrzymywał mój niewyparzony język i soczyste „Fuck you, i'm going back" nie zostało wypowiedziane. Byłem zmęczony opóźnionym lotem, chciałem czym prędzej położyć się spać. Drugi urzędnik na szczęście był nieco milszy. Tym razem czarny. Zadał mi mniej więcej te same pytania. Nie potrafił jednak uwierzyć, że mit amerykańskiego złota nic dla mnie nie znaczy. W końcu, nie mając żadnych realnych dowodów, ustąpił, wpisując mi sześciomiesięczny pobyt. Po siedemnastu godzinach podróży taksówkami i samolotem dotarłem na róg piętnastej ulicy i pierwszej avenue do słynnego mieszkania kolegi Szekspira".

Ostatni zapisek z roku 1998 dotyczy planowanej szampańskiej zabawy.

„Za namową kolegi wieczór sylwestrowy postanowiłem spędzić w Rock'n'Roll Cafe przy akompaniamencie zespołu udającego The Beatles. Elegancko ubrany w błyszczące plastikowe spodnie, białe futro i zamszowe szpic buty udałem się do klubu, aby tańczyć i szaleć całą noc. Niestety, zespół udający Beatlesów miał beznadziejnie nudną bluesową przedgrupę. Zmęczony różnicą czasu (dla mnie była to mniej więcej piąta nad ranem), stulony z głową w rękach zasnąłem. I znów pożałowania godna amerykańska solidność (złośliwa!) dała znać o sobie. Bez słowa zostałem nagle wyrzucony z klubu niemal kopniakami. Zdziwiony zwróciłem się o pomoc do policjanta, na co ten też mocno zdziwiony odparł, że to prywatna własność i nic nie może zrobić. Jak dobry przyjaciel polecił mi, żebym wrócił do domu. Jeśli natomiast zechcę wrócić do klubu i głośno upominać się o swoje, to jeszcze zgodnie z przepisami będzie mnie musiał zamknąć na tydzień. Oniemiałem".

Podczas tego wyjazdu Bogdan wyraźnie nie miał szczęścia do służb – czy to celnych, czy policji. Największe tarapaty z tym związane były jednak jeszcze przed nim… W dniach od 2 do 12 stycznia w swoim notesie zapisał tylko: „Zakupy, kino, włóczęga, bourbon i próby nabycia samochodu". Więcej zdarzeń godnych spisania miało miejsce 13 stycznia i temu właśnie Bogdan poświęcił kilka stron.

„Rolling Stone organizuje wystawę w budynku, w którym Szekspir pracuje. Poznaję osobiście Yoko Ono i Seana Lennona. Tuż obok mnie przechadzają się Mike Fleetwood, Carlos Santana, Robbie Robertson oraz Michael Douglas. Szczerze zainteresowany byłem jedynie rozmową z Yoko Ono i Seanem, więc nie próbowałem z nikim więcej zamienić ani słowa. Jakkolwiek sposób, w jaki poznałem Yoko, ma nieco humorystyczny aspekt. Nieustannie otoczona fotografami lub znajomymi zamyśliła się w pewnej chwili i wyraźnie spojrzała w moją stronę. Posunąłem się kilka kroków w przód. Wreszcie dystans zminimalizował się na tyle, aby rozpocząć rozmowę. Zawsze chciałem cię poznać – wypaliłem niemal bezmyślnie. No i poznałeś – odparła. Gdy rozmowa zaczęła się rozkręcać (o mój nieszczęsny angielski), pojawił się jakiś asystent i Yoko, uścisnąwszy serdecznie moją dłoń, powiedziała: Do zobaczenia wkrótce, na pewno nie zabraknie okazji. Potem zagadnąłem Seana, który opowiadał mi w skrócie o swojej nowej płycie. Zaproponował też, bym wysłał swoje CD do Dakota House. Nie muszę dodawać, że po takiej rozmowie stałem się na chwilkę obiektem zainteresowania fotografów i dziennikarzy. Jeden z nich (senior director HBO), jak się okazało, wziął mnie za członka rodziny Lennonów i nim zdążyłem cokolwiek wyjaśnić, zaczął mnie wypytywać o jeden z domów, który Yoko wystawiła na sprzedaż. Zapoznałem też Huberta Kretschnera, autora kilku okładek dla Rolling Stonesów".

Z tym ostatnim Bogdan spędził trochę więcej czasu – przy napojach wyskokowych. Jak sam potem stwierdził – „na szczęście wszystko to skończyło się łagodnie. Nikt też mnie tutaj nie okradł ani nie napadła mnie policja…".

13 stycznia Bogdan spędza – jak zanotował – „cudowny wieczór" na koncercie The Rolling Stones. Dwa dni później na party w Soho osobiście poznaje Davida Bowiego.

„Podszedł do mnie ze swoją śliczną żoną. Spytał, jak mam na imię, i zaczęła się jedna z najmilszych rozmów w moim życiu. Zgodnie z prawdą powiedziałem mu, że swój największy (bo pierwszy) przebój zawdzięczam w dużej mierze jemu, jako że inspiracją do piosenki »O! Ela« był utwór »Life on Mars?«. David roześmiał się w rozbrajająco miły sposób, po czym po dalszej rozmowie zapytał, czy znam polskiego artystę malarza – nie mogę przypomnieć sobie tego nazwiska, pamiętam, że powtórzył je dwukrotnie. Nie kojarzę, nie pamiętam, jedno, czego jestem niemal pewien, to fakt, iż David pomylił kraje. To nie był Polak. Ostatecznie w Polsce znam wszystkich przynajmniej ze słyszenia. Na tym rozmowa się skończyła. Po kilku minutach znalazłem się w otoczeniu Lourrie Anderson i Lou Reeda, z którym nawiązałem fantastyczny kontakt! W dwóch zdaniach powiedziałem mu, co myślę o jego twórczości. Uścisnął mnie jak dobrego przyjaciela”.

PAWEŁ MĄCIWODA: *Nie wiem, czy David Bowie faktycznie pierwszy do niego podszedł. Pamiętam, że Bogdan w tym tłumie chodził za nim krok w krok, jak cień. Niby go nie ma, ale jest… Pojawia się, znika, później znów w pobliżu. Pewnie w końcu tak zamieszał, że na siebie wpadli. David okazał się świetnym rozmówcą, bardzo serdecznym. Chwilę przy nich postałem. Rozmowa sprawiała Bogdanowi wielką frajdę, w końcu był jego fanem.*

Kolejne zapiski nie są już datowane. Mówią wiele o tym, w jaki sposób Bogdan wypełniał czas aż do nadejścia upragnionego momentu zakupu samochodu, kiedy będzie mógł wyjechać w głąb kraju.

„Jutro na 90 procent mam brykę. W międzyczasie obejrzałem i wysłuchałem koncertów Boba Dylana, Vana Morrisona, Oasis i po raz drugi The Rolling Stones. To niewiarygodne, że po tylu latach ci goście potrafią przez cały tydzień zapełniać Madison Square Garden w NYC” – pisał.

„Zniechęcony jednostajnym rytmem mojego życia w NYC zaplanowałem niegroźną zmianę: wizytę w rosyjskiej łaźni. Dookoła zimno, a ja wyjechałem z Polski z nastawieniem na szybką podróż w kierunku tropikalnym, a więc niby miałem rację. Okazało się, że na Rosjan trzeba uważać. Pod pretekstem łaźni ukryty był dom publiczny”.

Aż wreszcie…

„Nastała upragniona chwila. Idealnie utrzymany Chevy Camaro 94 za 12 500 $. Trochę dużo jak na moją kieszeń. Nie narzekałem jednak zbytnio, gdyż tak czy owak w NYC pieniądze po prostu znikają nie wiadomo dlaczego i kiedy. Wszystko wydaje się tanie, nie myślisz o oszczędzaniu. W konsekwencji ignorancja ekonomii prowadzi na ogół do bankructwa, ale czy to w ogóle ma jakieś znaczenie w zestawieniu z intensywnością zjawisk i tak niezwykłych okoliczności przyrody?”.

Nie czekając długo, Bogdan spakował się i wyruszył na podbój USA. To miała być podróż jego życia.

„Nieludzko zniecierpliwiony ruszyłem w podróż, jak z procy. Cel numer 1 – K. West. Średnia prędkość to 90/100/110 mil na godzinę. Pierwszy dzień genialnie. Ani śladu policji. Mijam kolejne stany i miasta. Jest cudownie, dopóki nie wpadam w sidła zastawione przez policję stanu South Carolina. Nagle ni stąd, ni zowąd tuż za mną pojawił się srebrny Chevy Camaro (prawdopodobnie taki sam model, jaki posiadałem), migający niebieskimi światłami umieszczonymi wewnątrz auta za przednią szybą. Przestraszyłem się. Nie wiedziałem, co się dzieje. Nie byłem pewien, czy to rabunek, czy policja. Zwłaszcza w chwili, kiedy zobaczyłem nieoznaczony, cywilny samochód. Poruszałem się z dozwoloną prędkością 65 mil, gdyż był korek. Zwolniłem do 30 mil, mając nadzieję, że to wystarczy na wypadek, gdy będzie to policja. Nie później niż po dwóch minutach takiej jazdy (srebrne Camaro wciąż za mną) pojawił się typowy wóz policyjny.

Gdy tylko się zatrzymałem, zdarzyło się coś w rodzaju amerykańskiego kina akcji. Get out of car! Get out of car! Hands up! Zgodnie z hałaśliwą instrukcją, zrobiłem, co należy. Na zewnątrz czekały na mnie dwie osoby w policyjnych mundurach z wycelowanymi we mnie rewolwerami. Czarny mężczyzna podszedł do mnie i jednym ruchem ręki zwalił mnie na ziemię. Przyłożył zimną lufę do mojej potylicy, a drugą ręką zakuł moje skrzyżowane na plecach dłonie w kajdanki.

Bogdan z wyczekanym camaro. USA

Zrobiło się naprawdę gorąco. Próbowałem wymamrotać kilka słów w ramach samoobrony, licząc na ludzkie odruchy ze strony służbisty. Bez sensu… Miałem wrażenie, że potwornie zdenerwowany policjant cieszy się tym. W tym samym czasie drugi policjant pozamykał mój samochód. Po chwili podniesiono mnie z pozycji leżącej (twarzą do ziemi) i już stojąc udzielałem odpowiedzi na różne pytania. O to, czy mam ze sobą narkotyki, odkąd jestem w USA, adres, imię, zawód itd. Oraz najbardziej idiotyczne, wręcz bezczelne pytanie, dlaczego próbowałem uciec przed policją. Moje wyjaśnienia, że bałem się napadu, bo w Polsce bywa, że przestępcy podszywają się pod policję w celach rabunkowych, wywołały jedynie reakcję typu: nie kituj! Koniec końców zapakowano mnie do jednego z radiowozów i skutego kajdankami odwieziono do więzienia. Zdenerwowanego i oszołomionego. Czarny funkcjonariusz oznajmił mi, że moje opowieści teraz na nic się nie zdadzą, że teraz będę się tłumaczył przed sądem… Po kilku minutach dojechaliśmy do więziennego budynku. Dopiero tam ściągnięto ze mnie kajdanki. Muszę przyznać, że elektrycznie otwierane i zamykane kraty robią wrażenie definitywnej przerwy w życiorysie. Po obu stronach korytarza przez drzwi z małym okienkami wyglądali zaciekawieni współtowarzysze niedoli. Jedyną ich rozrywką było obserwowanie nowych. Gdy tylko ściągnięto ze mnie kajdanki, rozpoczęła się przygnębiająca procedura zdawania rzeczy osobistych, odciski palców, fotografie, podpisy, oświadczenia itp. Przez kilkanaście minut przetrzymywano mnie w więziennym korytarzu sam na sam z głowami w okienkach. Bałem się podejść do któregokolwiek, bo miałem wrażenie, że przetrzymują tam groźnych przestępców. Po chwili postanowiłem przełamać wewnętrzny opór i wdałem się w dyskusję z jedną z »głów«. Gdy opowiedziałem swoją historię, usłyszałem w odpowiedzi: Człowieku, to South Carolina, tu wszystko jest możliwe. Nie zatrzymać się na sygnał policji to

groźna sprawa, może być źle. To już nie jest wykroczenie drogowe. To sprawa kryminalna. Ja jednak nie dawałem za wygraną i wciąż wierzyłem, że w końcu zostanę potraktowany jak zdezorientowany turysta, a po zapłaceniu mandatu zostanę zwolniony. Po kilkunastu lub kilkudziesięciu minutach (czas w więzieniu staje się wartością względną) pojawił się strażnik, który odprowadził mnie, wraz z czarnym kolegą, którego bardzo się obawiałem. Okazało się, że cela to mikroskopijny karcer. Pomieszczenie było bardzo małe i pozbawione całkowicie dziennego światła. Oprócz mojego pierwszego rozmówcy na podłodze siedział czarny mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Z wyrazem smutku i tęsknoty. Na głowie miał typową amerykańską czapkę z daszkiem, a ubrany był w stare, podarte ogrodniczki. Milczał. Jednym słowem – typowy obraz murzyńskiego niewolnika z czasów wojny secesyjnej. W największych nawet opałach już po chwili odzyskuję równowagę psychiczną i góruję nad otoczeniem wewnętrzną siłą i poczuciem humoru. Również i tym razem, pomimo abstrakcyjnej, surrealistycznej grozy, skusiłem się na kolorowe wizje. W kilku słowach zmieszałem z błotem amerykańską demokrację, a ostro przereklamowany »american dream« nazwałem »american nightmare«. To wzbudziło zaufanie moich współlokatorów. Pierwszy rozmówca, Dave, postanowił jednak wrócić do wyjaśniania mi mojej sytuacji: »To nie chodzi o to, że chcę cię postraszyć, masz dobre serce, ja to czuję, chcę ci pomóc. Pamiętaj, to South Carolina. W świetle tutejszego prawa to poważne przestępstwo. Oni wciąż żyją w dziewiętnastym wieku. Tu czas się zatrzymał. Biali nienawidzą czarnych, a czarni nienawidzą białych lub się ich boją. Oficjalnie możesz dostać za to od pięciu do dziesięciu lat…« Zamarłem. Zapadło przenikliwe milczenie. Przez jakiś czas usiłowałem uporządkować myśli. Bezskutecznie. Na próżno. Byłem wyczerpany. Poprzednią noc spędziłem za kierownicą”.

Mimo wszystko Bogdan liczył na szybkie i łagodne załatwienie sprawy.

„Ostatecznie sędzia to osoba wykształcona, a nie półanalfabeta (oficer amerykański!!!), który po akademii policyjnej ma problem ze zidentyfikowaniem takiego kraju jak Polska, w konsekwencji nie za bardzo wiedząc, jak w oficjalnym raporcie wpisać słowo Poland. Od wielu godzin nie miałem w ustach kropli wody. Na moją prośbę o choćby łyk nikt tu nie reaguje. Udają, że nie wiadomo, o co mi chodzi, co tylko potęguje moje przygnębienie. Mam silne wrażenie, że wpadłem w pułapkę w stylu »Procesu« Kafki. Po bezskutecznych próbach analizy faktów oddałem swoje sprawy w ręce Boga. Znów w sercu i głowie zabrzmiały refreny moich piosenek – wolność kocham i rozumiem… Nawet najkrótsza chwila koncentracji myśli wokół Boga dodaje sił. Z powalającego bezruchu moje myśli niczym punkt w sinusoidzie wspięły się w górę. Przerwałem ciszę następującym oświadczeniem: »Pierdolę tych idiotów, nie mogą mi nic zrobić. To oni żyją w klatkach swoich ograniczonych umysłów. Ja jestem tu w Ameryce nie dla pieniędzy, nie dla złota. Jestem i byłem zawsze wolny. Nawet tu, w więzieniu. Mam chyba duszę Indianina. Mogę niczym ptak wznieść się nad ziemię i odfrunąć w dowolnym kierunku«. Te słowa spowodowały, że nawet milczący »czarny niewolnik« roześmiał się głośno. Dave nie dawał jednak za wygraną i choć śmiał się równie głośno, niemal natychmiast powrócił do swojej pesymistycznej wizji mojego losu: »Widzisz, Bugi, jeżeli trafisz na czarnego sędziego, który nienawidzi białych, to źle, ale możesz też trafić na białego, który nienawidzi turystów, bo oni zwykle lubią czarnych. Pamiętaj, tu ciągle działa Ku-Klux-Klan. Ostatnia ofiara straciła życie dwa miesiące temu. Tu wciąż giną bez śladu czarni ludzie. O tym się jednak głośno nie mówi«. Gdy obaj uznaliśmy, że moja sytuacja jest beznadziejna, Dave rozpoczął opowieść o swoim życiu.

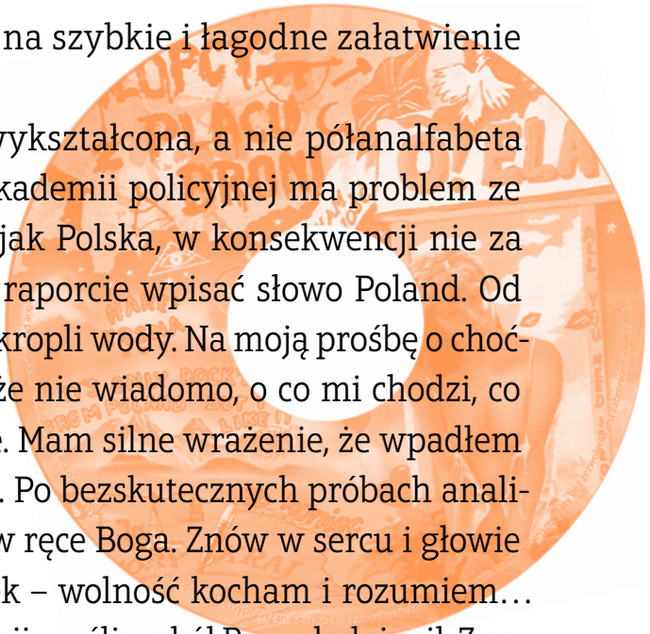

O! Ela | Kocham wolność | 3:24

Pierwszy raz trafił do więzienia za kokainę. Przyłapano go we własnym mieszkaniu, w którym znaleziono torebkę z 250 gramami. Ponieważ zabrakło jakichś dowodów, udało mu się cudem uniknąć więzienia. Chociaż, jak sam twierdził, nigdy nie brał towaru – był handlarzem. Wymigał się z pomocą słono opłacanego adwokata, który całkowicie go zrujnował. Otrzymał dwa lata w zawieszeniu i wysoką grzywnę. Tym razem zaś odwoził jedną ze swoich – jak się wyraził – licznych konkubin do szpitala. Pech chciał, że nie mając prawa jazdy, został schwytany przez znajomego policjanta (smarkacza w wieku około 20 lat). Oto czym jest życie w prowincjonalnym miasteczku. Wszyscy się znają, a tak naprawdę to może nic nie znaczyć. Osadzono go jako recydywistę, bo Dave'a dodatkowo pogrążył fakt, że nie minęły dwa lata zawieszenia… Zrozumiałem, skąd w nim tyle przygnębienia, którego nie mogłem za nic pokonać. Mijały kolejne godziny oczekiwania na spotkanie z sędzią. Strażnik złośliwie nie odpowiadał na pytania, która jest godzina, lub jego odpowiedzi były wyraźnie pozbawione sensu. To znaczy, raz mówił, że jest piętnasta czterdzieści, by po upływie moim zdaniem mniej więcej godziny odpowiedzieć, że jest czternasta pięćdziesiąt. To barbarzyństwO! Gdzie się podziała słynna amerykańska sprawiedliwość? Odpowiedź jest jedna i NIECENZURALNA…

Amerykańska sprawiedliwość spoczywa w szanownych »tyłach« senatorów i kolejnych bohaterskich prezydentów. Ośmielam się na takie oświadczenie, ponieważ szczerze kocham ten kraj – jako Polak i jako obywatel świata. Jednak uważam, że zbyt wiele szkodliwych mitów nagromadziło się na temat tego pięknego skądinąd i interesującego miejsca. Jeśli USA to raj na ziemi (coś w tym jest), to jednak bardzo ziemski raj i tylko z plastiku. Ma to swój niepowtarzalny urok, ale bywa też źródłem wielu nieporozumień. Materialne prosperity to nie wszystko… Ten frazes brzmi symbolicznie tu, w USA – stolicy luksusu dla każdego. (…) Nieoczekiwanie w międzyczasie w małym okienku naszej celi pojawił się posiłek. Ryba, ryż, sałatka, galaretka i mus jabłkowy z ogromną ilością lodu. Wyglądało nieźle. Wypiłem sok i skubnąłem trochę ryby. Resztę oddałem wyraźnie wygłodniałemu Dave'owi, który z radością połknął w okamgnieniu swój i mój posiłek. Co jakiś czas błyskał tylko swoimi złotymi zębami, unosząc głowę znad plastikowej miski, by dziękować mi, że odstąpiłem mu swoją porcję. Prawdopodobnie wyczuł, że jestem »mięczakiem«, i już po obiedzie zaczął głośno komentować moją sytuację ekonomiczną. »Jeżeli masz pieniądze, to dobrze. Zapłać kaucję i uciekaj z South Caroliny. Nigdy cię nie znajdą. Im potrzebne są twoje pieniądze, nic więcej. Ale prawo mówi, że tylko ktoś z South Caroliny może wpłacić kaucję. Sam nie możesz, ani żaden obywatel amerykański, który jest mieszkańcem innego stanu. Może ci pomóc tylko ktoś tutejszy. Masz kogoś?« – zapytał, znając odpowiedź. A jak myślisz? Jasne, że nie! – odpowiedziałem, nie ukrywając zdenerwowania i wyczuwając prowokację. »Bo widzisz – kontynuował Dave – ja, gdybym był wolny… ale czekam na moją dziewczynę, która próbuje zorganizować 200 dolarów, a tak w ogóle to mam jakieś znajomości w departamencie więziennictwa. Pożycz mi te 200 dolarów, a ja, jak wyjdę, odwiedzę cię tutaj w więzieniu i dasz mi swój numer PIN z karty VISA, a ja wpłacę za ciebie kaucję i będziesz wolny. Pamiętaj, byle dalej od South Caroliny. Patrz, oto moje dokumenty«. Sięgnął do skarpetki i wyjął plastikowy dokument ze zdjęciem. Udając zainteresowanie, zdążyłem stwierdzić, że poza numerem, zdjęciem i tajemniczym podpisem nie ma wyraźnego imienia i nazwiska… Zresztą tak czy owak tego typu kombinacje mogą się skończyć wiadomo jak.

W najgorętszym momencie naszej rozmowy otworzyły się drzwi. Tym razem inny, nieco bardziej uprzejmy strażnik wyprowadził nas na spotkanie z sędzią i kamień spadł mi z serca. Ucieszyłem się na myśl o wolności. Spotkanie z judge Paul zapowiadało się sympatycznie. Dama lat około pięćdziesięciu z typowo amerykańskim wyczuciem taktu, uśmiechnąwszy się, zaproponowała mi, bym usiadł

w miękkim fotelu. Obok mnie usiadł Dave. W rogu małego pokoju stała flaga USA, a za naszymi plecami na zwykłym krześle usiadł strażnik. Wpierw pani Paul zajęła się Dave'em. Spokojnym, niemal wyciszonym, jakby matczynym głosem wyrecytowała bezbłędnie wszystkie formułki, zadała kilka pytań, na które Dave odpowiedział posłusznie niby skarcony uczniak. Po kilku minutach miłej pogawędki dowiedział się, że potrzebuje 2000 dolarów na kaucję, a proces czeka go 13 kwietnia 1999 roku. Sędzina podniosła głowę znad dokumentów i poprosiła, bym przedstawił jej swoją wersję wydarzeń. Po raz kolejny z uczuciem i sercem, zgodnie z prawdą, w najdrobniejszych szczegółach złożyłem wyjaśnienia. Gdy uradowany skończyłem, w odpowiedzi, niczym wyrazisty komentarz, zapadła cisza. »No cóż, nic nie mogę dla pana zrobić, takie jest prawo stanu. Pańska kaucja wynosi 5000 dolarów. Termin rozprawy to 13 kwietnia 1999 roku. Do tego czasu, o ile nikt nie wpłaci kaucji, musi pan pozostać w więzieniu«. Zdębiałem. Zacząłem udawać głupka. Tłumaczyć się (w końcu to prawda) absolutną nieznajomością języka prawa amerykańskiego, próbowałem tę sprawę umieścić na szczeblu stosunków międzynarodowych. Judge Paul spokojnym komentarzem poprosiła o zrozumienie i zwróciła się do Dave'a: »Bardzo proszę pana, niech pan wyjaśni swojemu koledze, jak działa nasz system. Ja jestem już dość zmęczona, a jeszcze mam kilka innych spraw. Wam zaś na pewno nie zabraknie czasu. Have a nice day«. Zagotowałem się od wewnątrz. Miałem ochotę ją udusić i krzyczeć. Jeszcze dla zasady próbowałem coś wskórać. Takie hece ostatni raz miały miejsce w moim życiu tuż przed maturą, gdy z jakiegoś idiotycznego przedmiotu groziła mi pała, a pedagog się uwziął i zdawało się, że żadna siła go nie przekona. Fiu, fiu, fiu, pomyślałem, odmaszerowując ze zwieszoną głową w kierunku celi… Następnego dnia rano otrzymałem więzienny uniform i zostałem przeniesiony do zbiorowej celi. Dodatkowo mój nastrój pogarszał fakt, że nie wiedziałem, co dzieje się z moim autem, gitarami i – co najważniejsze – ze znajdującymi się w bagażniku tekstami i nagraniami demo – owocem wieloletnich poszukiwań, których duplikatu nie posiadałem. Na moje pytanie o to, co się stało lub stanie z moim dobytkiem, sędzina Paul ze zrozumieniem, ale i zniecierpliwieniem głośno oświadczyła, że to nie jej sprawa, tylko moja, ale należy oczekiwać, że wszystko jest w porządku. (…) Gdy wspomniałem, że jedna z gitar warta jest cztery tysiące dolarów, jako komentarz usłyszałem: U! A! Opowieść o tekstach w ogóle nie zrobiła na dystyngowanej damie żadnego wrażenia".

Nie pozwolono Bogdanowi zabrać żadnych przedmiotów z samochodu. Było to o tyle kłopotliwe, że w jednej z toreb miał notes z numerami telefonów do przyjaciół z Nowego Jorku.

„Na szczęście pamiętałem numer telefonu do Szekspira. Szczęśliwym trafem miał telefon do Pawła Mąciwody i Norene, która jako rodowita Amerykanka i moja prawdziwa przyjaciółka mogła być pomocna jak nikt inny. I była. Po raz kolejny się przekonałem, że Norene to cudowna, życzliwa, czarująca, pełna siły i niezwykłego czaru osoba. Ktoś, kto potrafi kochać bliźnich. Ponadto wyjątkowo utalentowana organizacyjnie. W kontaktach z obcymi ludźmi potrafi zdziałać cuda".

– Norene była moją ówczesną żoną – wspomina Paweł Mąciwoda – to niezwykle zaradna osoba, która potrafiła stawić czoło nawet najbardziej ekstremalnym sytuacjom. Świetna dyplomatka. Na co dzień była asystentką Lurie Anderson, więc wiedziała, jak od prawniczej strony zająć się trudną sytuacją Bogdana. Stanęło na tym, że mógł odzyskać wolność, ale po zapłaceniu sporej kaucji. Już kiedy kupił ten samochód, to się o niego martwiliśmy. Bogdan miał ciężką nogę, a to nie jest dobra cecha na amerykańskie drogi – szerokie, równe, ale i obarczone wieloma surowo przestrzeganymi

przepisami. Wiem coś o tym, bo przez lata byłem w Stanach zawodowym kierowcą.

Pieniądze na zapłacenie kaucji pożyczyli Bogdanowi jego krakowscy przyjaciele, między innymi Jerzy Tyndel.

– Zadzwonił do mnie, że potrzebuje pieniędzy. Nie pamiętam już dokładnie kwoty, ale mogło to być gdzieś około dwóch tysięcy dolarów. Prosił, bym mu je wysłał. Powiedział, że chce wyjść z tego więzienia i dokończyć podróż. Później ma szansę zagrać jeszcze kilka koncertów, więc się odkuje. Koniecznie chciał uregulować w całości kaucję na miejscu. Uznał, że nie może wsiąść do samolotu z „długami". To proste – nie chciał sobie blokować drzwi do kraju, który tak kochał. Zamierzał tam wracać jeszcze wielokrotnie. Zgodziłem się mu pomóc, bo dlaczego nie? Wtedy też po raz pierwszy poznałem coś takiego jak szybkie przelewy gotówkowe z Polski do USA. To była druga połowa lat dziewięćdziesiątych i jeden jedyny bank w Krakowie oferował usługę Western Union. Bogdan mnie nakierował. Wytłumaczył mi to oczywiście po swojemu: „Słuchaj, Jurek, to jest tak, że mówisz, że te pieniądze odbierze człowiek w okularach i brązowych butach, powie hasło rozpoznawcze. Ameryka – tak się tutaj to robi!". Dla pewności wysłałem pieniądze na „nazwisko". Z tego co wiem, to pierwsze, co zrobił po powrocie do kraju, to oddał mi te pieniądze. Jemu można było ufać – wspomina.

W polskich gazetach, które już zdążyły napisać o kłopotach lidera zespołu Chłopcy z Placu Broni, pojawiły się nawet teksty o zbiórce pieniędzy na wykupienie muzyka z więzienia. Dzięki pomocy przyjaciół Bogdan wyszedł na wolność, po czym w mig ruszył w dalszą trasę. Pochłonięty drogą, nie prowadził już tak ochoczo dziennika. Regularniejsze zapiski pojawiają się w nim jedynie podczas wizyty w Las Vegas.

„Świętej pamięci Krzysztof Kieślowski (świeć Panie nad Jego duszą) powiedział kiedyś w rozmowie z pewnym amerykańskim krytykiem filmowym, że ma zamiar nakręcić trylogię: piekło, czyściec, raj… i że piekło umieściłby w Las Vegas. Byłem w L.V. i nie sądzę, by było to aż tak groźne miejsce, ale być może z jakichś nieznanych mi przyczyn śp. Krzysztof Kieślowski ma rację. (…) Las Vegas powszechnie uważane jest za centrum hazardu, rozrywki i nocnego życia. W moim odczuciu, jako urodzonego OPTYMISTY, jest miejscem głęboko depresyjnym. Po pierwsze – nieznośna świadomość, że to zwykła pralnia brudnych pieniędzy pochodzenia mafijnego. Po drugie – nieustająca orgia świateł. Po trzecie – kicz spotęgowany bezlitosną tandetą na każdym kroku. Po czwarte – nastrój sodomy i gomory. Po piąte – twarze ludzi raczej smutne. Po szóste – atmosfera tymczasowości wręcz boli. Po siódme – chociaż miejsce to powstało na pustyni, właściwie tutaj bardziej niż gdziekolwiek poczułem niewypowiedziany żal i smutek, że ziemię odebrano naturze. To jest jej właścicielom – Indianom, których postawa życiowa oparta na głębokim szacunku wobec dzieła stworzenia i niechęci do przetwarzania świata, a także umiejętność czerpania radości życia z kontaktu z przyrodą jest mi bliższa niż niejeden traktat filozoficzny. (…) Tu przemysłowo obdziera się ze skóry – oczywiście nęcąc fortuną – każdego, kto da się nabrać. Nie widziałem ani jednej szczerze rozradowanej twarzy, nawet wśród tych, którzy wygrywali spore sumy. Na ogół pierwsza reakcja wygranego to dalsza inwestycja w hazard. To kolejny groźny, legalny narkotyk. Osobiście jestem, byłem i będę wrogiem hazardu. Doświadczenie to bowiem mam za sobą. W wieku czternastu lat, posługując się kartami zdobionymi w zdjęcia pornograficzne, graliśmy w ścisłym gronie

kolegów w pokera na grosiki. Popijając tanie wino, popalaliśmy papierosy i słuchaliśmy Beatlesów, Stonesów, czasem Queen. W tym samym czasie przeczytałem »Gracza« Dostojewskiego i od tamtych dni mój stosunek do hazardu uległ zmianie. Zdecydowane NIE. Jak to pięknie śpiewa Marek Jackowski – »w życiu trzeba zawsze wolnym być«. Może brak mi poczucia humoru, może nie mam należytego dystansu… Wszystko jedno. Nie mam ochoty tu wracać, jakby na przekór żegnającym wyjeżdżających z miasta tablicom z napisem: DRIVE SAFELY, COME BACK SOON!".

W wywiadach prasowych udzielonych po powrocie z wojażu zwierzał się, że niezmiennie Ameryka go zachwyciła. Szczególnie przyrodą i bezkresem horyzontu. Ta wyprawa sprawiła też, że o wiele częściej sięgał po gitarę (woził ją ze sobą na tylnym siedzeniu) i komponował. Bogdan lubił takie sytuacje. Był w drodze, każdego dnia doznawał czegoś nowego. Karmiło to niespokojnego ducha. Spowodowało też, że piosenki znów zaczęły pojawiać się w jego życiu.

– Przemierzając potężne przestrzenie Ameryki Północnej, poczułem się jakoś bardzo dziwnie. Wręcz jak bohater „Trylogii", pustynie wydały mi się stepami Ukrainy. Cały ten ogrom, ta groźna potęga były dla mnie żywym wyobrażeniem Polski przedrozbiorowej. Bo ja żyłem wtedy jakby w halucynacji, iluminacji, tętniło we mnie życie z nieprawdopodobną, niespotykaną dotąd siłą. Ponieważ miesiącami co dzień zmieniał się krajobraz, co dzień też byłem świadkiem czegoś zupełnie niezwykłego, o czym trudno mówić. W związku z tym niemal co dzień powstawała jakaś piosenka. Przez kilka miesięcy napisałem kilkadziesiąt utworów, co mi się wcześniej w ogóle w życiu nie zdarzało. Może nie jest tak ważne, ile tych utworów powstało, ale ważne jest to, że żyłem jakby w transie. Udziałem moim było niezwykłe przeżycie, zupełnie nieprawdopodobne. Kilka razy dziennie bowiem zatrzymywałem się po to, by notować słowa, melodie. Miałem cały czas obok siebie gitarę, cienkopis i zeszyt – wspominał.

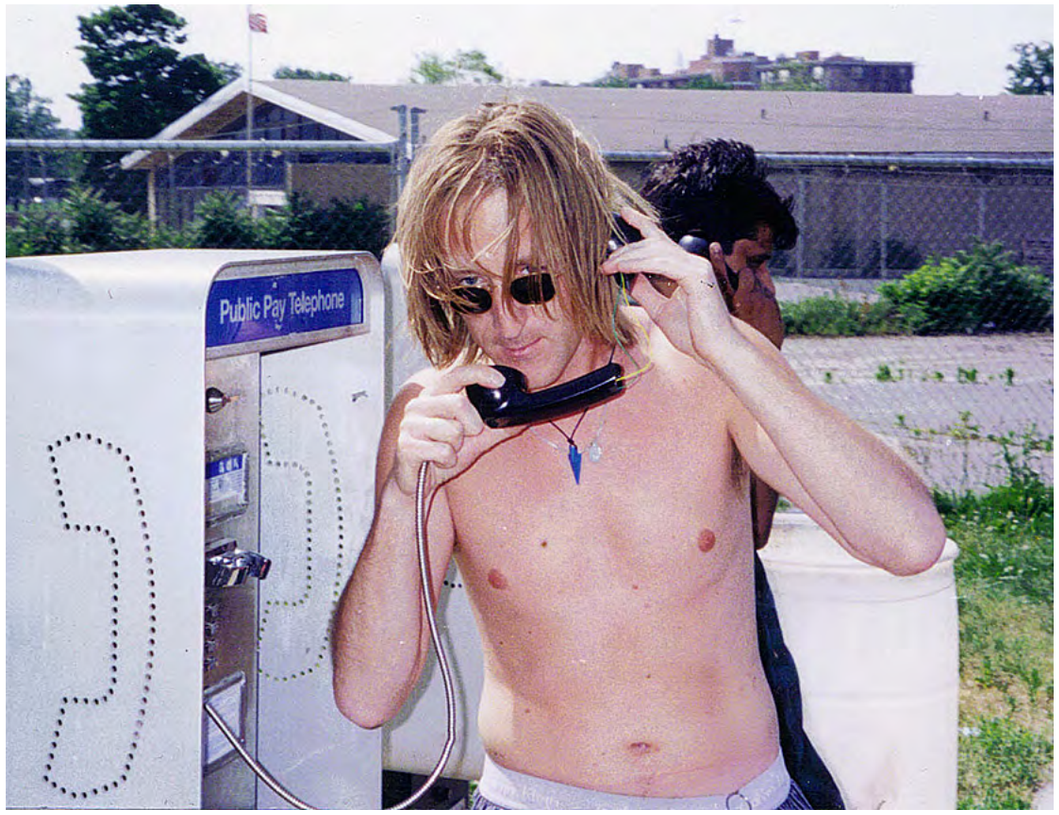

W drodze. USA

PAWEŁ SITO: *On potrafił tam pojechać nawet bez grosza przy duszy… Był easy riderem. Wszystko to czasem wyglądało jak sen dzieciaka, który właśnie się realizuje w rzeczywistości. On tam nie jeździł turystycznie – w znaczeniu, że wynajmuje dobry hotel i przemierza handlowe dzielnice największych miast. Jego gnało w przestrzeń, w głąb tego wielkiego kraju… Ja nie zawsze go rozumiałem, rozmawialiśmy o tym. Ja, lecąc do USA, wybierałbym metropolie i wygodne życie, a nie zasuwanie po stepach, gdzie nic nie ma… Marnowanie czasu. Jako epizod to okay, ale nie jako pomysł na życie.*

Bogdan nawet straszył, że zostanie w tych Stanach, że kupi sobie tam jakąś chatkę. Będzie słuchał country, prowadził szczęśliwy żywot kowboja. To się wiązało z tym jego niepoprawnym, ale i szalenie romantycznym umiłowaniem wolności.

– Byłem z nim parę razy w USA. Traktował Stany zupełnie bezkrytycznie. Jemu tam wszystko pasowało. Nawet wtedy, kiedy został obrabowany w metrze, nie robił z tego dramatu, bo uznał, że taka właśnie jest Ameryka. Nie bał się spacerów w niebezpiecznych dzielnicach. Podchodził do groźnie wyglądających Murzynów i Latynosów, którzy byli autentycznie zszokowani, kiedy z uśmiechem próbował z nimi nawiązywać rozmowę. – wspomina Jacek Królik.

PAWEŁ MĄCIWODA: *Bogdan był człowiekiem, który miał jakiś nieodgadniony talent do znajdowania się w zupełnie dziwnych sytuacjach, które wiązały się z nieustannym zainteresowaniem światem i jego zakamarkami. Takich, jakie właściwie tylko jemu mogły się przydarzyć. Kiedyś go zapytałem, po co znów poszedł do niebezpiecznej murzyńskiej dzielnicy, a on ze spokojem odparł: No jak to po co? Do sklepu po serek. Skończył się…*

OLEK KLEPACZ: *Boguś był bardzo kowbojsko–hipisowski. Dlatego w Stanach się dobrze czuł. Jeszcze jak byliśmy szczeniakami, często go pytałem: Urodziłeś się w Krakowie, nad Wisłą, a co ty robisz? Po co nosisz te kowbojskie buty? Myślę, że on się „przebierał", żeby uzyskać pewien stan. On wiedział, że tutaj nie ma i nie będzie Arizony. Był jak papuga w tym swoim Krakowie. Pośród tych wszystkich gołębi na Rynku on był papugą. Chyba nawet Skrzynecki nie był tak charakterystyczny w pewnych latach, jak był właśnie Boguś. Był zafascynowany całą tą jazdą. Wolnością, którą z momentem wbicia wizy USA się otrzymywało. Po latach byliśmy dalej dziećmi, tyle że zabawki nam zdrożały… Kupował te swoje „cadillaki" – symbole niezależności. Wszystkim chyba chodzi po głowie takie pragnienie, by któregoś dnia stanąć na highwayu i zatańczyć na masce samochodu w kurtce z wężowej skóry przy fajnym numerze i łyku Jacka Danielsa. On je zrealizował. Zrealizował to, o czym marzył. Mam do niego wielki szacunek.*

KORA: *Był osobą emocjonalną. Kochał te swoje auta, kochał Amerykę. Choć emocje towarzyszące mu w byciu z inną osobą też były dla niego bardzo ważne, to jednak ten niespokojny duch dawał o sobie znać. Nie był konwencjonalnym mężczyzną i wcale nie dlatego, że zajmował się muzyką. Być z nim to zaakceptować jego poczucie wolności. Doskonale to rozumiem. Też jestem osobą, która lubi spędzać czas samemu, która lubi wyjeżdżać. Nie znoszę, kiedy ktoś chce mnie zaanektować całą. Byliśmy w tym do siebie podobni.*

– Stany były dla niego jakąś mityczną krainą. Zza różowych okularów nie widział tego, co nieciekawe i purytańskie. Trzeźwiej spojrzał na Amerykę, kiedy dokonano tam zamachu na jego wolność, przystawiono pistolet do głowy – dodaje Magda.

W tej swojej wielkiej, fantastycznej podróży jednak starał się nie tracić kontaktu z Magdą.

– Mieszkałam w różnych miejscach. Bogdan pisywał na adres szkoły. Dostawałam mnóstwo kartek pocztowych. Był w drodze, nie mogłam więc odpisać. Hibernacja związku bez szans na odmrożenie. Nagle telefon, wraca. Niezrozumiały wyjazd i niespodziewany powrót.

Wkrótce po tej rozmowie w Krakowie wylądował Bogdan. Nieco później do portu w Hamburgu dopłynęło jego camaro.

MAGDA BOĆ: *Nasze pierwsze po długim czasie spotkanie odbyło się bez skrępowania i bez niepewności. Jakbyśmy się nie rozstawali. Jakby czas nie minął. Nie musieliśmy niczego wyjaśniać. Wiadomo było, że jesteśmy razem.*

Jeden z koncertów – recitali, które Bogdan zagrał po powrocie z USA, w Bielsku-Białej, nieoczekiwanie zaowocował nie tylko gażą za występ, ale i w efekcie wykorzystaną przez niego szansą na nagranie kolejnego albumu. Wszystko dzięki temu, że zupełnie niespodziewanie na drodze Bogdana pojawił się człowiek, który trzynaście lat wcześniej zakwalifikował go do koncertu na festiwalu w Jarocinie. Historia zataczała właśnie koło.

MARCIN JACOBSON: *Jakimś dziwnym trafem pojawiłem się tamtego wieczoru w klubie. Byłem wówczas szefem Sceny FM – komórki, która organizowała imprezy promocyjne radia RMF i była administratorem studia nagrań. Doszedłem do wniosku, że skoro mamy własne studio, to możemy też wydawać płyty. Myślałem naiwnie, że będą promowane na antenie, niestety okazało się, że nie było tak do końca. W każdym razie zaczęliśmy wtedy wydawać rockowe płyty, między innymi Johna Portera, Tadeusza Nalepy, Sebastiana Riedla i jego zespołu Cree. Po występie Bogdana usiedliśmy, by niezobowiązująco porozmawiać, poopowiadać, co się dzieje u mnie, co u niego. Bogdan był świeżo po powrocie z kolejnego wyjazdu do Stanów i jak zwykle pod silnym wrażeniem tego kraju. Opowiadał o Ameryce zresztą już ze sceny jako o krainie szczęścia. W pewnym momencie zaczął się zwierzać, że ma gotowy materiał na płytę i nic, tylko to nagrać. Był niezwykle przekonującym człowiekiem. W jego wykonaniu to nie było nigdy tak zwane „ostre starcie", bardziej „trzepotanie rzęsami". Potrafił prawić komplementy i w niewinny sposób manipulować rozmówcą. W każdym razie jak sobie coś wymyślił, to potrafił to zrealizować. Pomyślałem, że trzeba by to, o czym Bogdan mówi, wdrożyć w życie, nic mnie to w sumie nie kosztowało. Niedługo po tym spotkaniu podpisaliśmy kontrakt na nagranie płyty Chłopców z Placu Broni.*

Wkrótce po tym zdarzeniu Bogdan z „Chłopcami" przenieśli się z instrumentami pod krakowski kopiec Kościuszki, by rozpocząć… najdłuższą sesję nagraniową nowożytnej Europy. Takiego właśnie określenia z czasem się dorobiła. Dlaczego? Bogdan sprawiał wrażenie zupełnie rozbitego. Związek z Magdą zaczął się komplikować. Wiele osób, które miały z nim wtedy kontakt, potwierdza kiepską kondycję psychiczną Bogdana.

– Powrót Bogdana to była euforia, ale niestety pojawiła się też nieufność z mojej strony. Pewien dystans. Przecież raz mnie już zawiódł – kiedy myślałam, że jesteśmy najbliżej, zostawił mnie. Rozmijaliśmy się. Bogdan uświadomił sobie w Stanach, że bardzo mu na nas zależy. Podjął pewne decyzje dotyczące mojej osoby, ale podjął je beze mnie. Zaczęłam mu się wymykać, wyślizgiwać. W końcu uciekłam. Trochę z lęku przed tym, czego chciał dla nas… Trochę przez pewną niedojrzałość. Byłam jednak trzynaście lat młodsza od niego, zagubiłam się – wspomina ten czas Magda.

JACEK KRÓLIK: *Oni przechodzili wiele trudnych momentów. Jako bliscy przyjaciele Bogdana, chcąc nie chcąc, obserwowaliśmy ten związek. Cieszył go niezmiernie, ale potrafił też mocno podcinać skrzydła.*

– Wiele razy mi opowiadał, że akurat jest nieszczęśliwie zakochany. Mówiłem mu: To twórz, Boguś! Wtedy właśnie wychodzą

spod pióra najpiękniejsze rzeczy. Jak to ktoś kiedyś powiedział – najpierw trzeba wpaść w gówno, żeby potem rozsiewać zapach róż. Choć u Bogusia nie było to akademickie, on raczej bardzo poważnie do tego podchodził, nawet wiązało mu to ręce. Mówiłem: Boguś, nie możesz być zawsze na koloniach. One się skończyły, wracamy do życia… Jakoś w tym czasie piliśmy gdzieś wódkę. Opowiadał mi o swojej miłości, wtedy niespełnionej – mówi Olek Klepacz.

JACEK WROŃSKI: *Dla Bogdana sfera uczuć była w życiu niezwykle ważna. Targała nim. Miał swoje fascynacje i często były one treścią jego życia. Miał liczne fanki, które do niego lgnęły, ale on się tym raczej nie interesował zbytnio. Wybierał sobie kobiety najmniej osiągalne. To stawiało przed nim wielkie wyzwania. Ale on to lubił. Rozmawiałem z nim w tym czasie wielokrotnie. Żalił się, że przeżywa ciężki okres. To była więc kolejna walka w imię miłości, jaką miał do stoczenia.*

JAREK KLIK: *Stałem z boku. Nie interweniowałem. Nie miałem prawa ingerować w jego życie, bo taka była nasza nieformalna umowa, ale zacząłem się niepokoić. Coś było nie tak. Z czasem sam zaczął szukać wsparcia. Żal mi go było. Męczył się. Z jednej strony miał do siebie pretensje, że popełnił jakieś błędy, ale z drugiej wiedział, że Magda też nie była fair. Wkrótce zamknął się w sobie. Czasami przez dłuższy czas nic nie mówił. Urwał nam się nawet z zabawy sylwestrowej. Kiedy zadzwoniłem do niego z pytaniem, gdzie jest – odpowiedział, że idzie z Gdyni do Sopotu plażą, że chce w spokoju pomyśleć. Wziął ze sobą na drogę butelkę whisky i wyszedł. Tłumaczyłem mu wielokrotnie: Bogdan, tego kwiatu jest pół światu. Nie docierało do niego zupełnie. Jakbym walił głową w mur. Strata ukochanej kobiety przysłoniła mu słońce. Mnie się to już przytrafiało w życiu. Zakończone związki były czymś może nie całkiem normalnym, ale oswoiłem się z tym. Jestem zodiakalnym skorpionem, przeżywam szybko i emocjonalnie, ale jednocześnie nie mam problemów z zapomnieniem. On jednak nie kupował mojej filozofii. Miał inne podejście do relacji damsko-męskich. Nie brakowało mu zainteresowania kobiet, ale nie miał w zwyczaju wykorzystywania tego. Nawet wtedy lgnęły do niego całkiem fajne i niegłupie dziewczyny, z którymi spokojnie mógłby sobie poukładać relacje. Nie chciał tego. Bogdan był wysokiej klasy dżentelmenem. Nie opowiadał mi nigdy o podbojach erotycznych czy tego rodzaju sytuacjach. Ze względu na szacunek dla płci przeciwnej zostawiał to dla siebie. Pomimo zażyłości nie było więc nigdy między nami standardowych rozmów dwóch facetów. Nie potrzebował tego. Pewnie nieraz wiele się w jego życiu w tej sferze działo, ale nigdy się nie chwalił. Wtedy też nie zastosował tego rodzaju wentylu – nie szukał odskoczni w ramionach innych kobiet.*

W pewnym momencie Bogdan wyraźnie stracił nad sobą kontrolę. Chęć i potrzeba odzyskania związku stała się priorytetem. Na dalszy plan zeszło nagrywanie nowej płyty. Oczywiście zjawiał się w studiu i wypełniał harmonogram nagrań, ale niestety robił to adekwatnie do swojego stanu. Rodziło to coraz większe napięcia pomiędzy wydawcą a zespołem. Już wkrótce atmosfera miała pęknąć…

MAGDA: *Mówił mi, że nie potrafi w akord trafić, że czuje się dramatycznie. Nasze rozstanie rozbiło go totalnie. Wiem o tym… Wszystko wtedy było bardzo mocne. Nasze słowa, zachowania, gesty. Raniliśmy siebie mocno i na oślep.*

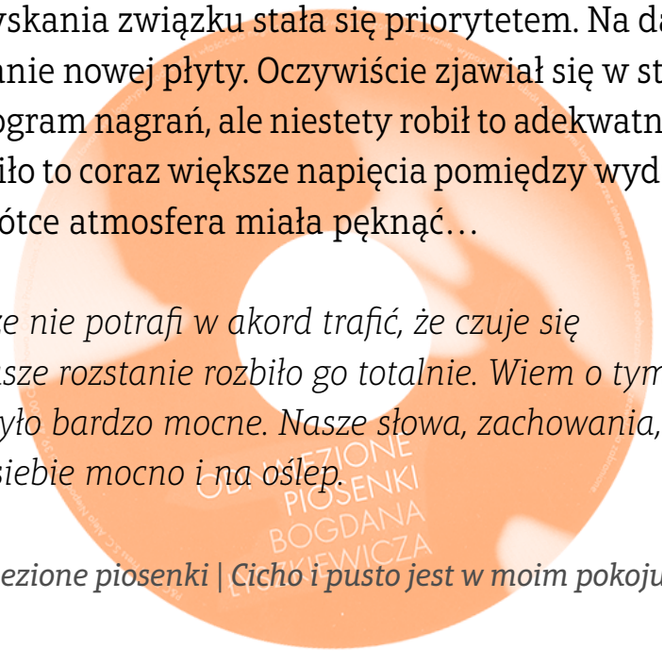

Odnalezione piosenki | Cicho i pusto jest w moim pokoju| 4:33

EWA LANGER: *Przychodził do mnie w tym okresie. Opowiadał o Magdzie, że bardzo ją kocha i cierpi. Żałował nawet, że wyjechał do Stanów. Mówił, że będzie walczył i ma zamiar ją odzyskać. Widać było, że sprawa odbudowania tego uczucia to dla niego było coś ważnego.*

Nagranie płyty i rozpoczęta sesja w krakowskim studiu zeszła na dalszy plan, zupełnie przestała się liczyć w sensie twórczym.

– Tego się nie da zapomnieć… Bogdan przecież przedstawił mi wizję, że płyta jest przygotowana od początku do końca i przećwiczona. Szybko się to wszystko zweryfikowało – mówi Jacobson.

JAREK KISIŃSKI: *Był artystą, osobowością. Nie do końca trzymał się w ramach organizacyjnych. Czasem było to kłopotliwe, a tym bardziej w studiu nagrań, gdzie trzeba zachować dyscyplinę. Tymczasem on codziennie miał inną koncepcję. Jednego dnia coś nagrał, na drugi dzień przyszedł i wszystko pozmieniał. O tym się mówiło.*

MAGDA: *Rozstaliśmy się. To nie była z mojej strony kokieteria ani próba sił. Odeszłam, zaczęłam się spotykać z kimś innym. On jednak potrafił czekać na mnie godzinami tylko po to, żeby kolejny raz usłyszeć moje „nie". Paradoksalnie ciągle byliśmy razem, miłość à rebours. Z lęku i niewiary zakłamywałam w sobie uczucie. On to wiedział. Dlatego był niezłomny. Chciał też przekonać mężczyznę, z którym się spotykałam, żeby odpuścił, że to tylko chwilowe. Szukał z nim kontaktu.*

JAREK KLIK: *To było duże uczucie, ale nie do końca zdrowa relacja. Ja bym nigdy nie porozmawiał z facetem, który poderwał mi dziewczynę. Prędzej bym mu chciał ryja obić. Tłumaczyłem mu to. Dla niego takie działanie nie było jednak do zaakceptowania. Był człowiekiem dialogu. Chciał się z gościem najzwyczajniej na świecie dogadać. Miał przecież, jego zdaniem, w tej ewentualnej rozmowie największy argument – to on kochał Magdę.*

Problemy Bogdana były jego prywatnymi sprawami, niemniej jednak szybko stały się problemami zespołu. Te powstały, kiedy sesja zaczęła znacznie przekraczać założony na powstanie płyty biznesplan – i czasowy, i finansowy. Jeden z drugim zresztą mocno związane. Wszystkie zmiany, dogrania, nagrania kosztowały, a jak wspominają osoby zaangażowane w sesję – Bogdan nie zawsze zdawał sobie z tego sprawę, a może zdawać sobie nie chciał. Miał przecież na głowie zupełnie inne nurtujące go sprawy…

JACOBSON: *To była kolejna z wielu płyt, których w swoim życiu byłem producentem. Nie wiem już która – może piętnasta, może dwudziesta. W tyle godzin, ile spędził Bogdan w studiu, można było nagrać dwa, jak nie trzy pełne albumy.*

– Kolejna sesja nagraniowa w wykonaniu Bogdana, o której nie tylko wśród krakowskich muzyków zaczęły krążyć mity. To naprawdę niespotykane, by kilka miesięcy spędzać w studiu. Ostatnio w historii muzyki zrobili tak chyba Pink Floydzi przy „Ciemnej stronie księżyca" – mówi Maciek Maleńczuk.

ROBERT LUBERA: *Ponieważ od pewnego momentu Bogdan traktował mnie już może nie jako przyjaciela, ale z pewnością bardzo dobrego kolegę, zaproponował mi udział w sesji do nowej płyty. Coś nam się jednak nie kleiło. Odbywaliśmy próby i spotkania z gitarami, ale raczej bezowocne. Ta sesja zresztą im nie szła.*

Bogdan miał w sobie coś takiego, że nie potrafił ukrywać gorszych momentów. Nie maskował ich. Człowiek na niego patrzył i zdawał sobie sprawę, że coś nie gra. Oczywiście sprawa uczuć była u niego niezwykle ważna i to właśnie te sytuacje najskuteczniej go przygnębiały. Innymi chyba aż tak bardzo się nie przejmował. W każdym razie trafiłem widać na ten słabszy moment, który nie okazał się twórczy. Bogdan w końcu się otworzył i oświadczył: Wiesz, Robert, ja cię przepraszam. Ale raczej nie skorzystam z tych rzeczy, które starałem się z tobą przećwiczyć… Powiedziałem mu, że okay, niech się tym nie przejmuje. Zaproponował nawet, że uwzględni mnie w książeczce płyty, dziękując za rozmowy o gitarach.

– To ewidentnie nie był jego dobry okres – dodaje Jacobson. – Bogdan chodził rozkojarzony. Nawet ten piękny amerykański samochód z każdym jego przyjazdem do studia był coraz mocniej poobijany – to gdzieś zahaczył, to znów uderzył, aż żal było patrzeć. Mimo że kilkakrotnie rozmawialiśmy na temat braku postępów w pracy nad płytą, to margines tolerancji był stale przeciągany. Aż do momentu krytycznego. Musiałem to przerwać.

Wtedy wydarzyło się coś, co nie wydarzyło się w historii zespołu jeszcze nigdy. Nawet kiedy Bogdan miewał problemy z wydawcami, to struna nie została aż tak mocno przeciągnięta.

– Doszło do tego, że wyrzuciłem ich ze studia. Była ciężka awantura. Negocjatorem został Franz. Stanęło na tym, że następne godziny spędzone na nagraniach będą odliczane od ich honorariów. Wtedy stosunkowo szybko tę płytę dokończyli – wspomina Marcin Jacobson.

Nie zmieniło to faktu, że Bogdan coraz bardziej zatracał się w walce o poukładanie życia osobistego. Wszystko, co w tym kierunku robił, szczęśliwie zaczęło go przybliżać do końcowego sukcesu. Magda, widząc starania, a właściwie bitwy, jakie Bogdan toczy o ratowanie ich uczucia, pozwoliła na przełamanie wcześniejszych lęków.

– Rozstanie było bardzo trudnym momentem. Moment powrotu był za to piękny, bo Bogdan wiedział, że ja wracam do niego bezwarunkowo i szczerze. Ja też to wiedziałam. Każdy musi odbyć jakąś drogę, żeby do czegoś dojrzeć, dorosnąć. Znowu byliśmy razem. Pokaleczeni, ale piękniejsi. Dla siebie jedyni. Bo dla mnie wciąż jest magiczne to, dlaczego on się we mnie zakochał. Takich rzeczy jednak się nie wie. Być może on też tego nie wiedział… – wspomina Magda.

Powrót stabilności uczuciowej w życiu Bogdana zagwarantował, że sesja nagraniowa została wreszcie dokończona. Wyrzucenie zespołu ze studia i groźba zerwania kontraktu nie była końcem tarć na linii Jacobson – Łyszkiewicz. Kolejna awantura rozpętała się, gdy Bogdan dostał do rąk wytłoczoną już płytę. Okazało się, że ustalona przez niego kolejność utworów nie została utrzymana i jego koncept albumu nie został przez to w pełni zrealizowany.

BOGDAN: *Chcę tylko wpływu na moją płytę. O, chociażby taka prozaiczna rzecz jak kolejność piosenek, która została zmieniona bez mojej wiedzy, a ja nad tym pracowałem dwa lata. Dlatego na przykład piosenka o seksie sąsiaduje z piosenką o matce. Jest sensacja, ale ja takich sensacji nie chcę. Tylko książeczka jest wydrukowana w takiej kolejności, jaką chciałem. To nie jest kwestia megalomanii. Moim zdaniem płyta jest jak książka, dzieli się na rozdziały, a one tworzą całość. Nie można sobie dowolnie tych rozdziałów przestawiać.*

JACOBSON: *Dał mi taką kolejność, że nie dało się tego słuchać. Być może miał jakąś wizję, ale ja musiałem uratować, co się dało. Zrobiłem to według swojej najlepszej wiedzy – by tego się dobrze słuchało. Bogdan rozpętał straszną awanturę. Był tam numer*

o matce, a sąsiadowała z tym utworem piosenka o miłości fizycznej. Zagroził, że poda mnie do sądu, bo sugeruję jakąś miłość kazirodczą. Bzdura totalna. Dość ostra była ta sytuacja, naprawdę nieprzyjemna. Bogdan się ostro awanturował, w swoim stylu oczywiście. W krótkim czasie wyrzucał z siebie straszną ilość słów. On nie był typem człowieka, który argumentuje swoje racje pięściami. Fizycznie człowiek mógł się przy nim czuć bezpiecznie… Franz złagodził wtedy tę sytuację. Wytłumaczył Bogdanowi, że skoro jestem producentem i wykonawcą, to mam do tego prawo, że tak jest na całym świecie i z pewnością zrobiłem to w dobrej wierze.

W jednym z promocyjnych wywiadów Bogdan już spokojnie tłumaczył i instruował słuchaczy, jak obchodzić się z nowym albumem, by „było dobrze": – Polecam słuchanie płyty w kolejności, która jest wydrukowana w książeczce z tekstami. W układzie autorskim, który ja stworzyłem. Jest to pewna całość. Można sobie taką opcję w odtwarzaczu zaprogramować.

– Był rozżalony o tę kolejność. Cały czas o tym mówił, cały czas się denerwował. Bezsilnie oczywiście, bo nic nie dało się już zmienić – wspomina Anna Łyszkiewicz.

Pomimo tych nieprzyjemnych dla siebie sytuacji, Bogdan bardzo lubił „Polskę".

– Oczywiście każda ostatnio nagrana płyta jest tą najlepszą. Tak zawsze myślałem o każdej swojej płycie. Tak czuję. Jakkolwiek piosenki zawsze powstają na przestrzeni wielu lat, jednak w chwili nagrania nabierają jakiejś szczególnej aktualności. Nagrania do tej płyty trwały dość długo. Skutkiem tego dość nieprawdopodobnego rozciągnięcia w czasie jest to, że kilka piosenek powstało już w trakcie realizacji nagrań i te właśnie piosenki stały się dla mnie kluczowe. Choć trudno mówić o kluczowych piosenkach, bo każda wydaje się kluczowa. Całość tworzy przecież tak zwany koncept album – mówił.

Skąd pomysł na taką właśnie formę wydawnictwa? Na zbiór utworów, z których wszystkie dotyczą istoty mieszkania w Polsce.

BOGDAN: *Jest to jakby historia człowieka, któremu się zdarzyło urodzić i żyć w Polsce. Człowieka, który będąc Polakiem, uważa, że to coś dla niego ważnego, a jednocześnie nie przecenia tego faktu. Przez wiele lat to, że byłem Polakiem, miało dla mnie inne znaczenie, jednak długie podróże, w tym szczególnie podróż samochodowa dookoła USA, sprawiły, iż w sposób dość brutalny zacząłem tęsknić za krajem. Za Krakowem, za dzieciństwem, za domem rodzinnym, za przyjaciółmi i za dziewczyną. Zobaczyłem Polskę jako kraj, w którym trochę lepiej mi się powodzi, w którym nie mam tylu kłopotów związanych z komunikacją. Przy czym nie chodzi tutaj o sprawy językowe, tylko o znajomość na przykład prawa. Nie wiem, czy gdybym był w tym czasie w ojczystym kraju, taki projekt pod tytułem „Polska" mógłby się narodzić. Dopiero z daleka, z dystansu fakt bycia Polakiem stał się dla mnie ważny – to, że żyję w ogóle, i że to życie pochodzi z tego dziwnego miejsca. To banał, że tęsknimy za tym, co umyka i co nieosiągalne, ten banał stał się jednak częścią mojej codzienności. Mam też nadzieję, że nie straciłem dystansu, poczucia humoru i dlatego ta płyta zdecydowanie nadaje się do słuchania i gorąco ją mogę każdemu polecić. Dlatego nie brak na tej płycie odrobiny sarkazmu. Dlatego wreszcie nie brak piosenek o wszystkim. O miłości. Nie brak tematów, które dotykają każdego i zawsze. Kocham tę płytę i kocham Polskę. Tak – jestem zakochany. Płyta zawiera piosenki na każdą okazję, ale proszę, by nikt nie odbierał jej na zasadzie koncertu życzeń. Jest na niej więc miejsce dla każdego. Jest jak w niebie. Mam nadzieję, że jest jak w niebie… Moim niebie. Więc zapraszam wszystkich serdecznie. Bądź moim gościem, strapiony człowieku, szczęśliwy człowieku, człowieku zagubiony i znaleziony. Bądźcie moimi gośćmi. Mam piosenkę dla każdego. Jest piosenka o kosmosie,*

jest piosenka piłkarska – o tym, jak wygrywać, jest piosenka o tym, że Polska to miejsce, gdzie marzenia się spełniają, jest piosenka o Krakowie, o domu rodzinnym, o matce, o przyjaźni, o tym, jak fatalnym miejscem bywa nasz kraj, i o tym, że jest to kraj piękny. Jest piosenka o policji, podatkach, seksie, miłości, czułości i zazdrości – słowem: esencja, egzystencja, chaos, porządek, doświadczenie i spontaniczność. Wyrafinowana to płyta i pospolita zarazem. Więcej powiem – można by rzec: Rzeczpospolita. To nie jest oczywiście płyta nawołująca do nacjonalizmu, jest to próba promocji Polski w Polsce.

Płyta rozpoczyna się utworem „Kosmos 2018". Dość nietypowym jak na stricte gitarowy zespół. Elektroniczne dźwięki bawią słuchaczy przez kilka minut.

BOGDAN: *Przede wszystkim chciałem, żeby to nagranie miało wydźwięk humorystyczny. Ale jeśli odebrano to jako kpinę, to bardzo proszę, można i tak: witam serdecznie w krainie ludzi z poczuciem humoru… Chodziło mi o to, aby na samym początku płyty wprowadzić atmosferę rozluźnienia. A przy okazji pobudzić wyobraźnię słuchacza. Ponieważ płyta ma tytuł „Polska", chciałem spojrzeć na nasz kraj, na nasz naród nieco szerzej. Chciałem dać szansę wyobrażenia sobie, że Polacy doczekali się własnego statku kosmicznego. Jest, powiedzmy, 11 listopada roku 2018, kolejna rocznica odzyskania niepodległości, właśnie odlatuje pierwszy polski statek kosmiczny i jest to kolejny symbol zwycięstwa narodu polskiego. Błyskają flesze, tłoczą się dziennikarze, szum, podniecenie…*

Także okładka płyty miała nawiązywać do ewentualnych kosmicznych podbojów polskich astronautów. W jej sprawie Bogdan wyruszył na spotkanie z Magdaleną Bayer, wspomnianą już autorką ilustracji tytułowej do akustycznego albumu sprzed sześciu niemal lat.

– Nie widzieliśmy się przez ten czas. Bogdan odnalazł mnie w Warszawie, gdzie wtedy już mieszkałam i pracowałam. Pamiętam, że widząc mnie, powiedział coś w rodzaju: czuję się, jakby te lata nie minęły… Znów dobrze nam się rozmawiało. Widać ani ja, ani on nie zmieniliśmy się przez ten czas na tyle, by coś nas poróżniło. Nasze charaktery nadal były podobne. Nie zapadła więc żadna kłopotliwa cisza. Opowiedział mi o płycie i o pomyśle na okładkę, czyli fladze polskiej wbitej w powierzchnię księżyca. Ja zrobiłam to troszkę inaczej, po swojemu. Po prostu cały księżyc pokryłam czerwienią i bielą. Nie protestował i chyba nawet mu się to spodobało.

BOGDAN W WYWIADZIE: *Chciałem, żeby się na niej znalazła scena zatknięcia biało-czerwonej flagi przez polskiego kosmonautę na Księżycu. Miało to mieć związek z numerem otwierającym płytę. Jednak autorka jakoś pominęła moją koncepcję. Jest sam Księżyc. Uznałem to za bardzo fajny psychodeliczny pejzaż. Spodobało mi się.*

Wraz z kolejnym albumem nie zmieniło się też podejście Bogdana do swojej twórczości.

– Gdy mnie ktoś pyta, jaką muzykę gram, wolę powiedzieć, że są to po prostu moje piosenki. Zresztą każdy zdaje sobie chyba sprawę z niesłychanej względności tego, co się nazywa rock'n'rollem. Zwłaszcza dziś. Nie chcę sobie zakładać na szyję pętli pt. „rock'n'roll", która uniemożliwiałaby mi w związku z wybranym stylem szersze spojrzenie na muzykę. Potrzebuję wolności, bo to najpiękniejsza rzecz, jaka może być, gdy zajmujesz się muzyką – bycie niezależnym. Muzyka zależy od piosenki i od tego, jaką jest opowieścią. Do jednej pasuje pazur rockowy, a do innej potrzebne są smyczki – tłumaczył w rozmowie z Robertem Kilenem.

Pokornie też odnosił się do zdarzeń, jakie w ostatnim czasie stały się jego udziałem.

– Zdarzyło mi się nieźle oberwać „w nagrodę” za pychę, próżność, za krótkowzroczność i łapczywość, i dlatego jest na tej płycie trochę bluesa. Dlatego moim zdaniem mam prawo do tego, by posługiwać się skalą bluesową, jako mym własnym dziedzictwem. Mam prawo do tego cudownego pomieszania, jakim jest symfonia smyczków w stylu neoromantycznym z bluesowym brzmieniem gitary. Mam więc zaszczyt, by dzielić się z ludźmi moim życiem, moimi sprawami, i wierzę w to, że mój język nie jest zbyt osobisty. Że jest ktoś, kto czeka na te piosenki, tak jak czeka się na – nie wiem – pierwszą miłość, tak jak czeka się na zachód słońca, na wschód słońca, na deszcz, na dotyk. I pragnę tę wiarę pielęgnować. Pielęgnować wiarę w to, że moje piosenki mogą komuś pomóc choć na chwilę rozjaśnić najsmutniejsze myśli, najczarniejsze dni.

Jednym z lepiej znanych utworów na płycie „Polska” jest z pewnością wspomniana przez Bogdana „Piosenka piłkarska”. Miała przecież zagrzewać do boju wybrańców selekcjonera Janusza Wójcika, którzy pod koniec lat dziewięćdziesiątych walczyli z rywalami o awans do mistrzostw świata. Napisana przez Bogdana na wzór hymnów brytyjskich kibiców, jest z pewnością jedną z ciekawszych piosenek, jakie mieli przez ostatnie lata okazję pośpiewać miłośnicy futbolu. „Słowa hymnu nie kleją się, gdy przegrywasz mecz. Choć przegrywać ludzka rzecz, zwycięzcą lepiej być” – te oto pierwsze linijki „Piosenki piłkarskiej” wyśpiewywały w Polsce tysiące kibiców. Do utworu powstał teledysk, w którym Bogdan ubrany w koszulkę polskiej reprezentacji, ze swoim ulubionym Rickenbackerem pojawiał się przed transmisjami najważniejszych meczów naszej kadry w domach w całej Polsce.

JACOBSON: *Bogdan pojechał do Warszawy i zakolegował się, zdaje się, z Przemkiem Babiarzem. Jak czegoś bardzo chciał, to wiedział, jak się zakręcić w temacie, który go akurat nękał. Wtedy na tapecie była u niego właśnie „Piosenka piłkarska”. Dopiął swego.*

BOGDAN: *Piosenka pojawiła się na długo przed wydaniem płyty. To jednak nie piosenka ma wygrywać, ale piłkarze. Muzyka jest silną porcją energii i może pomóc, ale nie można liczyć na to, że jest to zaklęcie, które wszystko zmieni czarodziejską różdżką. Niestety potrzebny jest wysiłek. Mówię to jako laik, jest to tylko moja opinia i nie chcę wołać ex cathedra w tej dziedzinie. Wydaje mi się, że nie jest to tylko złożenie wysiłku jedenastu zawodników plus rezerwowi i ekipy trenerów, ale też kwestia atmosfery w Polskim Związku Piłki Nożnej, walki o podkoszulki, o buty, w jakich kto wystąpi, jaka firma, czyli przepychanki – przepraszam, nie lubię tego słowa – finansowe. Piłkarze, choćby nie wiem jak utalentowani i nie wiem jak poszukiwani przez cały świat piłkarski, jako soliści całości nie zagrają dobrze, jeżeli cały czas będą trenować w atmosferze walki i niesnasek.*

Choć trafnie rozpoznawał bolączki polskiego futbolu, to potrafił też z rozbrajającą i właściwą sobie szczerością przyznać w jednym z wywiadów radiowych, że… – W ogóle nie interesuję się piłką nożną! Mnie interesuje polska drużyna jako reprezentacja kraju, i to, że ewentualne zwycięstwo reprezentacji może być zwycięstwem społecznym. Nie tylko w sporcie, ale w dowolnej dziedzinie życia.

JACEK WROŃSKI: *Pierwsze, co nasuwa mi się na myśl, kojarząc Bogdana z piłką nożną, to fakt, że on nie znosił kibolstwa. Przerażało go to i drażniło. Był za to zachwycony tym, że sport przede wszystkim wyzwala tak pozytywne emocje. Fascynowało go, że mecze gromadzą tylu ludzi – na żywo i przed telewizorami – i oczywiście to, że wszyscy wspólnie śpiewają hymn. W okresie promocji „Piosenki piłkarskiej” był często gościem „Studia Sport” i na żywo komentował niektóre aspekty naszego futbolowego świata.*

BOGDAN: *Nie chodzi tu o samą grę, ale o atmosferę. Tak jak było w 1974 roku: kiedy nasi grali, pustoszały ulice. Jak wygrywali lub przegrywali, naród krzyczał ze szczęścia albo wył z bólu.*

Z „Piosenką piłkarską" na ustach zespół pojawił się na meczu Polska – Szwecja, który został rozegrany 31 marca 1999 roku na Stadionie Śląskim w Chorzowie.

„Ożywczy, suchy i dość ciepły wieczór, a księżyc właśnie w pełni. Trybuny szumią, tysiące flag łopoczą w górze, światła dodają murawie dodatkowego uroku. (…) już na kilka godzin przed meczem ze Szwecją zajętych jest ponad 30 tysięcy miejsc. Tłum kibiców co chwilę podnosi się z miejsc, idzie meksykańska fala, nie milkną śpiewy i skandowane hasła" – wspomina ten mecz w swojej autobiografii Janusz Wójcik.

BOGDAN: *Razem z kolegami z redakcji sportowej poszliśmy pod budynek, gdzie było zgrupowanie polskich piłkarzy, i wszyscy odśpiewaliśmy im „Piosenkę piłkarską". Może za bardzo przejęli się tym, że mają wygrać…*

Polacy przegrali w Chorzowie z reprezentacją Szwecji 0:1, czym w dużej mierze zaprzepaścili szansę na wyjazd na wielką piłkarską imprezę, a przede wszystkim zawiedli ogromne oczekiwania i nadzieje polskich kibiców. Do ich rozbudzenia przyłożył się ówcześnie w jakimś stopniu nieinteresujący się na co dzień piłką Bogdan Łyszkiewicz. Muzyk, kompozytor, pacyfista… Brak obycia w piłkarskim światku nie przeszkodził mu jednak w wielu wywiadach nazywać po imieniu bolączek trapiących piłkarskie środowisko. Ponownie zacytujmy Janusza Wójcika, opisującego zdarzenia mające miejsce właśnie w czasie Bogdanowego zainteresowania tą dziedziną sportu: „Dla zdecydowanej większości działaczy Związku mecze i piłkarze są szkodliwym obciążeniem. (…) O, przepraszam – wyjazdowe mecze reprezentacji mają jednak swój niepowtarzalny, istotny walor. Można się bezpiecznie napić. Żona nie patrzy, koledzy nie podkablują szefowi, dziennikarze też piją…". I teraz uwaga, wątek muzyczny: „Najpierw jeden z naszych oficjeli był tak »unplugged«, że zgubił się po wyjściu z samolotu (wsiadł do lokalnego autobusu) i pojechał w siną dal. Musieliśmy go szukać przez zaprzyjaźnionych polityków i policjantów. Kiedy się wreszcie znalazł, okazało się, że po drodze zdążył poznać smak lokalnych spirytualiów. W efekcie obudził się następnego dnia po meczu i wynik poznał dopiero na pokładzie samolotu!".

Chłopcy z Placu Broni pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Kraków

Wróćmy do tego, co Bogdanowi wychodziło najlepiej. Do spraw stricte muzycznych. „Polska" zawiera bowiem także kolejną wersję utworu „Kocham Cię". Tym razem nagraną w wersji „telefonicznej". Bogdan śpiewa ją komuś przez słuchawkę z akompaniamentem samej tylko gitary. W jednym z wywiadów stwierdził, że zdarzało mu się grać i śpiewać przez telefon. W tej samej rozmowie przyznał też, że tak w ogóle to płaci wysokie rachunki.

Dziennikarzowi tej rozgłośni, Dariuszowi Tureckiemu, zdradził też, że to kolejna płyta, którą inspirowała miłość. W wielu wymiarach – jako miłość do drugiej osoby, ale i do kraju czy do matki:

– Są piosenki o miłości, jak na każdej płycie, ale w odpowiedniej proporcji do reszty. Wydaje mi się, że to też są piosenki o miłości, ale niekoniecznie wprost. Bo piosenka „Niepodległość", która traktuje o tęsknocie i sympatii do Polski pradawnej, jest piosenką o miłości w gruncie rzeczy. Tyle że nie używam tutaj tego klucza, jakim jest „ja i kobieta" czy „ja i człowiek", tylko bardziej ogólnie. Dotyczy to tych uczuć najlepszych, które żywię do mojego miejsca. Do miejsca, z którego wywodzimy się wszyscy. Chodzi mi o kraj, o język polski na przykład.

Jest i utwór „Karmelicka 17/8". Adres doskonale już poniekąd znany… Obok tej piosenki nie można przejść obojętnie. Tym bardziej, jeżeli mamy świadomość, że czas pisania tego utworu to ostatnie miesiące życia Bogdana. Nie ma co przypisywać zawartym w nim słowom proroctwa, a jednak ich sens – pożegnanie z rodzinnym domem i rodziną – jest bardzo mocnym akcentem płyty… „Dom, rodzinny dom. W oddali zniknął rozmów szum. Niedzielny obiad odfrunął gdzieś. Dom, rodzinny dom. Wspólny spacer urwał się. Spoglądam wstecz, szukam tych miejsc. Dom, cudowny dom. Uśmiechasz się, gdy chcę cię dotknąć, znikasz gdzieś jak we śnie. Dom, rodzinny dom. Żegnaj mamo, żegnaj tato, dziękuję za wszystko. Cześć…".

Wspomniane słowo „Cześć", będące zakończeniem utworu, kończy nie tylko „Karmelicką 17/8", ale i cały album. Ostatni, jaki Bogdan nagrał.

– To jest adres mojego dzieciństwa. Gdy ktoś będzie w Krakowie, na ulicy Karmelickiej 17, to może mieć pewność, że w tym miejscu mieszkałem. Ulica Karmelicka jest przedłużeniem Szewskiej. Jedną z najbardziej reprezentacyjnych ulic w Krakowie. Mieszczą się tam bardzo stare kamienice. Ja mieszkałem w budynku z czternastego wieku. Oczywiście ulegał on przeobrażeniom na przestrzeni wieków, ale była w nim jakaś niezwykła atmosfera. Co mogę jeszcze powiedzieć na temat ulicy Karmelickiej… To, co ważne, zawiera się w piosence. Nazywała się na początku „Dom rodzinny", ale w polskim prawie autorskim obowiązują bardzo dziwne przepisy – nie można powtarzać tytułów, więc najprostszym rozwiązaniem było podanie konkretnego adresu.

Wyznaniem patriotyzmu jest na płycie utwór „Niepodległość". Rozpoczynające go słowa: „Tak, teraz głośno to powiem, tęsknię do Polski przedrozbiorowej, do Polski od morza do morza" brzmią imponująco.

– To utwór mówiący o tym, że człowiek powinien być wolny. Chodziło mi głównie o niepodległość wewnętrzną. Ten przekaz zobrazowałem poczuciem niepodległości ojczyzny. Stąd w tekście m.in. sentymenty do stepów. Nie wiem, skąd się to bierze, ale odczuwam jakąś potrzebę życia w ogromnej, otwartej przestrzeni. (…) W USA jechałem samochodem przez pustynie, stepy. Pomyślałem wtedy, że w XVII wieku, czy w ogóle dawnych czasach, jeźdźcy konni musieli się czuć podobnie. Mieli przed sobą przestrzeń, która wydaje się nie kończyć. Nie czułem się jak kowboj goniony przez Indian, tylko jakbym przeniósł się w czasie. Wyobrażałem sobie, że kiedyś w Polsce też były tak wielkie przestrzenie i jedna podróż mogła trwać i trwać. Tak powstała piosenka „Niepodległość". To

był pierwszy utwór – on zadecydował o tym, że powstała płyta „Polska" – tłumaczył w wywiadach.

JACEK WROŃSKI: *Pamiętam jeden z koncertów, w którym Bogdan brał udział. Grano wtedy dla Rumunii, by nagłośnić sytuację, w jakiej był ówcześnie ten kraj. Jako dziennikarz poprosiłem między innymi jego, by skomentował to, co się dzieje w Europie. Odparł do kamery: Nie ma czegoś takiego jak Rumunia. Jesteśmy my – ludzie, jest świat, a my w nim. Dla niego granice to była sprawa umowna. Liczyła się wolność i człowieczeństwo, które wszędzie powinno być przestrzegane i pielęgnowane. Przepytywałem wtedy wielu wykonawców, ale jego wypowiedź była najbardziej szokująca, przemyślana, szczera i autentyczna. Nie inaczej postrzegał też własny kraj.*

W utworze „Staszek" Bogdan śpiewa za to o osobniku o tym właśnie imieniu, który „za przyjaciół ma księżyc i bezdomne psy". Tytułowy Staszek jest zapewne metaforą osobników, jakich Bogdan wielokrotnie spotykał na swojej drodze. Wielu znajomych wspomina jego swoistą „przyjaźń" ze stałymi mieszkańcami krakowskiego Rynku i okolicznych Plant. Lubił z nimi porozmawiać, przysiąść na chwilę krótszą bądź dłuższą, wysłuchać, co któremu na sercu leży, a na koniec podarować trochę gotówki.

JACEK KRÓLIK: *Nie przywiązywał się ani do rzeczy, ani do pieniędzy. Bardzo chętnie pomagał swoim przyjaciołom. Pamiętam, że po przeprowadzce do nowego mieszkania, blisko rok używałem jego pralki i telewizora. Sam mi to zresztą zaproponował przed swoją kolejną pielgrzymką do USA. Niektórych tak zwanych*

Odnalezione piosenki | Nie trać wiary | 4:55

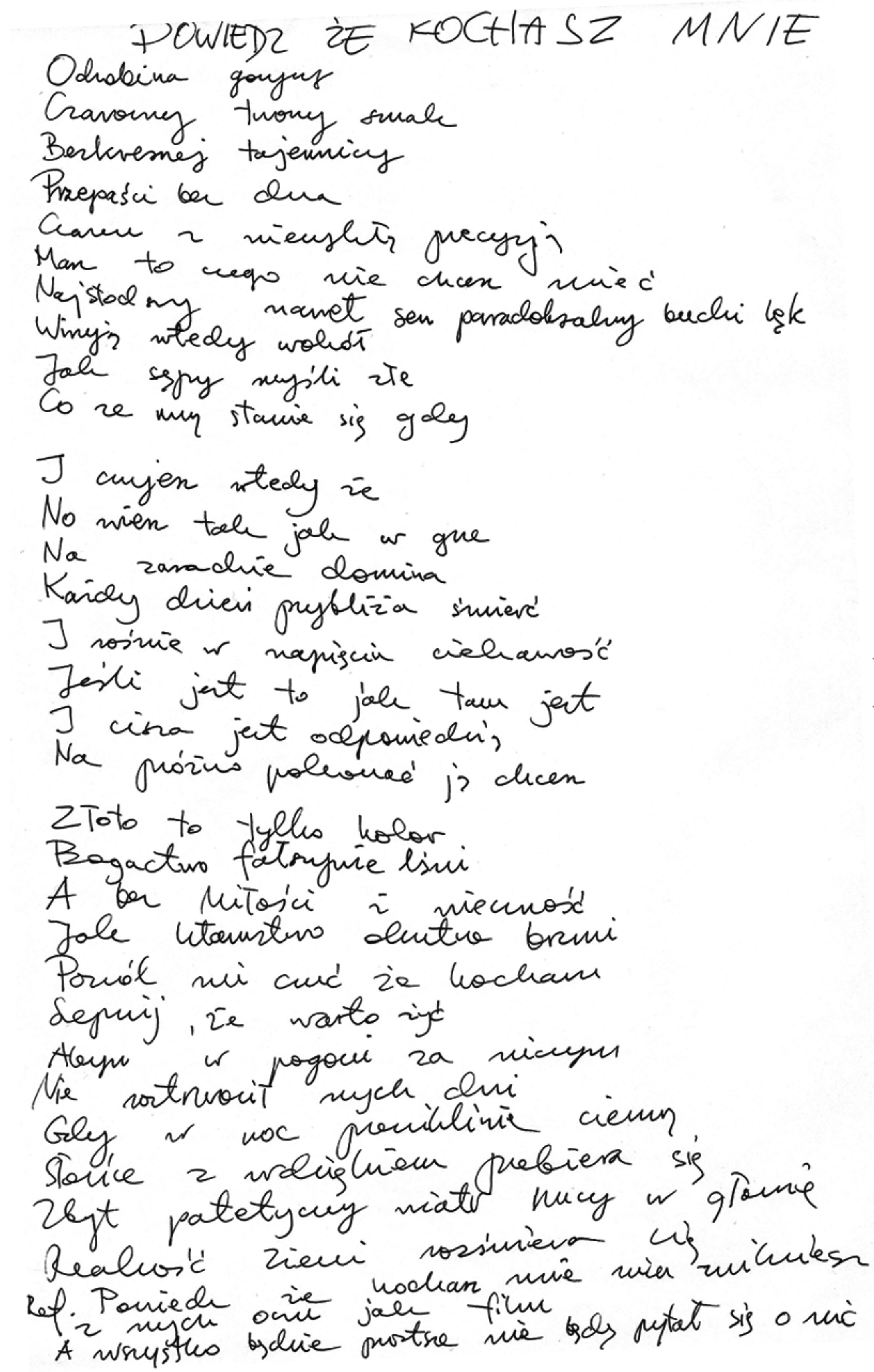

krakowskich łaziorów rynkowych wręcz sponsorował. Zabierał na obiad, kupował ubrania, dawał im drobne sumy. Kiedy mieszkał poza Krakowem, to wieść o tym, że Bogdan przyjeżdża na chwilę do miasta, powodowała poruszenie w tych kręgach. Miał słabość do takich ludzi.

PAWEŁ SITO: *Nigdy nie chciał się skupiać na pieniądzach. Uważał, że za duże ciśnienie w tej kwestii rodzi zło. To było z jego strony dość filozoficzne podejście. Z pewnością nie był materialistą.*

Piosenkę „Boję się chłodnego lata" zadedykował matce. Dość nietypową jak na rockowe standardy, gdyż niewielu artystów ma potrzebę i odwagę wyśpiewać wprost: „Nie wiem, czym zasłużyłem na twą dobroć i twój wdzięk. Nigdy nie chcę ciebie stracić. Moja mamo, kocham cię!". Oddaje to w pełni moc uczucia, jakim Bogdan darzył matkę. Po stracie ojca, a dla Anny Łyszkiewicz – męża, oboje stali się dla siebie najbliższymi osobami.

– Wydaje mi się, że bardzo wiele tracą ci ludzie, którzy wstydzą się swoich uczuć albo też nie potrafią ich wyrazić, nazwać. Ja nie chcę zmarnować okazji powiedzenia własnej matce, że ją kocham – tłumaczył.

Równie mocnym uczuciem Bogdan darzył Magdę, z którą rozstanie przeżył, jak wiemy – delikatnie mówiąc – gwałtownie. Pamiątką niejako po tych wydarzeniach jest pieśń „Nie chciałem śpiewać tej piosenki". Oddaje ona w pełni kunszt Bogdana jako kompozytora. Trwający ponad dziewięć minut utwór obfituje w akustyczne brzmienia gitary i pianina, a także monumentalne partie instrumentów smyczkowych. W jednym z radiowych wywiadów, zapytany o tę właśnie piosenkę, o jej genezie opowiadał dość wymijająco, nie zwierzając się bezpośrednio ze swoich problemów.

BOGDAN: *Ja po prostu nie chciałem śpiewać tej piosenki. To znaczy nie dlatego, że jest na przykład okropna, obrzydliwa i nie sposób ją zaśpiewać bez uczucia zażenowania. Nie chciałbym znaleźć się w sytuacji, która zmusiłaby mnie do zaśpiewania tej piosenki. Nie była to łatwa chwila w moim życiu, krótko mówiąc. Było bardzo źle. To piosenka o kłopotach w życiu osobistym – tak to powiem. Trwa dziewięć minut i jest to forma prawie że symfoniczna. Gra tam orkiestra smyczkowa, wielka. W każdym razie słychać ją. Poważna sprawa, krótko mówiąc.*

Po wydaniu płyty Bogdan nie był zachwycony, że jego nowe piosenki – w które włożył tyle serca – nie spotykają się z zainteresowaniem komercyjnych stacji radiowych. Były to już czasy, kiedy w prywatnych rozgłośniach liczyła się „słuchalność", wykresy, słupki, rachunek ekonomiczny. Na topie był miałki pop, dyskotekowe rytmy, na rynek właśnie wchodził hip-hop w rodzimym wykonaniu, nie mówiąc już o boomie na Ich Troje i „góralszczyznę", jaka pojawiła się u nas wraz z sukcesami Gorana Bregovicia. Bard z gitarą nie miał przebicia i wpływu ze swoją wrażliwością na brutalny rynek biznesu muzycznego. Owszem, w sercach fanów miał swoje stałe i niepodważalne miejsce, czego nie zmieniały mody. Niemniej jednak brak wyraźnego powodzenia „Polski" w szerszym wymiarze irytował Bogdana. Tę sytuację wspomina Jarek Kisiński:

– Był szczerze rozżalony. Jeździł po rozgłośniach, rozdawał nagrania, namawiał. Wracał zwykle z takich spotkań dość „naładowany". Pamiętam, że napisał żartobliwy poemat na temat dziennikarzy RMF-u – taki totalnie prześmiewczy, choć do śmiechu tak naprawdę mu nie było.

W planach, których Bogdan nie zdążył już urzeczywistnić, miał uruchomienie własnej wytwórni płytowej i studia nagrań. Chciał realizować tym samym swobodnie własne pomysły, a także

odkrywać i promować nowe talenty. Jakkolwiek to brzmi, znając jego dyscyplinę i twarde stąpanie po ziemi… Przedtaktem do tego miał być fakt, że już w finalnym okresie pracy nad „Polską” wziął sprawy własnego wizerunku w swoje ręce, co wzbudzało czasem zaciekawienie dziennikarzy i ludzi z branży. Robert Killen, przeprowadzając rozmowę z Bogdanem w połowie czerwca 2000 roku, stwierdzał otwarcie: „Pełnisz rolę własnego agenta, sam umawiasz się na wywiad – zaskoczyło mnie to, prawdę mówiąc”.

– Tak, może to trochę niezręczne, ale dość mam zależności od innych, tego wiecznego czekania na załatwienie każdej sprawy. Bierność mnie nie interesuje – chcę być aktywny. Pełnię rolę własnego agenta dlatego, że dość mam osób, które czekają na laury z nieba, i tych, które są osobami agresywnymi i reprezentują mnie w taki sposób, jakiego bym sobie nie życzył – usłyszał w odpowiedzi.

Anna Łyszkiewicz dobrze pamięta rozterki syna związane z tą stroną działalności artystycznej: – Mówił, że nie chce się już wiązać z nikim umowami. Chciał mieć swobodę. Do tego dążył. Marzył o uruchomieniu własnego studia. Było mu to potrzebne, by tworzyć tak, jak najbardziej lubił – ze swobodną głową i wolnymi myślami.

ROBERT LUBERA: *Pamiętam, że to był okres, kiedy Bogdan szukał muzyków, myślał o zmianach w zespole. Wybraliśmy się w tym celu na spotkanie z moimi znajomymi do Tarnowa. Zabawna sytuacja, bo gdy wracaliśmy, w środku nocy zatrzymała nas policja. Boguś trochę przesadził z prędkością. Policjanci go rozpoznali.*
– Panie Bogusiu, co tam, gdzie się tak śpieszymy? Zaczęły się negocjacje. Panowie powiedzieli: okay, puścimy pana, ale niech pan tym amerykańskim wozem przypali dla nas opony tutaj. Boguś odpalił camaro i ruszył z piskiem i dymem…

Mam więcej czasu i nie chcę się spieszyć

„Tak, mam więcej czasu i nie chcę się spieszyć. Chcę żyć normalnie, chcę żyć jak najdłużej, w związku z czym pośpiech, ciśnienie i napięcia nie są dobre”.

– Po jakimś czasie już się nawet tak nie denerwował, że nowa płyta nie odnosi wielkich sukcesów. Często przyjeżdżał po mnie do Jaworzna, skąd wyruszaliśmy na spotkania do rozgłośni radiowych. Pomagałem mu załatwiać wywiady promujące „Polskę”. Mieliśmy dużo czasu na rozmowy. Jak zwykle z pasją opowiadał mi o Stanach. Był uśmiechnięty i niewiele rzeczy mogło go wtedy wytrącić z równowagi. Nie zajmowały go przyziemne sprawy. Chyba nawet nie miał przerejestrowanego samochodu i jeździł na amerykańskich tablicach rejestracyjnych. Nie przeszkadzało mu to. Potrafił się zamyślić i w drodze ze Śląska na Warszawę przegapić znaki, przez co lądował niemal pod Łodzią. Przez telefon tłumaczyłem mu, jak wrócić do zjazdu, przy którym się pogubił – wspomina Marek Zdaniukiewicz.

– Z tym samochodem to była w ogóle historia. On go faktycznie nie przerejestrował. Jeździł na amerykańskich tablicach, a kiedy mu je ukradli, to na wypadek kontroli woził ze sobą zdjęcie, jak stoi przy camaro jeszcze z tablicami, żeby można było rozpoznać numery. Franz mu je zrobił – dodaje Jerzy Tyndel.

18 czerwca 2000 roku Bogdan gości w Brzeszczach. Tamtejsze Centrum Kultury po raz pierwszy zorganizowało imprezę na wzór popularnego wówczas programu telewizyjnego „Od przedszkola do Opola".

– Pomysł podsunął nam właśnie Marek Zdaniukiewicz – wspomina Danuta Korcińska z Brzeszczańskiego CK – a my zorganizowaliśmy całą resztę. Na dobry początek najlepiej nadawał się do roli gwiazdy pan Łyszkiewicz. Jego piosenki były znane, nie najtrudniejsze do zaśpiewania, a i on sam był przecież popularną i cenioną postacią sceny muzycznej. Na dodatek związaną z Opolem. Zrobił na nas wszystkich jak najlepsze wrażenie. Trochę się obawialiśmy, czy nie przyjedzie do nas zmanierowana gwiazda, a jednak pan Łyszkiewicz szybko rozwiał nasze lęki. Chętnie ze wszystkimi rozmawiał, uśmiechał się. Widać było, że ta impreza przypadła mu do gustu i że sam wiele z niej czerpie, że dzieciaki dodają mu energii. Miał do nich cudownie życzliwe podejście. Ich rodzice też sprawiali wrażenie zadowolonych, gdyż Bogdan Łyszkiewicz był znany ich pokoleniu. Pamiętam, że umówił się z rodzicami dziewczynki, która wygrała konkurs, na to, że w bliskiej przyszłości wystąpi z nim na scenie, podczas koncertu Chłopców z Placu Broni. Zostawił im w tym celu swój prywatny numer telefonu. Niestety, z wiadomych przyczyn, nigdy to nie nastąpiło… Mnie osobiście ten dzień utkwił w pamięci jeszcze z innego powodu. Po przyjeździe do Brzeszcz usiedliśmy z panem Łyszkiewiczem u mnie w biurze. Dawno nie spotkałam kogoś, od kogo emanowałoby tyle ciepła, spokoju i opanowania. To, o czym mówił i jak mówił, pozwalało zrozumieć wszystkie teksty jego piosenek. Był poszukiwaczem wolności. Chyba nie do końca pogodzonym z tym wszystkim, co nas i jego też otaczało. Rozmawialiśmy o wielu rzeczach. Szczególnie zapamiętałam jedno zdanie, które wypowiedział. Stwierdził, że prawdziwy profesjonalizm w życiu polega na tym, że człowiek nie angażuje w to, co robi, swoich emocji. Nie wiem, co tak naprawdę miał na myśli względem własnej osoby, ale ta sentencja przez całe lata wiele razy pomagała mi w sprawach zawodowych. Szczególnie w opanowywaniu stresujących sytuacji.

MAGDA BOĆ: *To był fantastyczny okres. Znów mieliśmy czas tylko dla siebie. Wiele razy zupełnie spontanicznie wyjeżdżaliśmy nad morze. Szukaliśmy tam działki, bo pojawiły się plany budowy własnego domu. Bogdan zawsze powtarzał, że chce mieć taki właśnie w tej części kraju. Byliśmy już wtedy narzeczeństwem. Nie odbyło się to na takiej zasadzie, że Bogdan klęknął i wręczył mi pierścionek, ale na zasadzie wspólnoty ducha – planów, chęci przeżycia ze sobą już całego czasu, jaki mamy tutaj na ziemi. Kiedyś przejeżdżaliśmy koło małego kościółka na jakiejś wsi i poważnie zajęci tą myślą pragnęliśmy, by tu i teraz wziąć ślub. Ja czułam się wolna od wszelkich toksycznych myśli, które wypełniały wcześniej moją głowę, a Bogdan po tych wszystkich zawirowaniach, jakie były naszym udziałem, też spokojniej patrzył na świat.*

Ten dobry okres nie trwał długo. Popołudniem 23 czerwca oboje wracali samochodem z Warszawy do Trójmiasta. Bogdan zjechał na stację benzynową w miejscowości Rybitwy pod Płońskiem. Była godzina siedemnasta. Gdy wyjeżdżali z powrotem na szosę, w wiśniowe camaro z potężną siłą uderza opel omega prowadzony przez 20-letniego kierowcę. Rozpędzona do ponad 140 kilometrów na godzinę maszyna uderza w samochód Bogdana, wyrzucając go z auta. Widzący wypadek inni kierowcy zatrzymują się. Wśród nich są przejeżdżający akurat tą drogą lekarze. Reanimacja nie przynosi skutków. Liczne urazy są na tyle rozległe, że Bogdan umiera około godziny dwudziestej w płońskim szpitalu, nie odzyskawszy przytomności. Magda przeżywa wypadek, ale jest w śpiączce. Obrażenia przykuwają ją do szpitalnego łóżka na dłuższy czas. Na miejscu tragedii szybko

pojawiają się media, a wieść o śmierci „chłopca z Placu Broni” jeszcze tego samego wieczora trafia do wszystkich serwisów informacyjnych w kraju. Informują o niej również media polonijne. Wiadomość dociera do Opola, gdzie właśnie w tym czasie trwa Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej. Powoduje, że święto muzyki staje się jednym z najsmutniejszych miejsc w kraju. Publiczność w amfiteatrze pamięta przecież liczne występy Bogdana w tym miejscu. Na scenie i w kuluarach wiadomość zastaje wielu jego przyjaciół. W radiach emitowane są utwory Bogdana, jego bliscy znajomi ze smutkiem i łamiącym się głosem mówią, że nie mogą uwierzyć w to, co się stało. Badania biegłych, mimo pierwszego komunikatu o wymuszeniu pierwszeństwa przez Bogdana, wykazują ewidentną winę kierowcy opla. Brawura dwudziestolatka i splot nieszczęśliwych przypadków powodują, że na zawsze odchodzi jeden z najbardziej lubianych artystów w historii polskiej muzyki rozrywkowej, a dla wielu – jeden z najciekawszych ludzi, jakich mieli okazję w swoim życiu poznać. Umarł młodo i tragicznie, jak jego wielki idol – John Lennon.

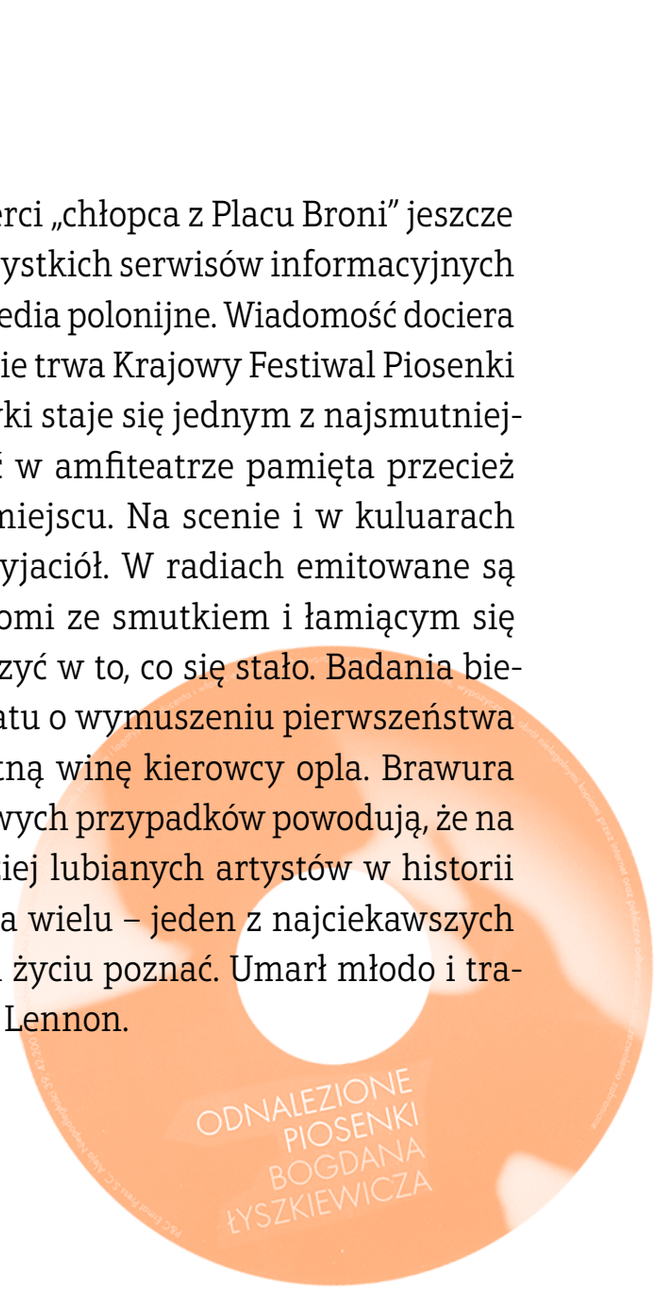

Odnalezione piosenki | A kiedy umrę | 4:03

Tak czy inaczej, jesteśmy wszyscy nieśmiertelni

ANNA ŁYSZKIEWICZ: *Ostatni raz widziałam Bogusia jak wylatywałam do Stanów. Odwoził mnie na lotnisko. Było jeszcze trochę czasu, więc wypiliśmy wspólnie kawę. Kiedy miałam już wracać do Polski, bo kończyła mi się wiza, to Boguś namówił mnie na jej przedłużenie. Mieli do mnie dolecieć razem w lipcu – on i Madzia. Chciał jej te Stany wreszcie pokazać. Pamiętam naszą ostatnią rozmowę telefoniczną. Boguś zadzwonił do mnie, ale o takiej dziwnej porze, bardzo późno. Powiedziałam, że do niego oddzwonię. To była środa. Dzwonię w piątek, a on nie odbiera telefonu… Zawsze ze sobą nosił komórkę. Po chwili otrzymuję informację, że Boguś nie żyje, że miał miejsce ten okropny wypadek. Nie mogłam w to uwierzyć, to chyba nie jest prawda… Trudno mi to określić słowami. Świat mi się zawalił w jednej chwili. Nie dowierzałam w to, tak jak teraz nie dowierzam… Tak jak ta jego kurtka w przedpokoju. Jak ją powiesił, tak jest do dzisiaj. Trudno znaleźć określenie na ten stan…*

JACEK KRÓLIK: *Pamiętam jakby to było dzisiaj. O śmierci Bogdana dowiedziałem się w Opolu, gdzie na festiwalu święciliśmy triumfy z debiutującymi wtedy Brathankami. Zszedłem do gwarnej garderoby po niezwykle udanym koncercie i zacząłem odbierać*

telefoniczne gratulacje od rodziny i znajomych. Piątym telefonem z kolei był telefon od Franza. Byłem przekonany, że pogadamy o naszym występie, odebrałem wesoło i natychmiast zamarłem. Franz mocno poruszony zakomunikował, że ma bardzo smutną informację – Bogdan nie żyje. Chciałem, żeby to powtórzył. Przeprosiłem go i powiedziałem, że oddzwonię za minutę. Musiałem sobie to wszystko poukładać. Nogi się pode mną ugięły, łzy stanęły w oczach… Jeżeli ktoś w wieku trzydziestu sześciu lat odchodzi w pełnym biegu, to jest to oczywiście tragiczne, ale również niezwykle odrealnione wydarzenie. Przekazałem tę smutną, ciężką do uwierzenia i zaakceptowania informację wszystkim obecnym za kulisami.

– Graliśmy w tym czasie koncert rocznicowy z Dżemem. Dla wszystkich ta wiadomość była niezwykle poruszająca. Smutek, jaki wtedy zapanował, był przytłaczający. Lotem błyskawicy to się rozeszło. Myślę, że tego wieczoru nikt, kto był na scenie, nie był do końca radosny. Wszyscy mieli w myślach właśnie Bogusia i to, co przytrafiło się pod Płońskiem – mówi Jerzy Styczyński.

– Choć ta wiadomość wydawała się autentyczna, to wszyscy w duchu pragnęliśmy, by okazała się jakimś złym snem, nieprawdą, pomyłką – dodaje także obecny w amfiteatrze Jacek Wroński.

PAWEŁ WALCZAK: *Wszyscy o tym rozmawiali na zapleczu. Przygnębienie i wszechogarniające poczucie wielkiej straty, że odszedł ktoś tak ważny dla tego miejsca, dla nas i dla polskiej piosenki… Nagle zrobiła się strasznie smutna atmosfera. Tego nie da się opisać słowami. Serce mnie zabolało.*

Być może wspomniane Opole, w kolejnym roku, byłoby miejscem wielkiego triumfu Bogdana i jego Chłopców z Placu Broni.

– Nigdy nie zapomnę naszego ostatniego spotkania – wspomina Marcin Daniec. – Do Krakowa przyjechał Marek Sierocki. Mój i Bogdana serdeczny kolega. Zapowiedział się, że chce porozmawiać ze mną na temat mojego występu w Opolu. Zastrzegł też, że przy okazji chciałby się spotkać z Bogdanem, bo jego występ przewiduje w przyszłorocznym programie. Usiedliśmy we trójkę. Pamiętam tę wielką radość i błysk w oczach Bogusia, kiedy rozmawiali ze sobą…

MAREK SIEROCKI: *Zadzwonił do mnie jeszcze w czerwcu – mówiąc, że ma kilka utworów, które chętnie by mi puścił. Zapytał też, co z festiwalem w Opolu, czy mógłby zagrać jeszcze w tym roku. Mówię mu: – Bogdan, na ten rok to już za późno, bo mamy do festiwalu dwa tygodnie… Z ust Bogdana nie było to jednak śmieszne pytanie. To był człowiek, który w chmurach egzystował. Taki był jego urok. Już w Krakowie umówiliśmy się, że na kolejny rok zrobimy koncert około dwudziestominutowy, po rozdaniu „Superjedynek", gdzie zagra w roli gwiazdy. Rozstaliśmy się serdecznie. Krótko po tym spotkaniu Paweł Walczak za kulisami podszedł do mnie z tą wiadomością… Ja szczęśliwy i pełen ulgi, że festiwal się kończy, że obeszło się bez większych problemów, a tutaj taka smutna wiadomość… Nie mogłem uwierzyć w jego słowa!*

BOŻENA SITEK: *Któregoś dnia skontaktowała się ze mną dziennikarka „Gazety Wyborczej", by napisać materiał do cyklu, w którym prezentowano sylwetki ludzi działających w kulturze w latach osiemdziesiątych. Muzyków, artystów, osoby związane z ówczesnymi mediami. Spotkaliśmy się w Warszawie, porozmawialiśmy i powstał z tego reportaż. Jednym z jego elementów były wypowiedzi na mój temat między innymi muzyków: Tomka Lipińskiego czy Pawła Kukiza. Zasugerowałam, by wypowiedział się i Boguś, dlatego przekazałam dziennikarce*

jego numer telefonu. Nie miałam numeru komórki, więc podałam ten domowy, krakowski. Pamiętam, to był wtorek. Kobieta oddzwania, że nikt nie odbiera, że cisza. No cóż, mogło Bogusia przecież nie być – często podróżował, grał koncerty, wiadomo… Jednak wieczorem tego samego dnia zadzwonił do mnie sam Boguś. Pomyślałam, że chce mi powiedzieć, że ktoś się z nim kontaktował w mojej sprawie. Okazało się, że nie… że to zupełny przypadek. Nie wiedział nawet, że ktoś próbował go „złapać". Po prostu pomyślał sobie, że może by do mnie zatelefonować, tak długo nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Pamiętam tę rozmowę bardzo dokładnie, bo powiedział, że chce mi podziękować za to, że kiedyś mu pomogłam, że przed laty zajęłam się jego twórczością, i że jest za to wszystko wdzięczny, że koniecznie musiał mi to wszystko powiedzieć. Zwierzył się też, że pod nieobecność mamy, która jest w Ameryce, właśnie siedzi w swoim pokoju – przegląda i segreguje swoje rękopisy, dokumenty, zdjęcia. Powiedział, że porządkuje życie. To była wyjątkowa rozmowa. Potem dowiedziałam się, że zginął… W ostatnich latach trudno nam się było spotkać, choć wciąż mieliśmy ze sobą kontakt – chociażby przypadkowy, kiedy nagle znajdowaliśmy się w tych samych miejscach, na przykład u wspólnych znajomych. Pamiętam ślub Pawła Sito. Bawiliśmy się w starym gronie, było wielu przyjaciół, muzyków. Był czas na rozmowy, ale też na tańce i wygłupy. Pamiętam, że Bogdan nie miał gdzie nocować, więc Paweł wziął go do siebie. Śmialiśmy się, że nowożeńcy spędzili noc poślubną z Bogdanem.

WITOLD BUSZEK: *Po pogrzebie mama Bogdana zaprosiła mnie do siebie do domu. Oglądaliśmy rzeczy Bogdana, poukładane bardzo skrupulatnie teksty, notatki, nuty. Zwróciłem uwagę na klarnet – był wyczyszczony i schowany w futerale. Widać było, że poświęcił sporo czasu na uporządkowanie tych spraw. Dziwnie było oglądać to wszystko, kiedy wiedzieliśmy, że już go nie ma…*

– To był człowiek, którego cała twarz była jak pacyfka – wspomina Piotr Morawiec. – Dla mnie on zawsze był i pozostanie Lennonem. Fizycznie i mentalnie go przypominał. Był zakochany w Stanach i często mi o nich opowiadał jako o miejscu, w którym mógłby żyć. Jeździł pięknymi samochodami. Był estetą. Na scenie wyluzowany do granic możliwości. Choć nigdy nie graliśmy w jednym zespole, to jednak udało nam się kiedyś wystąpić razem na scenie. Zagraliśmy wtedy „Pukając do nieba bram" Boba Dylana. Kilka lat po tym zdarzeniu Bogdan w nie zapukał…

– Któregoś roku zaprosiłem go na organizowane przeze mnie spotkanie świąteczne do Tarnowa. Przyjechał, zagrał i było świetnie. Kolejny raz, kiedy wpadłem na ten pomysł, już nie było to możliwe… Czerwiec spędziłem w Bieszczadach, w głuszy. Tam też obmyślałem sobie program grudniowych spotkań. Znajomy, który dowoził nam łodzią prowiant, kiedy podzieliłem się z nim moimi planami, poinformował mnie, że Boguś nie żyje. Nic o tym nie wiedziałem, byłem zupełnie odcięty od świata. Straszny smutek nagle zapanował… Od tamtego czasu grywam jego „Balladę o dobrym człowieku" podczas corocznych Zaduszek muzycznych. To taki mój ukłon w jego stronę i wspomnienie po prostu dobrego człowieka – tłumaczy Wojtek Klich.

KORA: *Nie mogłam uwierzyć, że takie coś mogło się w ogóle wydarzyć. Jest to może żal trochę egoistyczny, gdyż żal mi, że nie mam osoby, z którą można się przespacerować i usiąść, wypić kawę w milczeniu… Od tamtego momentu często o nim myślę, wspominam. Niewiele osób z naszego kręgu było mi tak bliskich. To była przyjaźń, w której wychodziliśmy poza nasz zawód. Rozmawialiśmy o książkach,*

o bieżących sprawach. Rzadko o muzyce. Były to rozmowy niesłychanie wciągające i przyjemne. Jak się spędza czas z kimś takim, to się tego czasu nie traci. Martwiłam się o niego. Ciągle się gdzieś przemieszczał. To był sposób życia dość niebezpieczny…

– Zapamiętałem go jako ultragrzecznego gościa. Czasami nieobliczalnego. Artysta po prostu. Kiedyś, będąc w Debrzynie, sam się zadeklarował, że zagra koncert dla ludzi z miasteczka i obsługi ośrodka. W podziękowaniu za gościnę. Zrobiliśmy plakatowanie, reklamę – przyszła masa ludzi, chcąc zobaczyć znanego artystę. Wszystko odbyło się super. Zachęceni powodzeniem zorganizowaliśmy drugi koncert, w innym dniu. Bogdanowi niestety przed samym wyjściem na scenę przypomniało się, że Beatlesi zagrali kiedyś tylko trzy numery i… on zrobił to samo. Po czym ku osłupieniu zespołu i publiczności zszedł ze sceny – wspomina Jerzy Tyndel.

PIOTR GÓRKA: *Spotkałem go na miesiąc przed śmiercią. Było to na krakowskich Plantach. Fajna rozmowa. Nie widzieliśmy się bardzo długo. Bogdan przecież latami doglądał kariery, miał wiele nowych znajomości. Czuliśmy jednak, że coś runęło, że znów w naszych relacjach wszystko układa się po staremu. Zaczęliśmy więc szczerze rozmawiać, opowiedział mi o Magdzie, o płycie, którą nagrał, i o problemach z nią związanych. Zwróciłem uwagę, że przez ten czas, kiedy się nie widywaliśmy wydoroślał. Wcześniej był niewinnym chłopczykiem, a teraz – facetem. Wiem, że niektórzy go nie akceptowali w nowej roli. Zarzucali mu pozerstwo. Przy okazji jednak spokorniał, łatwiej mi było znaleźć z nim wspólny język. Podczas rozmowy dowiedział się ode mnie, że mam dzieci. Bardzo fajnie i pozytywnie na tę wiadomość zareagował. Z racji tego, że miał samochód, planowaliśmy wspólny wyjazd z nimi za miasto. Wyszalałyby się, a my, jak za starych czasów, pogadalibyśmy w spokoju o wszystkim. Za tydzień wiadomość z radia, że Bogdan nie żyje… Szok i niedowierzanie.*

Podobne spotkanie miał Bogdan z Andrzejem Zarębą. Także niewidzianym przez kilka dobrych lat.

– „Zderzyłem się" z nim, spacerując po Szewskiej. Był ciepły, letni już niemal dzień. Umówiliśmy się na spotkanie w niedalekiej przyszłości. Pracowałem wtedy w „Gazecie Wyborczej", miał wpaść do mnie do redakcji. Nie widywaliśmy się przez tyle lat, więc zaplanowaliśmy sobie, że odnowimy naszą znajomość. Czasami tylko, idąc ulicą, słyszałem, że Boguś przejeżdża gdzieś niedaleko, bo jego samochód miał taki specyficzny amerykański klang i przez to zwracał na siebie uwagę, ale właściwie kilka dobrych lat nie zamieniliśmy słowa. To dziwne uczucie – słyszeć w radiu przeboje autorstwa kolegi z liceum. Jeszcze dziwniej – usłyszeć pewnego dnia z tego samego radia, że odszedł niczym James Dean.

OLEK KLEPACZ: *On był święty za życia. Naprawdę! To był taki koleś. Miał aurę. Ja myślę, że Boguś zgodnie z buddyjską zasadą wchodzi ciągle w nowe wcielenia: kota dachowego albo gołębia – i wciąż gdzieś tu z nami jest. Jaki był? My nazwiemy sobie to właśnie anielskością, ktoś inny jeszcze inaczej. Był totalnie oryginalny. W sensie zachowania, odruchów. Nie był nerwowy, nie wściekał się. Najgorsze jest to, że rozmawiamy o tym, co ma początek i koniec. Można mówić o tym, co się z nim działo podczas jego drogi, pomiędzy punktem A i B. Nikt z nas, wspominających go, nie przebywał jednak z nim przez cały czas. Jestem jednak przekonany, że dla każdego z nas był i będzie kimś ważnym. Mieszkałem w Krakowie. Jedliśmy w tych samych miejscach, więc chcąc nie chcąc spotykaliśmy się dość często. Potem wypijaliśmy kawę i albo ja, albo on pierwszy odchodził od stołu. W Krakowie też spotkałem*

go ostatni raz. Zajechał swoim „Cadillakiem". Miał na sobie taką baranicę, kożuch i koszulę z wzorami: ośmiornice z macuszkami, a do tego muszelki jakieś. Było klasyczne: co tam, gdzie tam, jak tam? Taka wymiana zapytań i pozdrowień dosyć szybka, bo na dłuższą pogawędkę mieliśmy się dopiero umówić. Później się dowiedziałem, że wyjeżdżał z tej cholernej stacji benzynowej… Brakuje mi go, a polska piosenka straciła czystą, śpiewającą miłość.

KRZYSZTOF ZAWADKA: *Właściwie, kiedy sobie o nim przypominam, to mam wrażenie, że miałem okazję spędzić kilka chwil z zauroczonym życiem na ziemi aniołem, który po prostu zabłąkał się tu tylko na chwilę.*

– To prawda. On nie był chyba z tego świata. To jest świat zbyt brutalny, zbyt ostry jak dla niego. On to wszystko widział. Owszem, kochał życie i radował się nim jak dziecko. Interesowały go podróże, dziewczyny, samochody i spotkania z ludźmi. Miał anielską duszę. On sobie w tym Krakowie do dzisiaj gdzieś fruwa. Do dzisiaj też jest w moim sercu. Siedzi w nim naprawdę głęboko. Kiedy lecą w radiu te jego pioseneczki, to zawsze pogłaśniam. Tak będzie pewnie już zawsze – mówi Artur Malik.

GRZEGORZ MARKOWSKI: *Myśląc o Bogdanie, mam przed oczami jego postać zmierzającą do studia nagrań Teatru Buffo w Warszawie. Tak sobie go wtedy przyobserwowałem. Odniosłem wrażenie, że to człowiek kompletnie bez niezdrowego nerwu i pośpiechu. Zawieszony gdzieś centymetr nad ziemią w tych swoich okrągłych okularkach. Bardzo pastelowy. Kompletnie inna osobowość niż te, które widzi się w branży obecnie – zabiegane, energetyczne, mocno tupiące butami, gestykulujące, z podniesionym głosem. A Boguś – wprost przeciwnie… Był takim elfem. Mocno osadzony w latach sześćdziesiątych. Patrzył na świat jak na ogród pełen kwiatów. Słowo „kocham cię" w jego ustach nie było wyświechtane, pięknie o tym uczuciu potrafił śpiewać. Są artyści, którzy tworzą bez krzyku – szeptem wręcz, a zapadają w pamięć na całe pokolenia. Myślę, że to właśnie czeka Bogdana.*

– Pożyczył mi swoją gitarę akustyczną – wspomina Jarek Kisiński – był do niej bardzo przywiązany. Szanował ją i pilnował. Któregoś wieczoru musiałem mu już ją oddać. Pojechaliśmy więc po próbie do Bogdana. Żegnając nas, stanął w oknie i machając, krzyknął: Panowie, chodźcie jeszcze do mnie na herbatę! Pamiętam, że kolega mu odpowiedział: Samochód już czeka, musimy wracać. – No, nie wiem, czy jeszcze będzie kiedyś okazja… – odparł. To był ostatni raz, kiedy go widzieliśmy.

GRZEGORZ TURNAU: *Wobec tej kompletnie bezsensownej i niepotrzebnej śmierci, ta jego – w pozytywnym znaczeniu – naiwna twórczość została w zasadzie beatyfikowana. Zmarł młodo, więc jako wybraniec bogów ma prawo do przywłaszczenia sobie tego określenia. Kto wie, co by się z Bogdanem działo, gdyby nie ten okropny i tragiczny przypadek. Niestety, drzwi się zatrzasnęły i jest w tej chwili – i myślę, że to wcale nie jest bluźnierstwo – błogosławionym polskiego rocka i polskiej muzyki rozrywkowej. Są takie osoby – interesujące nie przez swój kunszt i warsztat. To, co nas w nich frapuje, to pewien nienazwany rodzaj ciepła i melancholii połączony z naturalnym wdziękiem. To był właśnie przypadek Bogdana. Wartość tego, co robił i co zostawił, jest nieuchwytna i nie do wyjaśnienia. Nie da się tego skrytykować ani sensownie pochwalić. Tacy ludzie są ponad wszelkie kategorie.*

ODKRYJ NIEZNANE PIOSENKI BOGDANA ŁYSZKIEWICZA

Odnalezione piosenki | Kocham życie | 3:42

– Był do szpiku kości krakowski. Nie tak poetycki jak Piwnica pod Baranami i nie tak ciężki jak Maleńczuk – mówi Muniek Staszczyk. – Chłopak z Galicji po prostu, kwintesencja wielu nurtów. Nawet ciężko mi powiedzieć, że „facet". Chłopak – to dobre określenie. Przez całe te lata mijaliśmy się na przeróżnych imprezach. Zawsze było miło, zawsze sympatycznie. Nie mieliśmy nigdy jakichś dzikich rajdów po knajpach, bardziej odbywało się to na zasadzie fajnych, kumplowskich rozmów. Ostatni raz spotkałem go podczas rocznicowego koncertu Maanamu, na krótko przed tym, jak postanowił nas opuścić. Może człowiek chciałby o coś zapytać, o czymś jeszcze porozmawiać… Cóż, nie w tym życiu. On był kosmiczny. Miał swój własny lot, wysoko nad chmurami. Wiele razy słyszałem takie opinie: „Boguś to jest taki świr – jemu się wydaje, że jest nieśmiertelny". Po takich orbitach krążył. Tak kochał życie.

NINA TERENTIEW: *Podróżowałam akurat samochodem, kiedy w radiu spiker ogłosił, że miał miejsce wypadek, że Bogdan odszedł. W takich momentach pojawia się wiele pytań, na które nie ma dobrych odpowiedzi: dlaczego tak się stało, dlaczego akurat on, dlaczego tak młodo… Potem pojawia się myśl – że nie będzie już nam dane otrzymać od niego prezentów w postaci kolejnych piosenek. Złość, żal, smutek – wszystko to, co się w człowieku kotłuje za każdym razem, kiedy dowiadujemy się, że ktoś bliski nas opuszcza. A Bogdan dzięki swojej twórczości był bliski wielu ludziom. Mnie też. To było dziecko Krakowa. Był rockowym poetą tego niezwykłego miasta. Cudowne było też w nim to, że on nigdy nie usiłował udawać księcia poezji Marka Grechuty, co niestety zdarzało się jego niektórym kolegom. Z muzyką tak już jest, że pewni jej twórcy nas poruszają, a inni nie. A Boguś miał tę siłę i mnie poruszyć… Pozostawił nam swoje piosenki, swoje słowa i swoją poezję. On do nas nie wróci – choć pewnie się wszyscy jeszcze gdzieś tam spotkamy, ale zawsze my możemy wrócić do nagrań, które były częścią jego życia. Teraz czy za kilka, a nawet kilkadziesiąt lat. Śpiewał o tak ponadczasowych sprawach, że zawsze będą one aktualne. Bo ludzie do końca świata będą się nieszczęśliwie lub szczęśliwie kochać, zawsze będą poszukiwać wolności, będą dążyć do tego, by być lepszymi, niż są w tej chwili. Na marginesie – nigdy go o to wprost nie zapytałam, ale myślę, że były to teksty, które rodziły się na skutek jego własnych przeżyć. Myślę, że nie pochodziły tylko z wyobraźni artysty…*

URSZULA: *Szczerość i jeszcze raz szczerość. To była recepta na sukces Bogdana Łyszkiewicza. Nie było w nim żadnego nadęcia. Ludzi się nie oszuka, a oni go po prostu w pewnym momencie bezwarunkowo pokochali. Bogdan na samym początku zaproponował im piosenki właściwie podwórkowe: proste i melodyjne, a o takie bywa najtrudniej. Potrafił pisać kolejną rzecz o miłości, znów nie zahaczając o banał. Właściwie niewielu facetów potrafi zapakować w utwór tak znaczny ładunek emocjonalny. Do tego trzeba mieć serce. Dzięki temu ludzie o Bogusiu wciąż pamiętają.*

MACIEJ DEJCZER: *Ostatnie nasze spotkanie miało miejsce na Placu Bankowym w Warszawie, chyba jeszcze w czerwcu. Chciał, żebym z nim zjadł obiad, nalegał. Spieszyłem się. Przeprosiłem go, pożegnałem się i odszedłem – jeszcze zerknąłem tylko w jego stronę. Pomachał, pozostał taki uśmiechnięty w tym miejscu. Uśmiech, spokój dystans, refleksja… to był on. Często jeżdżę z Warszawy do Sopotu i przejeżdżam obok tej stacji, sąsiadującej z drogą, na której zginął. Miałem taki pomysł w sobie, żeby tam właśnie zrobić i zarejestrować koncert z pieśniami Bogusia.*

MAREK PIEKARCZYK: *Spotkaliśmy się ostatni raz w 1999 roku w Bochni. Wróciłem już wtedy na stałe do Polski. Przyjechał na ognisko. Było kilku wspólnych znajomych, między innymi Paweł Mąciwoda. Potem odwoził nas swoim wielkim amerykańskim samochodem po domach i jak zwykle za szybko. Pamiętam, że już po kilku minutach jazdy zatrzymała nas policja. Bogdan ze spokojem poszedł do radiowozu. Po chwili wrócił, otworzył bagażnik i wyjął swoje płyty. Podpisał je i rozdał policjantom. Jak to on – bez stresu i nerwów. Przydałby się teraz taki człowiek w tym kraju. Bozia często tych najlepszych właśnie wyłapuje sobie tam do góry. Ostatnio nawet, oglądając telewizję, trafiłem przypadkowo na jego koncert – ten z Teatru Słowackiego w Krakowie. Odżyły wspomnienia. Wspaniała rzecz… Taka nutka nostalgii, słowiańszczyzny. Cały Boguś.*

PIOTR METZ: *Jego się nie dało modelować według ram wielkiego świata producentów muzycznych, farbować włosów, uczyć tańca, ubierać. Myślę, że właśnie dlatego został zapamiętany. Nawet pokusiłbym się o taką ocenę, że tę pamięć o nim czekają całkiem dobre czasy. To wraca znów. Może nie na taką skalę jak kiedyś, ale ludzi, którzy chcą słuchać „prawdziwków", wciąż jest jeszcze całkiem sporo. On jest dla mnie takim symbolem lat dziewięćdziesiątych i tego, co się wtedy działo u nas w muzyce. Lata dziewięćdziesiąte były bardzo dobre dla niego i dla innych artystów rockowych. Trzeba je jednak podzielić na fantastyczną pierwszą ich połowę i to, co się działo po mniej więcej 1996 roku, czyli dramatyczny zjazd w stronę komercji. Nie każdy okazał się na to odporny. Myślę, że on w tych pierwszych latach dekady był bardzo szczęśliwy. Grał to, co chciał, mógł z tego godnie żyć, granice mu się pootwierały, więc mógł sobie zwiedzać świat. Później szybko zmieniały się mody. Druga połowa lat dziewięćdziesiątych to niezwykła dynamika różnych stylów. Bogdan był jedną z tych osób na naszej scenie, która była bardzo przekonana do tego, co robi, niezwykle konsekwentną. Bronił się. Pamiętam, że w rozmowie z nim, nawet jeżeli chciałem uczciwie ocenić pewne rzeczy, to musiałem też bardzo uważać na słowa. Łatwo było go urazić. Z nim się ciężko rozmawiało na temat jego twórczości, był bardzo wrażliwy na krytykę. Ale to było jego życie, oddał się temu w całości. Czasy się zmieniały, a on trwał w swojej twórczości. To była chyba właśnie jego zaleta. Ta niezłomność w tym, co chciał ludziom prezentować. Na marginesie jeszcze dodam nieco anegdotycznie, że jak tematy się komplikowały, to zawsze można było zejść w rozmowie na Beatlesów czy Lennona i już łapaliśmy wspólny język… Co ciekawe, kiedy ktoś mnie o niego pyta, to sam łapię się na tym, że Bogdana już z nami nie ma… Nie mam zamiaru ocierać się tutaj o jakąś metafizykę, ale on po prostu też tak żył – nie był nachalny, nie narzucał się, a jednak zawsze, przez całe lata naszej znajomości, był gdzieś obok.*

– Jednostka kompletnie odrealniona – tak wspomina Bogdana Jarek Janiszewski, lider kultowej Bielizny i wokalista Czarno-Czarnych. – To był człowiek, który jakby nie egzystował w naszej rzeczywistości. Ktoś chyba zrobił mu dowcip, przenosząc go z lat sześćdziesiątych w dziewięćdziesiąte. Zawsze uważałem, że Boguś doskonale by się czuł, żyjąc w hipisowskim San Francisco. Bo to był taki piewca pokoju i miłości. Wielokrotnie odnosiłem wrażenie, że jemu czas płynął zupełnie inaczej, niż wszystkim innym w jego otoczeniu. Osobiście wprawiało mnie to niejednokrotnie w zakłopotanie, bo człowiek wiecznie gdzieś zagoniony, pochłonięty czymś, wciągnięty w wir wydarzeń – a tutaj nagle spotyka Bogusia, który z uśmiechem na powitanie mówi: Wiesz, Jarek

– życie, przygoda… Człowiek po chwili kontaktu z nim zaczyna się zastanawiać: kurczę, może to ja jestem dziwny? Nie byłem z początku fanem jego twórczości, ale kiedy tylko poznałem go osobiście, w mig zrozumiałem te teksty. Pojąłem, co jest grane. Że to nie jest wymyślone, że Boguś naprawdę taki jest. Jak ktoś, kto ciągle chodzi na kwasie albo dobrej trawce. Czasami nie mogłem tego zrozumieć. Ja tutaj się buntuję przeciw światu, walczę, a on się z nim szczerze przyjaźni… Wniósł tym wiele melancholii do polskiego rocka. Był lirykiem.

PAWEŁ SITO: *Wielokrotnie w czasie naszych spotkań rozmawialiśmy o śmierci. Odchodzenie nie było dla nas tematem tabu. Doskonale znałem jego zdanie na ten temat. Bogdan do końca swoich dni głęboko wierzył, że w chwili śmierci absolutnie nic nie kończy się definitywnie. Może dlatego jestem tak dziwnie spokojny o jego dalszy los? Dla niego było to niezwykle oczywiste i niepodlegające dyskusji… Wynikało to z jego wiary. Zupełnie niespotykanej, bo w wielkim kryzysie prawdziwego chrześcijaństwa on był właśnie prawdziwym chrześcijaninem – nie w polskim rozumieniu, czyli zacietrzewionym politycznie i bezmyślnie klepiącym zdrowaśki, ale miłującym bliźniego i wyznającym zupełnie fundamentalne zasady współżycia wszelkich istot w zgodzie i pokoju. Kiedy się poznaliśmy, przed nami były jeszcze cztery lata komunizmu – Kościół był w pewnym sensie ramieniem politycznym. Łatwo było mówić, że jest się człowiekiem wierzącym, bo to znaczyło, że jest się przeciw komunie. Później to się zmieniło, ale on dalej był człowiekiem właśnie wierzącym. Wierzącym dla idei i z poczucia serca. Zawsze ważny był dla niego dom, miłość, dobre uczynki… To było fascynujące, bo z jednej strony rock'n'roll i związane z tym historie, a z drugiej ta jego głęboka duchowość. Jedno z drugim nie kolidowało. Zawsze też podobało mi się w nim – i nigdy też nie przestawało mnie to dziwić, że on wszędzie – w sytuacjach i w ludziach nie szukał złych stron czy cech. Zawsze wyciągał z nich to, co mają w sobie najlepsze, i tak starał się ich widzieć. Jak teraz o nim myślę i wspominam jego bycie tutaj, jakie mogłem zaobserwować, to cieszę się, że nie miał w tym czasie większych zmartwień, że żył dość szczęśliwie. Może paradoksalnie dobrze, że odszedł właśnie w tym czasie, na progu XXI wieku – zupełnie, jak się okazuje, nieprzychylnego ludziom o jego usposobieniu. Oni się teraz miotają… Bo Bogdan był niedzisiejszy i naprawdę trudno by mu było z jego ideowością funkcjonować nawet nie tyle w branży, ale w świecie najogólniej. O tym, że nie mam żadnych wątpliwości, gdzie teraz jest, świadczy chociażby to, że wielokrotnie, kiedy po jego śmierci chciałem się z nim „skontaktować", to mimowolnie podnosiłem głowę do góry…*

– Już wiem, że nigdy w życiu już się z nim nie napiję, nigdy nie pogadamy sobie o samochodach, o dziewczynach, o sztuce, o ludziach. Ogarnął mnie taki moment po śmierci Bogdana, kiedy wziąłem gitarę do ręki i zacząłem składać muzykę i słowa, by poświęcić mu choć kilka strof i parę dźwięków. Nazwałem ją „O miłości". Prosto i konkretnie: „Jest tylko jedna rzecz, którą naprawdę warto mieć. Choć tyle pokus, pragnień jest, kiedy nie ma jej, to wszystko traci sens…". Jestem przekonany, że sam Boguś mógłby się pod tymi słowami podpisać. Uczucia wyższe były dla niego najcenniejsze. Myślę, że daleko w tyle był ten cały materialny świat. Mnie go brakuje przede wszystkim jako człowieka, ale też jako artysty. Cały ten jego wolnościowy przekaz przemawiał do mnie. Rynek muzyczny jest bez tego wyraźnie uboższy. Że to proste i dotykało wciąż tych samych spraw? Myślę, że naśmiewali się z niego głupcy. Bo o czym właściwie można śpiewać piosenki? Tylko o miłości. Można o niej napisać dziesięć

tysięcy piosenek i każda będzie traktować o innym jej aspekcie. Bogdan bronił się tym, że był szalenie wiarygodny. Zarówno w życiu, jak i na scenie. Wymaga to sporej odwagi, bo to jest ciągła obrona własnego świata w niezbyt przecież sprzyjających okolicznościach. Był kolorowym ptakiem, którego pewnie wiele szarych wróbli chętnie by zadziobało – stwierdza Robert Gawliński.

MAREK JACKOWSKI: *Boguś był dla mnie jednocześnie kolegą i przyjacielem. Miał w oczach błękit nieba, a uśmiechem obejmował cały świat. Co prawda lubił żyć szybko, ale gdzieś w środku był zaprzeczeniem pośpiechu. Na swój sposób starał się być wolny, co mu się zresztą udawało. Kiedyś stwierdziliśmy, że trzeba by pojechać do Nowego Orleanu, zobaczyć „House of the Rising Sun" i powłóczyć się po tym niezwykłym mieście. Co chwila wyjeżdżałem na jakieś koncerty i później Boguś pojechał tam sam. Doskonale też pamiętam, jak grał z nami w Kongresowej na koncercie „Maanam i Przyjaciele" piosenki „Anioł" („szczęśliwe chwile to motyle!") i „Oprócz błękitnego nieba". Scena i widownia uniosły się w powietrze… Niedługo potem nagrywaliśmy kolejną płytę w studiu Teatru Buffo. Nagle pojawił się niespodziewanie. Ucieszyłem się, bo zawsze wprowadzał mnie w dobry nastrój. Zapytałem go, czy może czegoś potrzebuje. Odpowiedział, że nie, że po prostu przyszedł nas zobaczyć i pobyć przy nas chwilę. Odprowadziłem go później do drzwi. Odchodząc, odwrócił się jeszcze trzy razy. Dwa dni później wracaliśmy z koncertu w Gdańsku i ktoś zadzwonił, że Boguś nie żyje, że miał wypadek właśnie na tej szosie, którą jechaliśmy. Przed oczami stanęło mi wspomnienie jego twarzy, uśmiechniętej jak zawsze, i odwracającego się trzykrotnie. Takie było nasze pożegnanie. Mówimy o nim w czasie przeszłym, ale dla mnie Boguś jest. Jest jednym z bardzo nielicznych muzyków, za którymi tęsknię. Z nim w zespole mógłbym grać do końca moich dni.*

EWA LANGER: *Tak bardzo nie mogłam w to uwierzyć. Boguś nie żyje? Jak to? Później przypomniało mi się, że jak miał dwadzieścia kilka lat, to często powtarzał, że pewnie umrze przed czterdziestką, ale… przecież to wydawało się zupełnie mu niepisane.*

ROBERT LUBERA: *Nie pamiętam już dokładnie, ale mogło to być na kilka dni przed wypadkiem. Zupełnie przypadkiem spotkaliśmy się w Krakowie. Na samym Rynku, przy wejściu w Grodzką. To był ładny, ciepły czerwcowy dzień. Wokół dużo ludzi, turystów. Ucieszyłem się, bo obaj byliśmy totalnymi gadułami. Mieliśmy wiele wspólnych tematów: od gitar poprzez sytuacje z życia wzięte. W pewnym momencie mocno scementowały nas historie naszych rodzin. W mojej było wielu oficerów Wojska Polskiego, później Katyń, Dywizjon 303, rozstrzelanie dziadka przez gestapo, rodzice byli dziećmi kułaków… Bogdan też miał swoje opowieści i mocno wyrobione zdanie na temat systemów totalitarnych i związanych z nimi dramatów ludzkich. Mogliśmy dyskutować godzinami. Tym razem temat dotyczył jednak spraw zupełnie innych. Mianowicie moja siostra interesowała się wróżbiarstwem i ezoteryką. Gdzieś w głowie zapamiętałem, jak mówiła o linii życia. Wspomniałem o tym Bogdanowi. Rozbawieni, szybko zaczęliśmy oglądać je u siebie. Ta Bogdana była nienaturalnie krótka… Śmialiśmy się z tego. Przecież nikt z nas nie zdawał sobie sprawy z tego, co się za moment wydarzy. Po spotkaniu ja odszedłem w stronę Kazimierza, a on w stronę Rynku. Odwróciłem się jeszcze na moment i ten obraz Bogdana – z Sukiennicami w tle – pozostał w mojej głowie do dzisiaj.*

Taki też pozostanie już na zawsze… jak slajd. Drugiej takiej osoby w Krakowie już nie ma. Ludzie, którzy go znali, zawsze pozostawiali mu taką swoistą przestrzeń, w której on się poruszał. Uważali, że on nie egzystuje normalnie: jest poetą, dobrym i wrażliwym duchem i nie można mu tego obrazu świata burzyć.

MARIUSZ BEMBENEK: *Smutek zapanował… Choć już od dawna nie mieliśmy ze sobą stałego kontaktu, to momentalnie na wieść o śmierci Bogdana stanęły mi przed oczami wszystkie nasze razem spędzone chwile. Wyjazdy, wygłupy, lata młodości. Znalazłem gdzieś w sieci jego aktualne zdjęcie, dokleiłem cytat ze „Strawberry fields" Beatlesów i tak powstał plakat z informacją o jego pogrzebie i w ogóle o tym, co się stało. Powieliłem go i rozwiesiłem w wielu miejscach w Krakowie. Boguś wrócił na truskawkowe pola…*

Wiadomość o śmierci Bogdana wstrząsnęła też jego „rynkowymi" kolegami.

JACEK KRÓLIK: *Dwóch z nich, legendarny Zbyszek „Szajbus" i Marek „Beefheart", byli z nim naprawdę blisko i emocjonalnie związani. Słyszałem, że na wieść o tragicznym wypadku Bogdana zrozpaczeni i załamani snuli się po Rynku, z głośnym płaczem informując przypadkowych przechodniów o jego śmierci.*

– Niestety, żyjemy w świecie, w którym ludzie coraz mniej pamiętają o tym, że lepiej jest być dobrym człowiekiem niż złym człowiekiem, zawsze go to bardzo bolało. Właściwie całe jego życie, jak tak go obserwowałem – płynącego gdzieś ciągle obok, było odruchem zniecierpliwionego, naiwnego oburzenia. Dlaczego jest właśnie tak? Dlaczego to tak wygląda? On podobnie jak ja właściwie cały czas był w podróży. Cały czas jechał skądś dokądś. Mieliśmy niewiele możliwości i okazji, by porozmawiać, spędzić ze sobą trochę czasu i zastanowić się nad światem. Taka okazja nadarzyła się, kiedy spotkaliśmy się u niego w mieszkaniu w Nowej Hucie, na dwa dni przed jego śmiercią. Siedzieliśmy kilka godzin w nocy, rozmawiając. Rzecz ciekawa, bo rozmowa była właśnie o takich najważniejszych sprawach – o życiu, umieraniu, o związku z tymi, którzy już odeszli. Pamiętam, że w którymś momencie doszliśmy do wspólnego wniosku, że na szczęście po śmierci kogoś bliskiego istnieje poczucie łączności, że to jest jakoś pocieszające, dodaje otuchy. Dwa lata po śmierci Bogdan wrócił do mnie we śnie. To było w bardzo trudnym momencie mojego życia: padłem ofiarą wyrafinowanej intrygi, czegoś wręcz niebezpiecznego. Podejrzewałem, że intryga ma miejsce, ale nie byłem jej do końca pewien. Doszło do dramatycznej sytuacji – miałem poważne poczucie osaczenia, niepewności co do tego, co mam zrobić. Wtedy on mi się przyśnił. Bardzo wyraźnie, wręcz namacalnie. Przyszedł mi powiedzieć, że to jest oszustwo. Bym się z tego wymiksował i uciekał. W efekcie tak też zrobiłem, co mnie uratowałO! Rozmawiamy, mówię mu: Boguś, ale ty nie żyjesz, czy ty sobie z tego zdajesz sprawę? On: Tak, rzeczywiście… Pod koniec snu zapytałem, czy jeżeli w przyszłości będę jeszcze w tak trudnej sytuacji, to czy przyjdzie do mnie i mi pomoże. Odpowiedział: Nie, Tomek, już nie. Sen się skończył. Przedziwna sprawa – wspomina Tomek Lipiński.

Bogdan Łyszkiewicz spoczął w Krakowie. W mieście, które kochał i któremu poświęcał swoje piosenki. Pochowany w rodzinnym grobowcu obok ojca i symbolicznego miejsca spoczynku swojej babci, która zginęła w hitlerowskim obozie zagłady w Oświęcimiu. Jego nagrobek ma kształt gitary. Wykonany został na wzór ulubionego akustycznego Martina według projektu Magdy. Nie miała nawet pojęcia, że Bogdan przed laty, podczas jednej ze swoich wypraw do Ameryki wyznał swojemu przyjacielowi Jackowi Wrońskiemu, że gdyby umarł, chciałby, żeby jego grób właśnie tak wyglądał.

Magda jest obecnie aktorką gdańskiego Teatru Wybrzeże i utrzymuje stały kontakt z Anną Łyszkiewicz, która po śmierci syna rozpoczęła posługę w krakowskim hospicjum, gdzie opiekuje się osobami chorymi i umierającymi. Każdej niedzieli odwiedza rodzinny grób. W pokoju Bogdana w krakowskim mieszkaniu wszystko pozostało niezmienione od kiedy ostatni raz wyszedł z domu. Nawet kurtka zawieszona przez niego w przedpokoju przypomina o niezwykłym mieszkańcu tego miejsca. Może kiedyś wróci? Przecież nikt z jego bliskich nie uwierzył w tę bezsensowną śmierć…

Cześć Boguś

Utwory Bogdana Łyszkiewicza wciąż są chętnie grane w stacjach radiowych, a on sam ma w kraju wielu fanów. Nie tylko tych, którzy pamiętają go ze scen, ale i tych zupełnie nowych. Piosenki Chłopców z Placu Broni często ukazują się na okazjonalnych składankach, można je też usłyszeć na koncertach innych wykonawców, którzy grając je, oddają hołd zmarłemu muzykowi, a także niejednokrotnie wykorzystywane są w popularnych serialach i programach telewizyjnych. Marek Jackowski i Janusz „Yanina" Iwański z zespołem The Goodboys poświęcili Bogdanowi utwór „Senne marzenie".

JANUSZ „YANINA" IWAŃSKI: *Był naszym przyjacielem i tak jak my pokojowo nastawionym do życia i ludzi człowiekiem. Jestem przekonany, że gdyby żył, to grałby dziś z nami jako jeden z The Goodboys. Brakuje nam go…*

Także Sztywny Pal Azji i wspomniany Robert Gawliński nagrali na swoich płytach utwory poświęcone Bogdanowi.

– Utwór nazywa się „Piosenka dla B.". Dodałem do niej smyczki, bo wiedziałem, że Boguś je zawsze bardzo lubił. Pamiętam, że jak przywiozłem Pawłowi Sito demo płyty Sztywnego Pala Azji, na której się ta piosenka znalazła, ten spojrzał tylko na spis i trafiając na ten tytuł, znacząco skinął głową. Od razu rozszyfrował, dla kogo to – mówi Jarek Kisiński.

Muzycy z Golden Life kilka lat temu zarejestrowali własną wersję utworu „Wolność", którą grają też po dzień dzisiejszy na koncertach.

W pięć lat po śmierci Bogdana Franz Dreadhunter uruchomił stronę internetową poświęconą pamięci przyjaciela i zagrał kilka koncertów pod szyldem Chłopców z Placu Broni z nowym wokalistą. Idea nie okazała się trafiona – nie chcieli tego ani fani, którzy głośno wyrażali swoją dezaprobatę, ani też przyjaciele i znajomi Bogdana, dla których jego postać jest niezastąpiona. Nieudana próba reaktywacji Chłopców z Placu Broni przez polonijnych artystów miała też miejsce w Chicago. Reakcja środowiska była podobna jak w pierwszym przypadku. Pozytywnym momentem były za to koncerty „Tribute to Łyszka", które w 2005 roku odbyły się właśnie w Chicago. Ich animatorem był Jacek Zwierzchlejski, znajomy Bogdana. W 2007 roku do ogólnopolskiego „Dziennika" została dołączona płyta z utworami Chłopców z Placu Broni, głównie tymi z płyty „Krzyż". Wydana została w formie bogato ilustrowanej zdjęciami książeczki. W dziesiątą rocznicę śmierci Bogdana Franz Dreadhunter powołał do życia projekt „O ! Ela", w ramach którego muzycy związani z zespołem wykonują piosenki Chłopców z Placu Broni na koncertach w całej Polsce.

Piosenki Bogdana Łyszkiewicza często rozbrzmiewają też w krakowskich klubach dzięki Maciejowi Czerneckiemu, poecie, muzykowi i gitarzyście.

– Obok koncertów Chłopców z Placu Broni czy zwykłego, a zarazem niezwykłego mijania Bogdana na krakowskich ulicach, jeden jedyny raz dane mi było bardziej osobiste z nim spotkanie. W połowie lat dziewięćdziesiątych przez krótki okres pracowałem w księgarni w urzędzie skarbowym. Któregoś z tych kilku dni przyszedł Bogdan. Była to postać tak niespodziewana właśnie w tamtym miejscu, że zderzenie jego legendy z moim przypadkowym byciem sprzedawcą dosłownie mnie sparaliżowało. Chwilę później nieśmiało „pochwaliłem się", że grałem jego piosenki. Bogdan odpowiedział niezwykle prosto:

Bardzo dobrze! Po czym powiedział kilka słów o płycie „Uśmiechnij się". Z tego jedynego spotkania mam dziś tylko i aż tyle. Dziś odczytuję to jako jego przyzwolenie, a może misję, by właśnie i szczególnie teraz grać te pieśni, a sam tytuł „Uśmiechnij się" jest dla mnie wyjątkowo cenną wskazówką… Na marginesie: Bogdan zakupił wtedy książkę o tytule „Ulgi podatkowe". Czasem się zastanawiam, dlaczego odwiedzam jego grób, dlaczego o nim myślę, choć nie jestem typowym czy wiernym fanem i często neguję to wszystko – by jeszcze raz odnajdywać… Wierzę, że czymś najcenniejszym, co mogę zrobić, co mogę dać teraz Bogdanowi, jest modlitwa. Nie sposób dziś opowiedzieć, jaki naprawdę wpływ na moje życie wywarł Bogdan. Jego teksty podparte pięknym i solidnym brzmieniem unosiły dalece ponad świat marzeń. A jeśli marzeń, to tych pełnych nadziei, tęsknoty, poszukiwań i uczuć rozbitych o samotność. To, co dla nas zdecydowanie wspólne, to pragnienie miłości. Tej prawdziwej, najpiękniejszej. Odkąd pamiętam, obok własnych, wykonywałem piosenki Bogdana, były też inne poszukiwania, ale Bogdan zawsze powracał. Urodziłem się dokładnie 9 lat i 10 miesięcy po Bogdanie, a w 1987 założyłem pierwszy zespół. Subiektywne symbole… Kiedy moja siostra chciała, bym zaśpiewał i zagrał coś na pogrzebie taty, wybrałem „Huragan", a dopiero potem fragment jednej z moich piosenek… Czasem chodzę na koncerty, ale nigdzie nie znajduję już takich emocji i przeżyć, jakie dawał Bogdan otoczony dobrymi muzykami… – mówi Maciej Czernecki.

W 2009 roku, 20 czerwca, w Olsztynie koło Częstochowy, w jurajskiej scenerii ruin średniowiecznego zamku miał miejsce Festiwal Muzyczny Pamięci Bogdana. Zagrało kilka ważnych zespołów polskiego rocka, między innymi Oddział Zamknięty, Golden Life, Mafia, Sztywny Pal Azji, Easy Rider. Zagrał też coverowy projekt HOKUS w programie złożonym z utworów The Beatles. W deszczową sobotę wspominało Bogdana kilka tysięcy osób. Przyjechała najbliższa rodzina artysty z Anną Łyszkiewicz na czele. Specjalnie i jedynie na tę okazję reaktywował się projekt The Nos z Jarkiem Kisińskim, Ewą Langer i Zbyszkiem Ciaputą. Na zakończenie kilkunastogodzinnej imprezy połączone siły Mafii i Sztywnego Pala Azji zagrały kilka utworów Chłopców z Placu Broni. Szczególnie wzruszająco zabrzmiała piosenka „Kocham Cię", przejmująco zaśpiewana przez Bartka Króla z Mafii. Tomek „Joseph" Bracichowicz specjalnie na tę okazję wysamplował oryginalne fragmenty sekcji smyczkowej z Bogdanowej wersji i dzięki temu zabiegowi mogły zabrzmieć i w Olsztynie.

– Bogdan wraz ze swoim zespołem wniósł wiele dobrego w całą historię muzyki rockowej i rozrywkowej w Polsce. Kilka spośród jego przebojów, które zabrzmiały na festiwalu jego imienia, pomimo upływu lat jest wciąż znanych publiczności. Świadczy to o sile przekazu tych utworów – prostych, ale niezwykle ważnych w swej treści. Dla mnie osobiście niezwykłym przeżyciem było zaśpiewanie tej absolutnie przepięknej pieśni Bogdana o miłości. Jednej z najlepszych, jakie zostały napisane w tym kraju. Łzy wzruszenia cisnęły mi się do oczu… To samo widziałem wśród publiczności. Głos załamywał mi się zresztą już na próbach. Bogdan stworzył naprawdę wielkie dzieło, bo pisać o miłości jest najtrudniej. Łatwo o banał, a tutaj – proszę: rzecz cudowna, która trafia do mnie całkowicie, zarówno muzycznie, jak i tekstowo. Cóż, ta właśnie chwila odcisnęła piętno na moich wspomnieniach z tego wieczoru – wspomina Bartek Król.

Na zakończenie, w nocnej już scenerii, przy rozchmurzonym i gwiaździstym niebie i frunących w nie fajerwerkach oraz trzymanych w dłoniach publiczności zimnych ogniach – zabrzmiała kilkunastominutowa wersja „O! Eli", którą śpiewali już wszyscy. Na scenie ponownie Bartek Król wraz z Bartkiem Szymoniakiem i Sztywnym Palem Azji. Festiwal Pamięci Bogdana Łyszkiewicza to

jednak nie tylko muzyka. W czasie jego trwania prowadzone były akcje promujące transplantologię medyczną oraz bezpieczeństwo w ruchu drogowym. Publiczność uczyła się zasad pierwszej pomocy, a także wypełniała specjalne oświadczenia woli. Tych ostatnich rozeszło się tego dnia blisko dwa tysiące.

Kilka dni przed festiwalem z krakowskiego ratusza dobiegła wiadomość zupełnie niezwykła: radni zadecydowali o nazwaniu jednej z ulic imieniem i nazwiskiem Bogdana Łyszkiewicza. Ta decyzja może się stać zielonym światłem dla urzędników w całej Polsce sprawujących władzę w miejscach, gdzie mieszkali i tworzyli artyści. Pomysł podsunął przewodniczący komisji kultury Jerzy Fedorowicz junior. Jego ojciec, ceniony aktor Jerzy Fedorowicz senior, znał się z Bogdanem: – Wielokrotnie współpracowaliśmy ze sobą. Pamiętam, jak w 1992 roku postanowiliśmy zorganizować w teatrze w ramach resocjalizacji trudnej młodzieży spektakl „Romeo i Julia" w wykonaniu aktywnych przedstawicieli zwalczających się subkultur punków i skinheadów. Bogdan bardzo nam w tym kibicował. Przychodził na próby. Był dla tych młodych ludzi autorytetem. Punkowa część obsady miała ponadto swój zespół, więc kiedy przychodził do nich znany człowiek – w dodatku muzyk, kompozytor i śpiewak – robiło to na nich duże wrażenie. Samo to, że Bogdan był z Nowej Huty, pozwalało im mieć nadzieję, że stąd też można wypłynąć na szerokie wody, dodawało otuchy. Ludzie przy nim łagodnieli. W swoich piosenkach jasno pokazywał, że tęsknota za miłością i bliskością drugiego człowieka może być silniejsza niż agresja i nienawiść. Zjawiał się też, kiedy organizowaliśmy „Dzień Samotnego Małolata". Z początku nazywało się to „Dzień Trudnego Dziecka", ale po protestach młodzieży, że to ich obraża, zmieniliśmy nazwę na tę pierwszą. Na szkolnym boisku odbywały się gry sportowe, a na koniec koncerty amatorskich zespołów, na których pojawiał się Bogdan. Przychodził posłuchać, co tam chłopaki czadzą, a przy okazji rozmawiał z nimi, bratał się i udzielał cennych wskazówek. Był naszym przyjacielem i nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek trzeba go było jakoś specjalnie namawiać do współpracy. Muszę przyznać, że strasznie zdenerwował tym swoim nagłym odejściem… Brakuje mi go. To był młody, wrażliwy człowiek z klasą. Wszyscy szanowaliśmy Bogdana za jego twórczość. Był w Krakowie godnym następcą Grechuty. Prawdziwym artystą.

Wniosek o nadanie jednej z ulic imienia Bogdana Łyszkiewicza poparł Waldemar Domański, dyrektor Biblioteki Polskiej Piosenki – instytucji niezwykłej nie tylko w skali kraju, ale i chyba globalnie. Jej zadaniem jest gromadzenie dorobku artystycznego między innymi twórców muzyki rozrywkowej. Biblioteka prowadzi też liczne akcje edukacyjne i kulturotwórcze. Jedna z nich, prowadzona pod hasłem „Szanujmy wspomnienia", otarła się i o twórczość Bogdana. Anna Łyszkiewicz 3 maja 2009 roku na wypełnionym po brzegi krakowskim Małym Rynku przekazała rękopis piosenki syna „Pocztówka z Krakowa" do zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej. Wydarzeniu towarzyszyły oklaski kilku tysięcy osób.

Najważniejsze jednak, że pamięć o Bogdanie Łyszkiewiczu jest w sercach fanów. Właśnie tym Boguś zapewnił sobie nieśmiertelność, o której śpiewał.

Cześć, Boguś

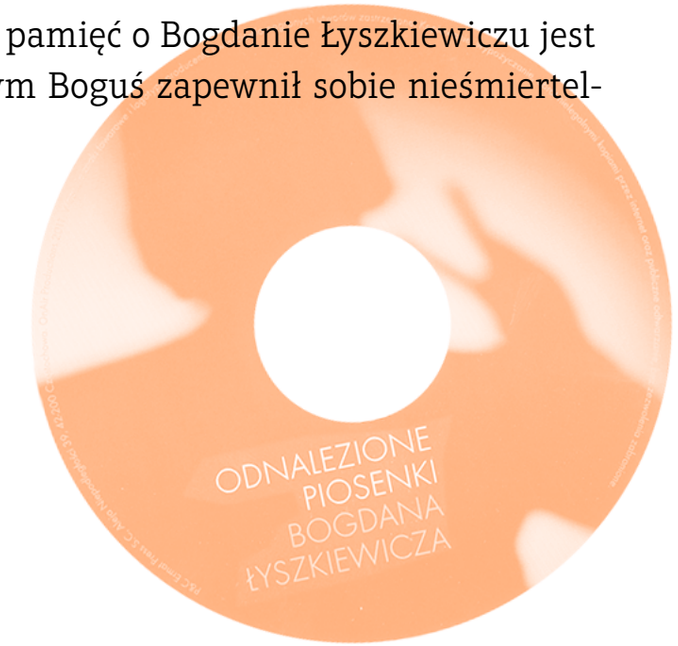

Odnalezione piosenki | Dobrem zwyciężaj zło | 1:35

Zakupiono w NEXTO: 2622765